

**Conan Doyle Arthur**

**Tajemnica złotego Pince-nez - Opowiadania**

**„KB”**

### **TAJEMNICA ŻŁOTEGO PINCE-NEZ**

Gdy przeglądam trzy masywne tomy manuskryptów, w których zawarte są nasze przygody z roku 1894, muszę przyznać, że trudno mi osądzić, która z tych przygód była najciekawsza i w której sławne na całym świecie zdolności mego przyjaciela wystąpiły najwidoczniej. Odwracam kartki i znajduję tam zapiski o wstrętnej historii rudego weterynarza i o strasznej śmierci bankiera Crosby'ego. Dalej napotykam sprawozdanie z tragedii w Addleton i dziwaczną historię starodawnych angielskich kupców. Znana afera Smith-Mortimer również przypada na okres tych czasów, podobnie jak wyśledzenie i aresztowanie Hureta, mordercy z paryskich bulwarów. Czyn ten przyniósł Holmesowi w nagrodzie własnoręczny list z podziękowaniem od prezydenta Francji i order Legii Honorowej. Każdy z tych wypadków mógłby stanowić materiał do zajmującego opowiadania, lecz według mnie żaden z nich nie zawiera tych ciekawych i zajmujących szczegółów, co wypadek w Yoxley Old Place, który łączy się nie tylko z tragiczną śmiercią młodego Willoughby Smitha, ale zawiera ponadto ciekawy rozwój wypadków, rzucający światło na pobudki tej powikłanej zbrodni.

Był to zimny i burzliwy wieczór listopadowy. Siedzieliśmy w milczeniu w pokoju. Holmes zajęty był odczytywaniem przez lupę resztek jakiegoś starego pergaminu. Ja zaś zagłębiłem się w rozprawie medycznej. Za oknem wzdłuż Baker Street szalał wiatr, uderzając chwilami w szyby kroplami deszczu.

Było to nieprzyjemne, gdy znajdując się w samym sercu Londynu, gdzie dookoła nas w promieniu dziesięciu mil ludzie

zajęci są podobnie jak my pracą, odczuwało się równocześnie żywiołową potęgę sił natury, wobec których cały Londyn nie znaczy więcej niż kupka ziemi wyrzucona przez kreta na polu. Podszedłem do okna i wyjrzałem na opustoszałą ulicę. Rzadko rozsiane latarnie rzucały migocące światło na zabłoconą jezdnię i błyszczący od deszczu trotuar. Od strony Oxford Street, rozpryskując kałuże, zbliżała się samotna dorożka.

- Dobrze, Watsonie, że nie musimy dziś w nocy ruszać się z domu - rzekł Holmes odkładając lupę i zwijając pergamin.  
- Dosyć jak na jedno posiedzenie. To bardzo męczy wzrok. Nie ma nic bardziej zajmującego niż opowieść jakiegoś opata, który żył w drugiej połowie piętnastego wieku. Halo! Halo! Co się tam dzieje?

W poświst wiatru i szum deszczu wmieszał się odgłos kopyt końskich i zgrzyt koła ocierającego się o krawędź chodnika. Widocznie dorożka, którą przed chwilą zauważyłem, zatrzymała się przed naszym domem.

— Kogo on szuka? - zawołałem, dostrzegając wysiadającego mężczyznę.

— Kogo? Nas! On do nas przyjechał, Watsonie! A my, mój drogi, musimy wyciągnąć nasze płaszcze, szale i inne części garderoby, które człowiek wymyślił po to, aby ochronić się przed złą pogodą. Zaczekaj jeszcze chwilę! Dorożka rusza, odjeżdża! Nie traćmy nadziei. Jeśliby chciał zabrać „nas ze sobą, nie odsyłałby dorożki. Zejdź na dół, mój kochany, i otwórz bramę, gdyż wszyscy szanujący się obywatele leżą już dawno w łóżkach.

Gdy światło lampy wiszącej w holu padło na przybyłego, poznałem w nim Stanleya Hopkinsa, młodego i zdolnego urzędnika tajnej policji, którego karierą Holmes żywo się interesował.

— Zastąłem go? - rzucił przybyły z pośpiechem lakonicznie.

— Chodź pan na górę, drogi panie - usłyszeliśmy głos Holmesa. - Przypuszczam, że nie ma pan w ten ponury wieczór

złych zamiarów względem nas?

Gdy detektyw wchodził po schodach, dostrzegłem, że z jego płaszcza ścieka woda. Pomogłem mu się rozebrać, a Holmes dołożył drzewa do kominka.

— No, mój drogi Hopkinsie, siadaj przy ogniu i ogrzej sobie nogi - rzekł. - Tu ma pan cygaro, a doktor Watson poda panu doskonałe lekarstwo na dzisiejszą niepogodę: gorącą wodę z cytryną! Widocznie zaszło coś poważnego, skoro wybrał się pan do mnie w taką wicherę.

— Tak, panie Holmes, istotnie. Mogę pana zapewnić, że dobrze napracowałem się dzisiejszego popołudnia. Czy czytał już pan coś o wypadku w Yoxley?

— Ostatnie wiadomości, które dziś czytałem, pochodzą z piętnastego wieku.

— Gazety zamieściły tylko krótką wzmiankę, i to w dodatku fałszywą. Nic pan nie stracił nie czytając jej. Nie miałem chwili spokoju. Miejsce to leży poniżej Kentu, siedem mil od Chatham i trzy mile od najbliższej stacji kolejowej. O godzinie trzeciej piętnaście dostałem telegram, o piątej byłem już w Yoxley

Old Place, przeprowadziłem dochodzenia i złapałem jeszcze ostatni pociąg do Charing Cross, skąd niezwłocznie dorożką udałem się do pana.

— Co jest panu niejasne w tej sprawie?

— Ja w ogóle niczego nie rozumiem. Jest to, śmiało mogą panu powiedzieć, najbardziej tajemnicza historia, na jaką kiedykolwiek natrafiłem; a jednak z początku wydawała się niezmiernie prosta. Brak jest jakiegokolwiek motywu, Mr. Holmes, i to mnie najbardziej niepokoi. Ten człowiek został zamordowany, temu nie można zaprzeczyć, lecz nie ma żadnego powodu, dla którego by miano popełnić tę zbrodnię.

Holmes zapalił papierosa i oparł się wygodnie w fotelu.

— Proszę nam podać bliższe szczegóły - rzekł.

— Wszystko jest całkiem jasne - zaczął Stanley Hopkins - z drugiej jednak strony nie mogę pojąć, co to wszystko znaczy.

Sprawa wygląda następująco: Przed kilku laty pewien starszy jegomość, profesor Coram, kupił wiejski domek w Yoxley Old Place. Jest to chory człowiek, który połowę życia spędził w łóżku, a drugą poruszając się z trudem o lasce lub też każąc ogrodnikowi obwozić się w fotelu na kółkach po swojej posiadłości. Nieliczni sąsiedzi, którzy go odwiedzają, lubią go i cieszy się wśród nich sławą uczonego człowieka. Jego służba składa się z gospodyni, niejkiej pani Marker, i pokojowej, Zuzanny Tarlton. Obie kobiety przybyły do domku razem z profesorem Robią wrażenie dobrych i prawych charakterów. Profesor pisze jakieś dzieło naukowe; przed niespełna rokiem chciał zaangażować sekretarza. Pierwsi, dwaj, których przyjął, nie nadawali się, dopiero trzeci, nazwiskiem Willoughby Smith, młody człowiek, który dopiero co ukończył studia uniwersyteckie, wydawał się właśnie takim, jakiego potrzebował profesor. Jego czynności polegały na tym, że każdego przedpołudnia pisał pod dyktando profesora, pozostały zaś czas spędzał na wyszukiwaniu w książkach tych ustępów, które odnosiły się do pracy przypadającej na dzień następny. Ten Willoughby Smith jako młody uczeń w Uppingham, a potem jako student w Cambridge, prowadził się bez zarzutu. Widziałem jego świadectwa; od samej młodości był porządnym, spokojnym, pilnym człowiekiem, bez żadnych nałogów. Jednym słowem, nie znalazłem w nim „słabych miejsc”. I tego właśnie młodego człowieka znaleziono, dziś rano nieżywego. Leżał w pracowni profesora, a okoliczności pozwalają przypuszczać, że został zamordowany.

Wiatr wył i targał okiennicami. Holmes i ja przysunęliśmy nasze fotele bliżej ognia, podczas gdy młody inspektor wolno, punkt po punkcie, opowiadał dalej.

- Zdaje się, że w całej Anglii trudno by było znaleźć dom, w którym mieszkańcy żyliby w większym odosobnieniu i bardziej oddaleni od wpływów zewnętrznych. Całe tygodnie mijają - i nikt z domu nie wychodził poza bramę ogrodu. Profesor jedynie żył dla książek i nauki, nic innego dla niego nie

istniało. Młody Smith nie miał w sąsiedztwie żadnych znajomości i żył podobnie jak jego pracodawca. Także obie kobiety nigdzie nie wychodziły. Mortimer, ogrodnik, który obwozi profesora po ogrodzie, to inwalida z wojny krymskiej, człowiek uczciwy. Nie mieszka razem ze wszystkimi, lecz w małym, trzypokojowym domku stojącym w samym końcu ogrodu. Otóż i wszyscy ludzie zamieszkujący teren Yoxley Old Place. Brama ogrodu oddalona jest od szosy Londyn-Chatham o jakie sto metrów. Brama ta zaopatrzona jest jedynie w kłamkę, tak że każdy może bez przeszkody wejść do ogrodu.

Teraz przytoczę panu zeznanie Zuzanny Tarlton, jedynej osoby, która wie coś konkretnego w tej sprawie. Było to przed południem, między godziną jedenastą a dwunastą. Zajęta była właśnie wieszaniem firanek we frontowym pokoju na pierwszym piętrze. Profesor Coram leżał jeszcze w łóżku, gdyż w czasie niepogody nie wstaje przed południem. Gospodyni miała jakąś robotę w głębi domu. Willoughby Smith znajdował się w swoim pokoju, który służył mu zarazem za sypialnię; Zuzanna słyszała, jak przeszedł przez korytarz i zeszedł na parter do pracowni leżącej bezpośrednio pod jego pokojem. Nie widziała go, lecz oświadczyła, że rozpoznała jego szybkie kroki, co do tego nie miała wątpliwości. Nie mogła tylko powiedzieć, czy zamknął za sobą drzwi pracowni. W minutę potem usłyszała okropny krzyk, straszliwy, ochrypły, dziwny i niesamowity krzyk. Nie mogła stwierdzić, czy był to głos mężczyzny, czy kobiety. Zaraz potem rozległo się ciężkie uderzenie, które wstrząsnęło całym domem, i zapadła cisza. Dziewczyna stała przez chwilę jak skamieniała, potem jednak zdobywszy się na odwagę, zbiegła po schodach na dół. Drzwi do pracowni były zamknięte. Otworzyła je. Gdy weszła do pokoju, ujrzała Smitha leżącego na podłodze. Z początku nie mogła dostrzec żadnej rany, lecz gdy usiłowała go podnieść, spostrzegła krew płynącą z przebitej szyi. Rana była mała, ale głęboka. Narzędzie zbrodni leżało obok na dywanie. Za pomocą małego nożyka o kościanej rękojeści, który służył do odrywania lakowych pieczęci,

przebito główną arterię w szyi nieszczęśliwego. Nożyki takie spotyka się jeszcze czasem na staromodnych sekretarzykach Ten, którym dokonano zbrodni, jest własnością profesora i zwykle leży na jego biurku.

W pierwszej chwili dziewczyna myślała, że Smith już nie żyje, gdy jednak skropiła mu czoło wodą z karafki, Smith otworzył oczy i wyszeptał: „Profesorze - to była ona...” Może przysiąc, że słyszała te właśnie słowa. Próbował jeszcze z wysiłkiem coś powiedzieć, lecz wskazał tylko prawą ręką na sufit. Potem drgnął i osunął się na ziemię - nie żył.

Tymczasem nadbiegła gospodyni, ujrzała całą tę scenę, lecz nie słyszała ostatnich słów konającego. Pozostawiła Zuzannę przy trupie, a sama pobiegła do pokoju profesora. Zastała go siedzącego na łóżku. Był bardzo wzburzony, słyszał bowiem wszystko i przypuszczał, że musiało się coś stać. Mrs. Marker może przysiąc, że profesor był jeszcze w nocnym stroju, gdyż było rzeczą niemożliwą, aby zdołał się ubrać bez pomocy ogrodnika, który miał zjawić się dopiero na godzinę dwunastą. Profesor twierdzi, że uszu jego dobiegł daleki krzyk, jednak co się potem stało, nie wie. Nie potrafi również wytłumaczyć ostatnich słów umierającego. Uważa, że mógł to być objaw zaćmienia umysłu przed zbliżającą się śmiercią. Przypuszcza, że Smith nie miał żadnych wrogów, toteż nje może nawet wyobrazić sobie, jaki był powód zbrodni. Posłał zaraz Mortimera do miejscowej policji z wiadomością o morderstwie. Naczelnik policji zadepeszował po mnie. Przed moim przybyciem niczego nie ruszono i wydano nawet zakaz chodzenia po drodze i ścieżkach wokół domu. Była więc znakomita sposobność do zastosowania w praktyce pańskich teorii, Mr. Holmes. Niczego tam naprawdę nie brakowało...

- Z wyjątkiem Sherlocka Holmesa! - przerwał mój przyjaciel z gorzkim uśmiechem. - Dobrze, ale mów pan dalej. Co pan uczynił po przybyciu na miejsce?

- Musi pan wpierw rzucić okiem na ten pobieżny szkic, który określi panu położenie pracowni profesora w stosunku do

innych pomieszczeń. Może w tym znajdzie pan jakiś punkt za-  
czenia Będzie panu łatwiej zrozumieć tok mego śledztwa.

Hopkins rozłożył przed Holmesem swój plan. Wstałem i  
podszedłem do mego przyjaciela, zająłem mu przez ramię.

- Jest, oczywiście, schematyczny i zawiera jedynie  
najważniejsze szczegóły. Resztę - obejrzy pan na miejscu.  
Jeżeli, po pierwsze, przyjmiemy, że zbrodniarz przybył do domu  
z zewnątrz, to w jaki sposób tam wszedł? Najprawdopodobniej  
ścieżką ogrodową i przez tylne drzwi, od których do pracowni  
prowadzi mały korytarzyk. Każda inna droga jest zbyt  
skomplikowana i niebezpieczna. Do ucieczki zbrodniarz musiał  
użyć tej samej drogi, gdyż pozostałe dwa wyjścia były dlań  
odcięte, jedno przez Zuzannę, która zbiegała właśnie po  
schodach, a drugie prowadzi do sypialni profesora. Dlatego całą  
moją uwagę skierowałem na ścieżkę ogrodową. Ponieważ  
niedawno padał deszcz, więc spodziewałem się znaleźć na niej  
jakieś ślady.

Moje poszukiwania wykazały jednak, że mamy do-  
czynienia z ostrożnym i doświadczonym przestępcą. Na ścieżce  
nie znalazłem żadnych śladów: ani butów, ani bosych stóp.  
Natomiast nie ulega wątpliwości, że ktoś szedł po trawniku  
obok ścieżki, uniknął w ten sposób konieczności pozostawienia  
śladów na ścieżce. Mógł to być jedynie morderca, gdyż od rana  
nie przechodził tamtędy ani ogrodnik, ani też nikt z  
domowników, a w nocy padał deszcz.

— Chwileczkę - rzekł Holmes. - Dokąd prowadzi ta  
ścieżka?

— Na drogę.

— Jaka jest długa?

— Około stu metrów.

— Jednak koło bramy znalazł pan zapewne również  
ślady stóp.

— Niestety, nie, tam ścieżka, jest brukowana.

- A na drodze?

— Też nie; tam ślady są już zatarte.

— Do licha! No dobrze, a jaki kierunek wskazywały ślady na trawniku, w kierunku domu, czy też w kierunku bramy?

- Tego nie mogłem stwierdzić. Nigdzie nie znalazłem wyraźnego śladu.

- Była to mała, czy duża stopa?

- Tego również nie można było rozpoznać.

Holmes dał głośno wyraz swemu niezadowoleniu.

— W tym czasie padał deszcz i szalała burza - powiedział. - Trudniej teraz będzie odkryć coś tam niż na tym pergaminie. No tak, ale nic na to nie poradzę. Co uczynił pan po uświadomieniu sobie, że niczego się nie dowiedział?

— Myślę jednak, Mr. Holmes, że coś odkryłem. Wiedziałem, że ktoś z zewnątrz ostrożnie wkradł się do domu. Zbadałem więc przede wszystkim korytarz. Wyłożony jest kokosowym chodnikiem, niczego więc na nim nie znalazłem. Potem poddałem badaniu pracownię. Jest to pokój dość starannie umeblowany. Głównym meblem jest biurko z dwoma szeregami szufladek i wąską, małą szafką pomiędzy nimi. Szafka ta była zamknięta, szufladki zaś otwierały się bez użycia klucza. Widocznie nigdy ich nie zamykano. Nie znalazłem też w nich niczego wartościowego. W szafce natomiast znajdowały się ważne papiery. Nie było jednak żadnych śladów wskazujących na to, że ktoś usiłował je wyjąć, a profesor zapewnił mnie, że niczego z papierów nie brakuje. Stąd wniosek, że morderstwa nie dokonano w celach rabunkowych.

Teraz muszę jeszcze powiedzieć panu o trupie tego młodego człowieka. Leżał w pobliżu biurka nieco na lewo, widać to na szkicu. Rana znajdowała się po prawej stronie i biegła od tyłu do przodu tak, że samobójstwo jest prawie wykluczone.

— O ile, oczywiście, nie upadł na nóż - zauważył Holmes.



— Tak jest. To samo i mnie przyszło na myśl. Jednak nóż znaleziono daleko od ciała, więc to przypuszczenie upada. Prócz tego trzeba, oczywiście, wziąć pod uwagę słowa umierającego. Wreszcie zaś w prawej dłoni zamordowanego znalazłem ten oto przedmiot.

Stanley Hopkins wyjął z kieszeni mały pakunek, owinięty w papier. Po rozwinięciu ukazało się naszym oczom złote pince-nez z dwoma kawałkami czarnego, jedwabnego sznurka, zwieszającego się z obu końców.

- Willoughby Smith miał dobry wzrok - zauważył detektyw, wskazując na zawartość papieru. - Nie ulega wątpliwości, że należy to do mordercy.

Holmes wziął szkła do ręki i badał je z wielką uwagą i żywym zainteresowaniem. Nasadził na nos i próbował czytać, potem podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, następnie obejrzał pince-nez w pełnym świetle lampy. W końcu zaśmiał się krótko pod nosem, usiadł przy stole i napisał kilka zdań na papierze, który wręczył inspektorowi Hopkinsowi ze słowami:

- To najlepsza rada, jakiej mogę panu udzielić. Może przyda się panu na coś.

Zdziwiony detektyw odczytał głośno, co następuje:

- Poszukuje się kobiety o dobrych manierach i wykwintnie ubranej. Posiada ona szczególnie gruby nos i blisko siebie osadzone oczy. Czoło zmarszczone, ostry wyraz twarzy, plecy prawdopodobnie skrzywione. Pewne szczegóły wskazują na to, że w ostatnich dwóch miesiącach była dwa razy u optyka. Ponieważ używa szkieł bardzo silnych, a optyków jest niewielu, zatem nietrudno będzie odnaleźć jej ślad”.

Holmes zaśmiał się widząc zdumienie Hopkinsa. Muszę się przyznać, że i ja byłem zdziwiony.

— Cała ta dedukcja jest niezwykle prosta - rzekł. - Według mnie nie ma przedmiotu bardziej nadającego się do badań niż pince-nez, i to tak specjalne pince-nez jak to. Jest własnością kobiety, to wynika z jego wykonania i ostatnich słów umierającego sekretarza. Ze złotej, kunsztownej oprawy

wnoszę, że należy do kobiety o dobrych manierach, wytwornie ubranej. Kabłąki są silnie rozstawione, więc nos jej u nasady musi być bardzo gruby. Nosy tego gatunku są zazwyczaj krótkie, lecz zdarzają się wyjątki, więc przy tym twierdzeniu nie będę się zbytnio upierał. Ja sam mam wąską twarz, a jednak szkła są dla mnie ułożone za blisko. Wynika z tego, że oczy naszej damy muszą być blisko siebie osadzone. Możesz się przekonać, Watsonie, że szkła są wklęsłe i bardzo silne. Kobieta, która przez całe życie jest tak krótkowidząca musi nosić ślady tej ułomności na czole w postaci zmarszczek i mieć skrzywione plecy.

— Tak - odparłem. - Twoje argumenty są niezwykle, jasne. Przyznaję jednak, że nie wiem, z czego wnioskujesz o dwukrotnym odwiedzeniu optyka.

Holmes wziął ponownie pince-nez do ręki.

— O ile ci wiadomo - wyjaśnił - kabłąki pokryte są pasemkami korka w celu złagodzenia ucisku na nos. Jedno pasemko jest brudne i zatłuszczone, drugie natomiast nowe. Widocznie niedawno zostało założone. Tamto zaś zostało zmienione nie dalej, jak przed kilkoma miesiącami. Obydwa są takie same i wykonane identycznie, mogę więc założyć, że obie naprawy zostały wykonane w tym samym sklepie.

— Na Boga, to cudowne! - zawołał Hopkins z najwyższym podziwem. - Pomyśleć, że wszystko to miałem w ręku i nie wiedziałem o niczym! Ale w każdym razie chciałem obejść wszystkich londyńskich optyków.

— Oczywiście, mógł pan to zrobić. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie?

— Nie, panie Holmes. Myślę, że pan wie teraz tyle samo co ja, a prawdopodobnie nawet więcej. Wybadaliśmy też, czy nie widziano jakiejś obcej osoby na stacji kolejowej lub na drodze. Nie widziano nikogo. Najbardziej martwi mnie brak jakiegokolwiek motywu zbrodni; już skłonny jestem przypuścić, że maczał w tym palce jakiś duch!

— Niestety, w tym kierunku nie mogę służyć panu pomocą. Przypuszczam, że chce pan, abyśmy jutro udali się tam razem?

— Tak, jeśli nie odmówi pan mojej prośbie, Mr. Holmes. O godzinie szóstej rano odchodzi pociąg z Charing Cross do Chatham. W Yoxley Old Place będziemy między dziewiątą a dziesiątą.

— Wobec tego pojedziemy tym pociągiem. Pańska sprawa zawiera wiele ciekawych punktów i z chęcią rozpatrzę ją bliżej. A teraz przydałoby się kilka godzin snu, jest już blisko pierwsza. Pan może położyć się na sofie koło kominka, tu jest lampka. Jutro rano dostanie pan filiżankę kawy.

Nad ranem burza ucichła, lecz w chwili gdy wyruszyliśmy, panowało dotkliwe zimno. Ujrzyliśmy nad Tamizą wschodzące zimowe słońce, oświetlające długie, ponure kanały i baseny, które mimo woli przypominały mi nasz pościg za Andamańczykiem z pierwszych dni naszej kariery. Po długiej i uciążliwej jeździe wysiedliśmy na małej stacyjce, odległej o kilka mil od Chatham. Gdy konie zatrzymały się przed miejscową gospodą, wysiedliśmy, aby szybko zjeść śniadanie. Po czym wynajętym powozem udaliśmy się do Yoxley Old Place. Przy bramie ogrodowej spotkaliśmy policjanta.

— Czy jest coś nowego, Williamie?

— Nie sir, nic.

— Nie widziano nikogo obcego?

— Nie, sir. Na stacji twierdzą, że wczoraj nikt obcy ani nie przyjechał, ani nie odjechał.

— Czy zasięgnął już pan wiadomości w zajazdach i gospodach?

— Tak, lecz nie mieszka tam nikt, kto mógłby wchodzić w rachubę.

— Dobrze. Oto ścieżka, o której panu mówiłem. Ktokolwiek by tędy szedł, musiał pozostawić ślad. Zapewniam pana, że wczoraj nie było na niej żadnego śladu.

- - Po której stronie widział pan zgniecioną trawę?

- Tutaj, na tym wąskim trawniku, oddzielającym ścieżkę od klombu kwiatowego. Teraz prawie już nic nie widać, wczoraj jednak ślady były całkiem wyraźne.

— Tak, tak, ktoś tędy szedł - powiedział Holmes, pochylając się nad trawnikiem. - Nasza dama musiała mieć lekki chód i posuwała się niezwykle ostrożnie, w przeciwnym razie zostawiłaby jakieś ślady albo na mokrym klombie, albo na ścieżce. Szła tak ostrożnie, jakby stąpała po równo zasłanym łożku.

— Tak, działała z zimną rozwagą.

Wyraz twarzy mego przyjaciela był bardzo zagadkowy. -  
Przypuszcza pan, że powracała tą samą drogą?

— Tak jest, a czy mogła powrócić inną?

— I po tym wąskim trawniku?

— Tak, Mf. Holmes.

— Hm! Niezwykła zręczność, rzeczywiście nadzwyczajna! Zdaje mi się, że ta ścieżka nie powie nam już nic więcej. Idźmy dalej. Brama ogrodowa jest zazwyczaj otwarta?

— Tak.

— Nasza osoba mogła więc wejść swobodnie. Nie przybyła z zamiarem popełnienia morderstwa, wcale o nim nie myślała, w przeciwnym bowiem wypadku zaopatrzyłaby się w broń i nie użyłaby nożyka leżącego na biurku. Potem przeszła tym korytarzem, gdzie na kokosowym chodniku nie pozostawiła żadnych śladów. Następnie weszła do pracowni. Jak długo tam przebywała? Tego, niestety, nie wiemy.

— Tylko kilka minut, Mr. Holmes. Zapomniałem

powiedzieć panu, że Mrs. Marker była tam krótko przedtem, może kwadrans, jak sama twierdzi, i sprzątała.

— Doskonale, mamy więc określony czas. Nasza dama wchodzi i co czyni? Zbliża się do biurka. W jakim celu? Z pewnością nie po to, aby zabrać - coś z szufladek, gdyż ważne i cenne rzeczy zamknięte są na klucz. Nie, tu chodziło o coś, co mieściło się w samym biurku. Hola! Cóż to za rysa? Watsonie, zapal zapałkę. Dlaczego nie powiedział mi pan o tym, panie Hopkins?

Kysa, której się przyglądał, biegła po „mosiężnym okuciu na prawo od dziurki od klucza; miała cztery cale długości i uszkodziła politurę.

— Widziałem ją, Mr. Holmes, jednak koło dziurki od klucza zawsze są takie rysy.

— Ta jednak jest świeża, całkiem świeża. Proszę Zwrócić uwagę, że mosiądz w tym miejscu błyszczący. Stara rysa miałaby ten sam kolor, co powierzchnia mosiądzu. Niech pan popatrzy teraz przez moją lupę. Na politurze widać również zadarcia po obu stronach rysy, podobne do bruzdy w ziemi. Czy Mrs. Marker jest w domu?

Do pokoju weszła starsza kobieta o przygnębionym wyrazie twarzy.

— Czy ścierała pani wczoraj kurz z tego biurka?

— Tak, proszę pana.

— Czy zauważyła pani tę rysę?

- Nie, naprawdę nie widziałam jej.

— Jestem przekonany, że jej pani nie widziała, w przeciwnym razie bowiem byłaby pani starła zdrapaną politurę. Kto posiada klucz do tego biurka?

— Profesor nosi go na łańcuszku przy zegarku.

— Czy to zwyczajny klucz?

— Nie, proszę pana, to klucz patentowy.

— Doskonale. Może pani odejść. Teraz wiemy już nieco więcej. Posunęliśmy się trochę naprzód. Nasza nieznajoma podchodzi więc do biurka i otwiera je lub przynajmniej próbuje otworzyć. W tym momencie wchodzi Smith. Chce szybko wyjąć klucz i przy tej sposobności robi rysę. On chce ją zatrzymać. Ona chwyta pierwszy lepszy przedmiot z biurka, był nim przypadkowo nóż, i uderza nim Smitha, aby się uwolnić. Cios był śmiertelny Sekretarz pada, a ona ucieka wykonawszy swój plan lub nie.. A, jest tu i Zuzanna! Powiedz nam, czy mógł ktoś, gdy już usłyszałaś krzyk, niepostrzeżenie uciec tamtymi drzwiami?

— Nie, sir, to było niemożliwe. Zanim zbiegłam po schodach na dół, musiałabym dojrzeć tę osobę w korytarzu. Poza tym nie słyszałam aby ktoś otwierał te drzwi.

- Zatem to wyjście odpada. Nieznajoma musiała więc uciekać tą samą drogą, którą przybyła. O ile wiem, drugie wyjście prowadzi tylko do pokoju profesora. A może się mylę?

— Nie, sir.

— Pójdziemy więc tam i poznamy się z profesorem! Halo, Hopkins! Ten korytarz również jest wyłożony kokosowym chodnikiem, to bardzo ważne odkrycie!

— Tak? Więc co z tego?

— Nie rozumie pan jakie to ma znaczenie dla naszej

sprawy? Dobrze więc, dobrze, nie będę się przy tym upierał, może to i nie ma żadnego znaczenia... Jednak to mnie zastanawia, wydaje się dziwne... Chodź pan i przedstaw nas profesorowi.

Przeszliśmy korytarz; był tak samo długi jak ten, który prowadził do ogrodu. Na końcu znajdowało się kilka schodków, a za nimi drzwi. Nasz przewodnik zapukał i weszliśmy do pokoju profesora.

Pokój był bardzo duży. Wzdłuż ścian stały ogromne szafy wypełnione niezliczoną ilością tomów; również po kątach i na podłodze leżały porozrzucane książki, które widocznie nie znalazły pomieszczenia na półkach. Na środku pokoju stało łóżko, na którym wsparty na poduszkach, siedział właściciel domu. Nie widziałem bardziej charakterystycznej postaci! Szczupła, orla twarz zwrócona była w naszym kierunku. Spod krzaczastych brwi spoglądały na nas przenikliwe, głęboko osadzone oczy. Włosy i broda były całkiem siwe, jedynie w okolicy ust broda miała jakieś dziwne żółte plamy. Pośród gmatwaniny siwych włosów palił się papieros, którego trzymał w ustach, a cały pokój pełen był dymu tytoniowego. Gdy podał Holmesowi rękę, zauważyłem, że pokryta była żółtymi plamami od nikotyny.

- Pali pan, Mr. Holmes? - zapytał doskonałą angielszczyzną z prawie niedostrzegalnym obcym akcentem. - Proszę, weź pan papierosa. A pan? Mogę je śmiało polecić, robione są przez Jonidesa w Aleksandrii, na specjalne zamówienie. Posyła mi za każdym razem tysiąc sztuk. Niestety, muszę się przyznać, że co czternaście dni zamawiam nową przesyłkę. Źle, sir, bardzo źle; jednak taki stary człowiek jak ja musi mieć jakieś przyjemności. Tytoń i moja praca, oto wszystko, co mi jeszcze pozostało.

Holmes zapalił papierosa i ukradkiem rozglądał się po pokoju.

— Tytoń i praca, lecz teraz już tylko tytoń - wykrzyknął profesor. - Niestety! Taka fatalna przerwa! Kto by mógł

przewidzieć tę katastrofę? Taki szanowany młody człowiek! Zapewniam pana, że po tych kilku miesiącach pracy świetnie się zapowiadał. Był doskonałym pomocnikiem. Co pan sądzi o tym wszystkim, panie Holmes?

— Nie mam jeszcze wyrobionego zdania.

— Byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby pan zdołał rzucić jakieś światło w te ciemności. Na takiego starego mola książkowego, chorego w dodatku, cios ten działa paralizująco. Jestem całkowicie tym oszołomiony. Ale dla pana, człowieka czynu, wypadki tego rodzaju są chlebem powszednim. W każdej sytuacji potrafi pan zachować równowagę ducha. Jesteśmy szczęśliwi, że mamy pana po naszej stronie.

Holmes przechadzał się po pokoju tam i z powrotem wzdłuż jednej ze ścian. Zauważyłem, że palił nadzwyczaj szybko. Widocznie smakowały mu świeże aleksandryjskie papierosy.

- Tak sir, to dla mnie straszny cios - mówił dalej profesor. -. To jest moje *magnum opus*, ten stos papierów tam na szafce. Jest to analiza dokumentów znalezionych w koptyjskich klasztorach Syrii i Egiptu, analiza, która sięga głęboko aż do podstaw religii objawionej. Nie wiem, czy uda mi się dokończyć to dzieło; zapadam na zdrowiu, a w dodatku straciłem asystenta. Drogi panie, przecież pan pali szybciej niż ja! Holmes uśmiechnął się.

- Jestem znawcą tytoniu - odparł, biorąc z pudełka następnego papierosa, już czwartego, i zapalił go od poprzedniego. - Ponieważ pan, panie profesorze, podczas popełnienia morderstwa znajdował się w łóżku, więc nie będę pana męczył niepotrzebnymi pytaniami. Chciałbym jedynie wiedzieć, co pan sądzi o ostatnich słowach umierającego: „Profesorze - to była ona”?

Profesor potrząsnął głową.

— Zuzanna jest wiejską dziewczyną - rzekł - a pan wie, jak ograniczeni są ludzie jej pokroju. Wyobrażam sobie, że ten



nieszczęśliwy mruczał coś bez związku, a ona połączyła to w zgoła bezsensowny sposób.

— Rozumiem. A pan jak sobie tłumaczy tę tragedię?

— Być może, że to nieszczęśliwy wypadek; możliwe też, mówiąc między nami, że popełnił samobójstwo. Młodzi ludzie mają jakieś tam własne skryte kłopoty, może zawód miłosny, o którym nikt nigdy nie wiedział? To przypuszczenie wydaje się bardziej prawdopodobne niż morderstwo.

— A pince-nez?

— Ach! Jestem tylko - badaczem, marzycielem. Nie mam zmysłu praktycznego. Istnieją jednak rozmaite przejawy miłości. Na wszelki wypadek weź pan jeszcze papierosa. Ciesz się, że panu smakują. Wachlarz, rękawiczka, szkła takie jak te - kto wie, co może wydać się najdroższe człowiekowi, który zamierza popełnić samobójstwo. Może była to dla niego jakaś pamiątka, z którą nie chciał się rozstać w godzinę śmierci? Ten pan mówił o jakichś śladach na trawniku; jednak w tym przypadku nietrudno o pomyłkę. A nóż? No tak, ale biedak mógł padając odrzucić nóż daleko od siebie! Być może, mówię jak dziecko, lecz coś mi się wydaje, że Willoughby Smith sam targnął się na swoje życie.

Holmes udał, że przychyła się do tej teorii, i począł znów jak przedtem spacerować po pokoju, paląc papierosa za papierosem.

— Niech mi pan powie, profesorze Coram - spytał w końcu - co przechowuje pan w tej szafce w biurku?

— Nic, co by mogło mieć jakąkolwiek wartość dla złodzieja. Znajdują się tam dokumenty rodzinne, listy mojej żony i dyplomy uniwersyteckie. Tu jest klucz. Może się pan sam przekonać.

Holmes wziął klucz do ręki i przyglądał mu się przez chwilę, potem zwrócił go.

- Ale zdaje mi się, że to niepotrzebne - rzekł - wolę raczej zejść do ogrodu i pomyśleć trochę. Jest w tym wszystkim coś, co stwarza możliwość, że samobójstwo nie jest

wykluczone. Proszę o wybaczenie, że pana niepokoiśmy, profesorze. Zapewniam pana, iż nie przeszkodzimy mu aż do Obiadu. O godzinie drugiej przyjdziemy tu jeszcze raz, aby panu streścić wyniki naszych dochodzeń.

Holmes był bardzo roztargniony; przez dłuższy czas przechadzaliśmy się w milczeniu.

— Trafiłeś już na jakiś ślad? - spytałem wreszcie.

— To zależy jeszcze od papierosów, które paliłem - odparł. - Możliwe, że się mylę. Papierosy to okażą.

- Mój drogi Holmesie - zawołałem - jakże to...

- Zobaczysz. Jeżeli nie, to nic nie szkodzi. Oczywiście, moglibyśmy zajść do optyków i zrobić wywiad, ale wybrałem krótszą drogę do celu. Ach, to nasza dobra pani Marker! Nie zaszkodzi pięć minut pogawędki z nią.

Holmes umiał, jak to już kiedyś wspomniałem, pozyskiwać sobie sympatię i zaufanie kobiet. Po krótkiej chwili rozmawiał z gospodynią, jakby znał ją od lat.

— Tak, Mr. Holmes, jest tak, jak pan mówi. Ma pan zupełną rację. Profesor za dużo pali. Przez cały dzień, a czasem nawet całą noc. Pewnego ranka, gdy weszłam do pokoju, to myślałam, że panuje tam londyńska mgła. Biedny pan Smith palił też dużo, jednak nie tyle, co profesor. Jego zdrowie... no tak, ale ja właściwie nie wiem, czy palenie szkodzi, czy nie.

— W każdym razie zabija apetyt - rzekł Holmes.

— Tak? Nic o tym nie wiedziałam.

— Przypuszczam, że profesor jada bardzo mało.

— Zależy kiedy.

— Założę się, że nie jadł dziś śniadania, a sądząc po ilości wypalonych dotąd papierosów, obiadu również jeść nie będzie.

— Myli się pan. Wprost przeciwnie, właśnie że dziś na śniadanie zjadł bardzo wiele, a na obiad zamówił dużo kotletów. Dziwię się sama, jak może mieć taki apetyt po tym, co wczoraj zaszło. Ja na samo wspomnienie tracę ochotę do jakiegokolwiek jedzenia. Ale są różni ludzie na świecie, profesorowi nie

odebrało to widocznie apetytu.

Całe przedpołudnie przechadzaliśmy się po ogrodzie. Stanley Hopkins udał się do wsi, uganiając się za jakąś obcą kobietą, którą poprzedniego ranka widziała na drodze wiodącej do Chatham grupa bawiących się dzieci. Co do mego przyjaciela, to wydawał się być całkowicie pozbawiony energii. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby tak ospale zabierał się do pracy. Nawet nowina, którą przyniósł Hopkins o kobiecie podobnej do opisanej przez Holmesa, bez okularów lub innego rodzaju szkieł, nie zainteresowała go zbyt. Natomiast ożywił się bardzo, kiedy Zuzanna opowiedziała przed samym Obiadem o spacerze, który Smith odbył na pół godziny przed śmiercią. Ja sam, niestety, nie mogłem pojąć, dlaczego ta wiadomość jest dla Holmesa tak ważna. Nagle zerwał się z krzesła i spojrzał na zegarek.

- Druga godzina, panowie - powiedział. - Musimy iść do profesora i zdać mu sprawozdanie z naszej działalności.

Profesor kończył właśnie obiad; puste talerze wskazywały, że przewidywania gospodyni spełniły się: apetyt mu służył. Stanowił dość niesamowity widok, gdy tak siedział zwrócony ku nam bladą twarzą, okoloną postrzępionymi kosmykami siwych włosów, z wpatrującymi się w nas płonącymi oczyma. W ustach dymił nieodłączny papieros. Był już ubrany i siedział w fotelu koło kominka.

- No więc, Mr. Holmes, rozwiązał już pan tę zagadkę?

Podsunał w naszym kierunku stojące na stole pudełko z papierosami. Holmes, chcąc wziąć papierosa, popchnął pudełko tak, że spadło na podłogę. Przez dłuższą chwilę zbieraliśmy na kolanach porzucane papierosy. Gdyśmy się podnieśli zauważyłem, że oczy Holmesa błyszczały, a policzki nabrały kolorów. Kryzys minął, zbliżała się walka.

- Tak - odparł - rozwiązałem.

Hopkins i ja patrzyliśmy nań ze zdziwieniem. Po twarzy profesora przemknął jakby drwiący uśmiech.

— Czyżby? W ogrodzie?

— Nie, tu.

— Tu! Kiedy?

— W tej chwili.

— Pan żartuje, Mr. Holmes. Sprawa jest zbyt poważna, aby traktować ją w ten sposób.

— Profesorze Coram, każde ogniwo mego łańcucha jest dobrze wykute i wypróbowane, tak że wiem, jaką ma wytrzymałość. Nie są mi jeszcze znane pańskie pobudki i pańska rola w tej sprawie. Za kilka minut prawdopodobnie pan sam mi je wyjaśni. Chwilowo jednak ja opowiem panu, jak to wszystko się odbywało, żeby pan zrozumiał, jakich mi potrzeba wyjaśnień.

Wczoraj w pańskiej pracowni przebywała kobieta. Przyszła z zamiarem zabrania pewnych papierów, które znajdowały się w biurku. Klucz przyniosła ze sobą. Miałem sposobność widzieć niedawno pański klucz i nie znalazłem na nim śladów, które musiałaby pozostawić uczyniona nim rysa. Pan więc nie jest współwinny, ponieważ ona przyszła, o ile się domyślam, bez pańskiej wiedzy.

Profesor wypuścił z ust chmurę dymu.

- To bardzo interesujące i pouczające - rzekł. - Czy ma pan jeszcze coś do dodania? Ponieważ poszedł pan za tą panią tak daleko, to może pan objaśni, co się z nią stało?

- Spróbuję. Pierwszy spotkał ją sekretarz. Pochwycił ją, a ona go zabiła, aby móc uciec. Cała katastrofa wynikła przypadkowo; ona nie przybyła tu, aby go zamordować. Morderca nie przychodzi bez broni. Nieprzytomna i przerażona dokonany czynem, uciekła z miejsca zbrodni. Nieszczęśliwym przypadkiem podczas szamotania się z sekretarzem zgubiła szklę, a będąc krótkowzroczną, nie widziała nic bez nich. Pobiegnęła przez korytarz; wydawało jej się, że jest to ten, którym przyszła, obydwa bowiem wyłożone są tym samym kokosowym chodnikiem. Gdy spostrzegła, że ucieka w fałszywym kierunku, miała już odcięty odwrót. Co uczyniła dalej? Musiała iść naprzód, nie mogła się cofnąć. Pobiegnęła po schodach na górę i

znalazła się w pańskim pokoju, panie profesorze.

Stary profesor siedział z otwartymi oczyma i wpatrywał się w Holmesa dzikim wzrokiem. Na jego twarzy malowało się zdziwienie pomieszane z trwogą. Potem z wysiłkiem zaśmiał się i wzruszył ramionami.

— Wszystko to bardzo ładnie, panie Holmes - powiedział. - Jest jednak poważna luka w pańskim rozumowaniu. Ja sam byłem przecież cały dzień w pokoju.

— Wiem o tym, profesorze Coram.

— I sądzi pan, że ja, leżąc w łóżku, nie zauważyłbym że ktoś wchodzi do pokoju?

— Tego nie powiedziałem. Pan to zauważył. Mówił pan nawet z nią. Pan ją zna i chce jej pomóc w ucieczce.

Profesor zaczął się piskliwie śmiać. Potem zerwał się z wściekłością.

— Pan oszalał! - krzyknął. - Gadasz pan jak obłąkany. Ja miałbym pomóc jej w ucieczce? Wiec gdzież ona teraz jest?

— Tam - odparł Holmes i wskazał na wysoką szafę stojącą w kącie.

Ujrzałem, jak starzec załamał się, przez twarz przebiegło mu kurczowe drżenie i opadł w fotelu. W tej samej chwili szafa, na którą wskazał Holmes, obróciła się i wypadła z niej kobieta.

- Ma pan rację! - zawołała dziwnym, obcym głosem. - Ma pan rację! Jestem tutaj!

Była brunatna od kurzu i pajęczyn, ściągniętych ze ścian swojej kryjówki. Również twarz miała pobrudzoną. Pomijając jednak ten fakt, dostrzegłem, że i tak nigdy nie była ładna. Jej wygląd zgadzał się całkowicie z opisem, który Holmes podał na kartce, poza tym miała wysuniętą, energiczną dolną szczękę. Przez kilka chwil mrugała oczyma, co częściowo przypisać można było jej krótkowzroczności, a częściowo nagłemu przejściu z ciemności do światła. Starła się dojrzeć, ilu nas jest i kim jesteśmy.

A jednak wbrew temu niekorzystnemu wyglądowi, swoim sposobem „poruszania się, uniesieniem głowy i wyrazem twarzy zdradzała szlachetność i dumę, co zmuszało do szacunku i podziwu. Hopkins położył rękę na jej ramieniu i oświadczył, że jest aresztowana; ona jednak ruchem pełnym godności odsunęła go na bok. Profesor leżał w fotelu, twarz jego drgała, a oczy były nieruchomo wpatrzone w kobietę.

— Tak, sir, jestem do pana dyspozycji - rzekła. - Słyszałam wszystko i wiem, że odkrył pan prawdę. Przyznaję się do wszystkiego. To ja zamordowałam tego młodzieńca. Słusznie wywnioskował pan, że był to nieszczęśliwy wypadek. Nie wiem, w jaki sposób i kiedy ten nóż znalazł się w moim ręku, byłam zrozpaczona i chwyciłam pierwszy lepszy przedmiot leżący na stole, nie wiedząc nawet, że jest to nóż. Potem uderzyłam. Chciałam, aby mnie puścił. Taka jest prawda, nie kłamię.

— Madame - rzekł Holmes - nie wątpię w to. Ale cóż to? Wydaje mi się, że pani mdleje...

Twarcz jej rzeczywiście zbladła śmiertelnie. Usiadła na brzegu łóżka i mówiła dalej:

- Mam mało czasu, ale chcę, aby pan znał całą prawdę. Jestem żoną tego człowieka. On nie jest Anglikiem. Jest Rosjaninem. Jego prawdziwe nazwisko przemilczę.

Teraz dopiero starzec ocknął się.

- Niech cię Bóg błogosławi, Anno! - wykrzyknął. - Niech cię Bóg błogosławi!

Spojrzała na niego z najwyższą pogardą..

— Dlaczego tak kurczowo trzymasz się życia, Sergiuszu? - zapytała. - Uczyniło ono tylu ludzi nieszczęśliwymi, a czy tobie coś dało? Jednak nie jest moją rzeczą nakłaniać cię do położenia kresu takiemu życiu, i tak przyjdzie na to czas. Od chwili przekroczenia tego przeklętego progu dosyć już mam na sumieniu. Muszę jednak powiedzieć wszystko, zanim będzie za późno.

— Mówiłam już panom - zwróciła się do nas - że jestem żoną tego człowieka. Gdyśmy się pobrali, on miał lat

pięćdziesiąt, a ja byłam głupią dwudziestoletnią dziewczyną. Było to w pewnym rosyjskim mieście uniwersyteckim, nazwy wolę nie wymieniać.

— Bóg cię wynagrodzi, Anno - wyszeptał starzec.

— Byliśmy reformatorem, rewolucjonistami, nihilistami. Pan rozumie; on, ja i wielu innych... Potem rozpoczął się okres prześladowań; zastrzelono oficera policji, dokonano licznych aresztowań. Policja potrzebowała świadka. Aby uratować życie i otrzymać wyznaczoną nagrodę, mój mąż nie wahał się zdradzić mnie i moich towarzyszy. Zostaliśmy wszyscy aresztowani. Wielu poszło na szubienicę, reszta na Sybir. Wśród tych ostatnich znajdowałam się i ja, mój mąż wyjechał do Anglii i żył tu z pieniędzy otrzymanych za zdradę. Wie dobrze, że gdyby nasz związek dowiedział się o miejscu jego pobytu, nie żyłby dłużej niż tydzień.

Starzec wyciągnął drżącą rękę po papierosa.

— Jestem w twoich rękach, Anno - rzekł. - Zawsze byłaś dobra dla mnie...

— Nie opowiedziałam jeszcze o jego najnikczemniejszym postępku - mówiła dalej, nie zważając na jego słowa. - Pomędzy członkami naszego stowarzyszenia, znajdował się jeden, który szczególnie był dla mnie bliski. Był szlachetny, bezinteresowny, pełen miłości - jednym słowem przeciwieństwo mego męża. Brzydził się gwałtem. Wszyscy byliśmy winni - o ile w takich sprawach o winie w ogóle można mówić - lecz on jeden był czysty jak kryształ. W listach często ostrzegał nas. Na podstawie tych listów mógłby zostać uwolniony. Również i mój dziennik, w którym opisywałam moje uczucie ku niemu, jak i poglądy, mógł służyć za dowód jego niewinności. Mój mąż znalazł ten dziennik i listy, przywłaszczył je sobie i ukrył. Całym jego pragnieniem było zniszczyć tego człowieka i zaprowadzić na szubienicę. Nie udało mu się to jednak w całej pełni, Aleksy został jedynie skazany na ciężkie roboty i zesłany na Sybir. Przebywa tam do dziś. Uprzytomnij to sobie, ty łotrze, ty nędzniku! A teraz... teraz, w tej chwili,- musi

Aleksy, człowiek, którego imienia nie jesteś godny wymówić, pracować jako niewolnik. Mimo to pozwalam ci żyć, choć całe twoje życie jest w moich rękach.

— Byłaś zawsze szlachetną kobietą, Anno - rzekł starzec, zaciągając się dymem z papierosa.

Próbowała wstać, ale z tłumionym okrzykiem bólu, opadła z powrotem na łóżko.

- Muszę kończyć - rzekła. - Gdy wyszłam na wolność, postanowiłam odzyskać mój pamiętnik i listy. Wiedziałam, że jeśli prześlę je do Rosji, uzyskam zwolnienie mego przyjaciela. Wiedziałam, że mój mąż wyjechał do Anglii. Po miesiącach długotrwałych poszukiwań odkryłam miejsce jego pobytu. Wiedziałam, że dziennik znajduje się jeszcze w jego posiadaniu, gdyż podczas mego pobytu na Syberii napisał list, w którym czynił mi wyrzuty, przytaczając niektóre urywki z mojego dziennika. Zbyt dobrze znałam jego mściwą naturę, abym mogła przypuszczać, że mi go zwróci. Musiałam zdobyć go sama! W tym celu zaangażowałam prywatnego detektywa, to był, Sergiuszu, twój drugi sekretarz. Ten, który cię tak prędko opuścił. Wybadał, że papiery znajdują się w szafce, i sporządził odcisk klucza. Dalej nie chciał się posuwać. Potem narysował mi plan domu i objaśnił, że przed południem w pracowni nie ma nikogo, że sekretarz wtedy jest u ciebie. Uzbroiłam się więc w odwagę i postanowiłam sama zdobyć papiery. Udało mi się, ale za jaką cenę!

Właśnie wyjęłam papiery i chciałam już zamknąć szafkę, gdy nadszedł ten biedny młody człowiek. Spotkałam go już rano na drodze i spytałam, gdzie mieszka profesor Coram - nie wiedziałam wówczas, że pracował u niego jako sekretarz.

— Tak jest! Zgadza się! - wtrącił Holmes. - Sekretarz powróciwszy opowiedział profesorowi, że spotkał jakąś kobietę. Potem w ostatniej chwili życia chciał powiedzieć, że to była ona, ta właśnie, którą spotkał i o której dopiero co mówił z profesorem.

— Proszę mi nie przerywać, muszę dokończyć - rzekła



rozkazującym tonem, podczas gdy jej twarz wykrzywiła się z bólu. - Gdy upadł na ziemię, wybiegłam z pokoju, wybierając jednak złe drzwi, i znalazłam się w innym korytarzu. W pierwszej chwili nie zorientowałam się i idąc dalej, znalazłam się w pokoju mego męża. Powiedział, że wyda mnie w ręce policji. Zwróciłam uwagę, że życie jego znajduje się w moim ręku; jeżeli on odda mnie w ręce policji, to ja zawiadomię związek o miejscu jego pobytu. Nie chodziło mi o moje życie, lecz o życie mego przyjaciela. Chciałam wypełnić względem niego mój obowiązek. Mój mąż wiedział, że dotrzymam słowa i że jego los jest ściśle związany z moim. Cokolwiek się stanie, musiał na razie ukryć mnie. Otworzył tę kryjówkę za szafą - pozostałość z dawnych czasów - i ukrył mnie tam. Dzielił się ze mną jedzeniem. Umówiliśmy się, że w nocy, gdy policja opuści dom, odejdę i więcej nie powrócę. Pan jednak pokrzyżował nasze plany.

Wyszarpnęła mały pakiecik, który miała ukryty na piersiach.

— Tu są te papiery, które uratują Aleksego. Powierzam je pańskiemu honorowi i pańskiej uczciwości. Niech je pan weźmie i odda w ambasadzie rosyjskiej... Spełniam mój obowiązek, a teraz...

— Trzymajcie ją! - krzyknął Holmes i skoczył w jej kierunku, wrywając z ręki małą flaszeczkę.

— Za późno... - wyszeptała opadając na łóżko. - Za późno! Zażyłam truciznę już przedtem, zanim wyszłam z kryjówki... W głowie mi szumi! Odchodzę. Proszę nie zapomnieć o listach...

- Prosty wypadek, a jednak pod pewnymi względami pouczający - zauważył Holmes gdyśmy wracali do miasta. - Wszystko, od samego początku, obracało się wokół tego pince-nez. Gdyby umierający nie chwycił go, to być może, że nigdy nie wyświetlilibyśmy tajemnicy. To był szczęśliwy przypadek.

Było dla mnie całkiem jasne, że osoba o tak słabym wzroku, bez szkieł jest całkowicie bezradna. Gdy oświadczone

mi, że powróciła tą samą drogą, uznałem to za niemożliwe; musiała by przecież, idąc bez pince-nez, stąpać choć raz na ścieżkę lub o nią zawadzić. Trawnik byłby wówczas dla niej zbyt wąski. Nieprawdopodobieństwem było, aby nosiła ze sobą drugą parę szkieł. Biorąc to za podstawę, mogłem przyjąć, że znajduje się nadal w domu. Spostrzegłszy podobieństwo obu korytarzy, byłem pewny, że musiała się omylić! Jeżeli pomyliła się i poszła przez fałszywy korytarz, to musiała znaleźć się w pokoju profesora. Innej drogi nie było. To wzmogło moją czujność. Począłem szukać dowodów, które by potwierdziły moje przypuszczenie, i rozglądałem się po pokoju w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Dywan przytwierdzony był do podłogi na stałe, tak że zaniechałem przypuszczeń o drzwiach w podłodze. Natomiast schowek mógł się znajdować poza szafami. O ile panom wiadomo, takie schowki znajdują się czasem w starych bibliotekach. Zauważyłem, że wszędzie na podłodze poukładane są stosy książek, jedynie przed jedną z szaf było wolne miejsce. Tam więc musiało znajdować się jakieś wejście. Nie zauważyłem jednak żadnych śladów. Dywan w tym miejscu posiadał kolor ciemnobrązowy, co doskonale nadawało się do mojego eksperymentu. Postanowiłem - zatem dokonać pewnej próby; paliłem jednego papierosa za drugim, a popiół strząsałem przed ową szafą. Był to prosty, lecz doskonały w efekcie podstęp. Potem zeszliśmy na dół i wybadawszy w twojej obecności, Watsonie, gospodynię, ustaliłem, że zwiększyła się ilość zjadanych potraw przez profesora. To było do przewidzenia, musiał bowiem żywić o jedną osobę więcej. Następnie wróciliśmy na górę i tu przez zrzucenie pudełka stworzyłem sposobność dokładnego zbadania powierzchni dywanu. Siady pozostawione na popiele wskazały mi, że ktoś wychodził z kryjówki w czasie naszej nieobecności.

- No, Hopkins, jesteśmy już w Charing Cross. Gratuluję panu wspaniałego sukcesu. Zapewne udaje się pan teraz do swojej głównej kwatery? Myślę, Watsonie, że my pojedziemy tymczasem do ambasady rosyjskiej..



## GRECKI TŁUMACZ

Sherlock Holmes nigdy ani słowem nie wspominał o swojej rodzinie. A przecież znamy się i przyjaźnimy już od wielu lat. Zresztą nie lubił mówić również o swej przeszłości. Dziwna to była powściągliwość. Utwierdzała mnie coraz bardziej w przekonaniu, że brak mu pewnych naturalnych cech i uczuć właściwych człowiekowi, a chwilami nawet robił na mnie wrażenie jakiejś niespotykanej istoty pozbawionej serca, której treść stanowił chyba tylko precyzyjnie działający mózg i wybitna inteligencja. Unikał również kobiet i nowych znajomości. Uważałem to za bardziej typowe dla jego chłodnej natury niż niechęć do wspomnień rodzinnych. W końcu doszedłem do wniosku, iż był sierotą i nie miał żadnych żyjących krewnych. Aż oto któregoś dnia, ku memu bezgranicznemu zdumieniu, Holmes zaczął opowiadać mi o swoim bracie.

Zdarzyło się to pewnego letniego wieczoru. Po herbacie rozmawialiśmy o różnych sprawach, przeskakując z tematu na temat. Zaczęło się od kijów golfowych, potem przedyskutowaliśmy zagadnienie zmiany nachylenia ekliptycznego aż wreszcie dobrnęliśmy do dziedziczności. Zajęliśmy się zwłaszcza dziedziczeniem zdolności, a mianowicie: w jakim stopniu określoną umiejętność jednostki należy przypisać jej własnej pracy, a w jakim stopniu jej przodkom.

— Weźmy na przykład ciebie - powiedziałem. - Swą zdolność obserwacji i wyjątkową łatwość dedukcji zawdzięczasz jedynie własnej mozolnej i systematycznej pracy. To przecież jasne i zgadza się zresztą z tym, czego przed chwilą dowodziłeś.

— Do pewnego stopnia... tak! - odparł Holmes w zadumie. - Moi przodkowie byli ziemianami. Prawdopodobnie wiedli typowy dla tej warstwy społecznej tryb życia. Niemniej jednak na obrany przeze mnie zawód mogły mieć wpływ

również pewne cechy odziedziczone po mojej babce, siostrze francuskiego artysty Verneta. A artyzm we krwi może przejawiać się w przeróżnych, nieraz bardzo dziwnych formach.

- Ale na jakiej właściwie podstawie twierdzisz, że ki zdolności dziedziczne?

- Dlatego, że mój brat, Mycroft, obdarzony jest nimi w większym jeszcze stopniu niż ja.

Odpowiedź ta kompletnie mnie zaskoczyła. Bo czyż to możliwe, aby w Anglii istniał drugi oprócz Sherlocka człowiek o tak wyjątkowych uzdolnieniach i nie był znany ani publiczności, ani nawet w kołach policyjnych? Wyraziłem swą wątpliwość Holmesowi robiąc aluzję, że widocznie tylko skromność kazała mu uznać brata za bardziej uzdolnionego od siebie. Holmes śmiał się z moich przypuszczeń.

- Mój drogi Watsonie - powiedział. - W żadnym wypadku przesadnej skromności nie zaliczam do zalet. Człowiek myślący logicznie powinien widzieć wszelkie zjawiska życiowe we właściwym świetle, takimi, jakimi są w rzeczywistości. Gdy więc nie doceniamy siebie, zniekształcamy prawdę, podobnie jak gdybyśmy przeceniali swe możliwości. A więc skoro twierdzę, że Mycroft posiada w wyższym stopniu rozwiniętą zdolność obserwacji niż ja, to możesz przyjąć to za prawdę. Tak bowiem jest w rzeczywistości.

- Czy on jest młodszy od ciebie?

— Nie! Starszy o siedem lat!

— I pozostaje nie znany? Czyż to możliwe?

— Och! Przeciwnie! On jest bardzo popularny w swoich sferach.

— W jakich?

— No... choćby w „Klubie Diogenesa”.

Nigdy nie słyszałem o takim klubie. Holmes poznał to widocznie po wyrazie mej twarzy, - gdyż spojrzawszy na zegarek rzekł:

- Klub Diogenesa” jest najdziwniejszym klubem w Londynie, a Mycroft jednym z najdziwniejszych ludzi. Zawsze można go tam zastać między godziną 16.45 a 19.40. Teraz wybiła właśnie osiemnasta. Jeśli więc tego pięknego wieczoru masz ochotę na spacer, to z całą przyjemnością zaprowadzę cię

tam i poznasz obie osobliwości na raz.

Po pięciu minutach znaleźliśmy się na ulicy, podążając w kierunku Regent Circus.

— Dziwisz się pewnie, dlaczego Mycroft nie wyzyskuje swych zdolności do działalności detektywistycznej? Po prostu jest do tego niezdolny!

— Ależ mówiłeś przecież...!

— Mówiłem, że przewyższa mnie tak pod względem obserwacji, jak i dedukcji. Widzisz, Watsonie, gdyby zawód detektywa zaczynał się i kończył na rozmyślaniach przeprowadzanych w wygodnym fotelu, to brat mój nie miałby sobie równych. Na to, aby być prawdziwym detektywem, nie ma on ani ambicji, ani energii. Również nie zrezygnuje on nigdy ze swego trybu życia, aby sprawdzić swoje teoretyczne rozważania. Woli raczej, aby myślano, że się pomylił, niż gdyby miał się trudzić nad wykazaniem słuszności swych poglądów. Wielokrotnie przedstawiałem mu różne powikłane zagadnienia. Za każdym razem otrzymywałem od niego takie rozwiązanie, które później okazywało się słuszne. Nigdy natomiast nie był w stanie przedsięwziąć praktycznych posunięć, które trzeba było koniecznie zrealizować, aby przekazać sprawę sędziemu pokoju lub sądowi przysięgłych.

- A więc to nie jest jego zawód?

.- Oczywiście, że nie! To, co dla mnie jest źródłem utrzymania, dla niego stanowi tylko rozrywkę, hobby. Posiada on także wielkie uzdolnienia matematyczne i prowadzi rachunkowość w jednym z urzędów. Mieszka w Pall Mail. Co dzień rano chodzi do pracy w kierunku Whitehall i co wieczór wraca tą samą drogą. Od lat nie zażywa więcej ruchu. Oprócz tego nigdzie nie bywa. Jedyne wyjątkiem stanowi „Klub Diogenesa”, który zresztą znajduje się naprzeciw jego mieszkania.

— Wybacz, ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, abym słyszał o podobnym klubie.

— Zupełnie możliwe. W Londynie mieszka wiele ludzi,

którzy czy to z nieśmiałości, czy też z innych powodów nie życzą sobie ciągłego towarzystwa osób z najbliższego swego otoczenia. A jednak nie gardzą ani wygodnym fotelem, ani najświeższymi czasopismami. Dla nich to właśnie powstał „Klub Diogenesa”. Słynie on z tego, że członkami jego są najbardziej nietowarzyscy londyńczycy.

Regulamin Klubu też jest dość oryginalny. Nie wolno zwracać uwagi na współtowarzyszy ani nie wolno rozmawiać. Do rozmów służy specjalne pomieszczenie zwane „pokojem dla obcych”. Trzykrotne przekroczenie tego zakazu, jeśli dojdzie do wiadomości komitetu, powoduje wykluczenie z Klubu. Brat mój jest jednym z założycieli Klubu. Ja natomiast znajduję tam atmosferę, która wywiera na mnie wyjątkowo kojący wpływ.

Tak rozmawiając dotarliśmy do Pall Mail, a następnie zeszliśmy tą ulicą w dół ku St. James. Sherlock Holmes zatrzymał się przed pewną bramą w pobliżu Carltonu. Jeszcze raz ostrzegł mnie, abym zachował milczenie. Potem dopiero wprowadził mnie do przedpokoju klubu. Przez szklaną ścianę ujrzałem dużą, luksusowo urządzonej salę. Członkowie klubu siedzieli wygodnie w swych małych zakątkach pogrążeni w lekturze czasopism. Wraz z Sherlockiem podążyłem do niedużego, przytulnie urządzonego pokoiku z oknami wychodzącymi na Pall Mail. Zostawił mnie tu na chwilę samego i wyszedł. Wkrótce wrócił w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Już na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że to nikt inny, tylko jego brat.

Mycroft był znacznie rośniejszy i tęższy od Holmesa. Co więcej, nawet bardzo korpulentny. Mimo jednak znacznej tuszy jego nalana twarz zachowała do pewnego stopnia ostrość rysów tak charakterystyczną dla Sherlocka. Miał również podobne, szaro-blade, stalowe oczy. Ich badawczy wzrok sięgał w głąb duszy. W tym właśnie spojrzeniu odnalazłem drugą wspólną cechę z Sherlockiem.

— Rad jestem pana poznać - rzekł podając mi dużą i szeroką dłoń. - Bardzo dużo słyszałem o panu od brata, odkąd



pan został jego biografem. No, Sherlock, spodziewałem się, iż odwiedzisz mnie w poprzednim tygodniu, aby poradzić się w sprawie Manor House. Mam pewne wątpliwości co do słuszności twoich wniosków.

— Nie! Już rozwiązałem tę zagadkę - odrzekł mój przyjaciel uśmiechając się.

— To był naturalnie Adams?!

— Tak, Adams!

— Byłem tego pewien od samego początku.

W czasie rozmowy obaj usiedli w niszy okiennej.

- To wprost wymarzone miejsce dla każdego, kto chce się zabić w obserwację swych bliźnich - powiedział Mycroft.

- Spójrz, co za wspaniałe typy! O, na przykład ci dwaj. Idą właśnie w naszym kierunku.

— Jeden to pewne bilardzista, a drugi...?

— Doskonale! Zgadnij jeszcze, kim jest drugi.

Obaj mężczyźni zatrzymali się w pobliżu okna. U pierwszego z nich zauważyłem nad kieszonką u kamizelki nikły ślad od kredy, jedyną oznakę, iż grał w bilard. Nic więcej nie spostrzegłem. Drugi był bardzo niskim, śniadym brunetem. Czapka zsunęła mu się na tył głowy, pod ręką trzymał kilka pakunków.

- Wydaje mi się, iż to stary wojak - powiedział Sherlock.

— Iw dodatku bardzo niedawno zwolniony z wojska - dorzucił brat.

— Jak widzę, odbywał służbę w Indiach.

— Oficer rezerwy.

- Tak, chyba artylerzysta - rzekł Sherlock.

— Ponadto jest wdowcem.

— Ale ma dziecko.

— Nie dziecko, lecz dzieci, mój drogi chłopcze.

— Ależ panowie - wtrąciłem ze śmiechem. - Tego już chyba trochę za wiele!

— To przecież zupełnie jasne - odparł Holmes. - Kim bowiem może być człowiek o rozkazującym wyglądzie,

tryskający energią i opalony na brąz? Tylko wojskowym powracającym z Indii. I to nie szeregowcem, lecz oficerem.

—Nosi jeszcze buty wojskowe. A więc dopiero niedawno został zwolniony z wojska - zauważył Mycroft. - Nie odznacza się charakterystycznym kawaleryjskim chodem. Czapkę ma z jednej strony wyszarżaną. Nie jest więc saperem. Przemawia zresztą przeciw temu jego waga. To artylerzysta.

Ale patrzmy dalej. Ciężka żałoba wskazuje, iż stracił kogoś bliskiego. Sam też chodzi po zakupy. A więc to na pewno była jego żona. Zobacz. Kupił zabawki - między innymi grzechotkę. Czyli jedno z dzieci jest jeszcze bardzo małe. Prawdopodobnie żona umarła przy porodzie. Ale ma on jeszcze drugie dziecko, o które musi dbać. Dla niego właśnie niesie pod pachą książkę z obrazkami.

Z wolna zacząłem pojmować, co Sherlock miał na myśli mówiąc, iż jego brat posiada jeszcze wybitniejsze niż on zdolności. Sherlock patrzył na mnie i uśmiechnął się, jakby domyślając się treści moich myśli. Mycroft wyjął szyldkretową tabakierkę, zażył tabaki i jaskrawą jedwabną chustką strzepnął z marynarki rozsypany proszek.

— Ale wiesz co, Sherlock - powiedział - dano mi właśnie do rozwiązania niezwykle ciekawy problem. Z pewnością bardzo cię zainteresuje. Mnie zaś brak energii, aby zająć się nim tak, jak należy, choć dał mi on okazję do bardzo ciekawych rozmyślań. Masz ochotę dowiedzieć się o faktach?

— Ależ z największą przyjemnością, drogi Mycroftie! - odparł Sherlock.

Mycroft skreślił kilka słów na kartce z notesu. Potem zadzwonił i wręczył ją kelnerowi.

- Poprosiłem właśnie Mr. Melasa, by przyszedł tutaj. Mieszka on naprzeciwko, o piętro wyżej ode mnie. Jesteśmy więc sąsiadami i znamy się trochę. Z tego też pewnie względu udał się do mnie po radę. Otóż Mr. Melas jest przypuszczalnie z pochodzenia Grekiem, a przy tym świetnym lingwistą. Zdolności językowe stanowią też źródło jego dochodów. Pełni

mianowicie funkcję przysięgłego tłumacza sądowego, a ponadto podejmuje się roli przewodnika, towarzysząc bogatym przybyszom ze Wschodu, którzy zatrzymują się w jednym z hoteli na Northumberland Avenue. Ale najlepiej niech on sam opowie o swym dziwnym wypadku.

Po kilku minutach wszedł do pokoju niski, otyły mężczyzna. Oliwkowa cera i - kruczoczarne włosy zdradzały jego południowe pochodzenie, chociaż mówił doskonałą angielszczyzną. Mocno uściskał dłoń Sherlocka Holmesa. Z jego ciemnych, nieco przymrużonych oczu wycierał błysk zadowolenia, gdy dowiedział się, iż tak wybitny specjalista wyraził gotowość wysłuchania jego historii.

- Nie mam najmniejszej nadziei, aby przekonać policję... Słowo daję! - zaczął żalonym głosem. - Przecież oni są głęboko przekonani, iż jeśli sami o czymś nie słyszeli do tej pory, to nie mogło się to w ogóle wydarzyć. Ja jednak nie zaznam spokoju, dopóki nie dowiem się, co się stało z tym nieszczęśnikiem o twarzy zalepionej plastrem...

— Słucham z całą uwagą - rzekł Sherlock Holmes.

— Dzisiaj jest środa, wieczór - ciągnął Mr. Melas - a całe zajście miało miejsce dwa dni temu, w poniedziałek w nocy. Jak już panu mój sąsiad zapewne mówił, jestem tłumaczem. Znam prawie wszystkie języki. Ale urodziłem się w Grecji, noszę greckie nazwisko i z językiem tym najwięcej mam do czynienia w swej pracy zawodowej. Od wielu już lat jestem w Londynie, głównym tłumaczem greckim. Z tego też powodu nazwisko moje jest bardzo dobrze znane w hotelach.

Często zdarza się, iż cudzoziemcy, gdy popadną w jakieś tarapaty, wzywają mnie o najróżniejszych godzinach dnia i nocy, nieraz zupełnie niezwykłych. Czasem też zwracają się o pomoc kupcy czy agenci podróżujący, którzy nie znają języka angielskiego. Wcale się więc nie dziwiłem, gdy w poniedziałek w nocy przyjechał do mnie bardzo elegancko ubrany młodzieniec, niejaki Mr. Latimer. Z objaśnień jego zrozumiałem, iż odwiedził go znajomy Grek, z którym ma do

załatwienia pilne sprawy handlowe. Niestety, Grek ten włada tylko swoim ojczystym językiem, a więc ja jako tłumacz jestem nieodzownie potrzebny. Moglibyśmy zaraz jechać, powóz bowiem czeka przed domem. Wreszcie napomknął, iż mieszka dosyć daleko, bo w Kensington. Bardzo się spieszył, a gdy zeszliśmy na ulicę, szybko wepchnął mnie do dorożki.

Powiedziałem „do dorożki”, wnet jednak sprostuję pomyłkę. Znajdowałem się w dużym, obszernym powozie, znacznie większym niż zwykła czterokołowa dorożka londyńska. Ponadto obicia przedstawiały materiał pierwszorzędnej jakości, choć nieco podniszczony. Mr. Latimer usadowił się naprzeciwko mnie i ruszyliśmy przez Charing Cross w górę do Shaftesbury Avenue, aż wreszcie wyjechaliśmy na Oxford Street. I wówczas to zaryzykowałem uwagę, iż jest to droga okrężna do Kensington. Natychmiast jednak zamilkłem, gdyż mój sąsiad zareagował na moje słowa w sposób wprost nieoczekiwany.

Wyciągnął z kieszeni wielki pistolet nabity ołowiem. Chwilę ważył go w rękę, podnosząc i opuszczając, w końcu bez słowa położył broń z tyłu za plecami na siedzeniu. Następnie po obu stronach pozamykał okna. Ze zdumieniem spostrzegłem, iż szyby były pozaklejane papierem, jakby specjalnie w tym celu, by uniemożliwić wszelką obserwację.

- Bardzo mi przykro, Mr. Melas, muszę jednak pozbawić pana przyjemności oglądania pięknych widoków. Nie dopuszczę do tego, aby poznał pan drogę wiodącą nas do celu. Mógłby pan potem trafić tam ponownie. A to właśnie byłoby dla mnie bardzo niewygodne.

Może pan sobie wyobrazić, jak wstrząsnęły mną te słowa. Mr. Latimer był uzbrojony. Ale pomijając nawet ten fakt, nie miałbym najmniejszych szans w walce z silnym, barczystym młodzieńcem.

— To niesłychane, Mr. Latimer - wyjąkałem. - Chyba zdaje pan sobie sprawę, iż tego rodzaju postępowanie jest bezprawiem.

—Niewątpliwie - odrzekł - jest to pewnego rodzaju ograniczenie wolności osobistej. Ale wynagrodzimy to panu sowicie. Teraz jednak ostrzegam pana, Mr. Melas. W żadnym wypadku niech pan nawet nie próbuje wszczynać alarmu ani krzyżować moich planów! Bardzo źle by się to dla pana skończyło! Proszę wziąć pod uwagę, iż nikt nie wie, gdzie pan się podział. Znajduje się pan przecież całkowicie w moich rękach, obojętnie czy w powozie, czy w moim domu.

Słowa te wypowiedział zupełnie spokojnym głosem, ale tonem zdradzającym groźbę. Siedziałem w milczeniu. Głowiłem się, jaki mógł on mieć powód, aby mnie porywać. Oczywiście jakkolwiek opór nie miałby sensu. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak czekać i śledzić dalszy tok wydarzeń.

Jechaliśmy już niemal 2 godziny. Nie miałem jednak najmniejszego nawet pojęcia, dokąd zdążamy. Czasem tylko silniejszy turkot pojazdu po kamieniach pozwalał się domyślać, iż jedziemy brukowaną drogą dojazdową, to znów cichy i pozbawiony wstrząsów bieg powozu nasuwał przypuszczenie, że powóz nasz wjechał na asfalt. Lecz z wyjątkiem tych odgłosów nie mogłem zauważyć niczego, co pozwoliłoby mi ustalić chociaż w najbardziej przybliżony sposób, gdzie się znajdujemy. Papier na bocznych oknach był zupełnie nieprzejrzysty, a przednią szybę zasłaniała niebieska firanka. Przypomniałem sobie, że gdy opuszczaliśmy Pall Mail, było piętnaście minut po siódmej. Wreszcie powóz stanął, a mój zegarek wskazywał za dziesięć dziesiątą wieczorem. Mój towarzysz podróży uchylił okno. Przelotnym spojrzeniem uchwyciłem niskie drzwi wejściowe o łukowatym sklepieniu. Nad nimi płonęła lampa. Drzwi otworzyły się. Wypchnięto mnie z powozu i wciągnięto do wnętrza domu. Odniosłem wrażenie, jakby po obu stronach wejścia mignęły mi przed oczami trawnik i drzewa. Nie jestem w stanie określić, czy to prywatna posiadłość, czy jakaś dzierżawa.

Przedpokój oświetlała kolorowa lampa gazowa. Jej blady, przykręcony płomień rzucał tak nikłe światło, iż prawie

nic nie było widać. Znajdowałem się w dosyć dużym pomieszczeniu, którego ściany pokryte były obrazami. O ile mogłem się zorientować w przyćmionym świetle lampy, osobnik, który nam otworzył drzwi, był niskim, mizernym, w średnim wieku mężczyzną o przygarbionych ramionach. Gdy zwrócił się ku nam, promień światła załamał się w jego okularach.

— Haroldzie! Czy to Mr. Melas? - zapytał.

— Tak.

— Doskonale, doskonale. Chyba nie czuje się pan zbyt urażony, Mr. Melas? Doprawdy nie możemy się bez pana obejść. I jeśli zastosuje się pan do naszych poleceń, nie pożałuje pan tego. Jeśliby pan jednak próbował nas oszukać, no to niech Bóg ma pana w swojej opiece!

Słowa te wypowiedział nerwowym, przerywanym głosem. Chwilami wydobywał się z jego ust jakiś stłumiony złowrogi śmiech. Człowiek ów napawał mnie jeszcze większym strachem niż młodzieniec.

— Czego pan ode mnie żąda? - zapytałem.

— Ach, drobiazg! Zada pan jedynie kilka pytań pewnemu greckiemu dżentelmenowi, który nas odwiedził. Następnie poinformuje pan nas o treści przeprowadzonej rozmowy. Niech pan jednak nic więcej nie mówi ponad to, co podyktuję. W przeciwnym bowiem razie... - tu znów zaśmiał się złowrogo - a lepiej by panu było nigdy się nie narodzić!

Mówiąc te słowa otworzył drzwi i wskazał drogę do luksusowo urządzonego pokoju. Tu również panował półmrok. Z jedynej lampy sączyło się słabe, na pół przyćmione światło. Przechodząc przez ten duży pokój czułem pod stopami miękkie, drogi dywan. Spojrzenie moje prześlizgnęło się po pluszowych fotelach, białym, marmurowym gzymsie kominka i spoczęło na jakimś ryszunku, przypominającym kompletną zbroję japońską. Starszy mężczyzna uczynił gest zapraszający, abym usiadł w fotelu stojącym tuż pod lampą. Młodzieniec natomiast wyszedł, lecz po chwili wprowadził drugimi drzwiami jakiegoś

człowieka odzianego w rodzaj luźnego szlafroka. Człowiek ów zbliżał się do nas powoli, aż wszedł w krąg bladego światła lampy. Wówczas ogarnęło mnie przerażenie, gdyż mogłem mu się dokładnie przyjrzeć. Był okropnie wynędzniały i trupio blady, lecz jego ogromne oczy lśniły mocnym blaskiem, jak u człowieka silnego charakteru. Większe jednak wrażenie, niż jego opłakany stan fizyczny, wywarła na mnie jego twarz zalepiona plastrem. Tragiczny i zarazem groteskowy widok. Jedno z wielkich, krzyżujących się pasm plastra przecinało usta.

- Czy masz tabliczkę, Haroldzie? - zawołał starszy mężczyzna, podczas gdy nieznajomy opadł raczej, niż usiadł na fotel. - A ręce czy ma wolne? Daj mu więc ołówek. Pan będzie zadawał pytania, Mr. Melas, a on na każde z nich napisze odpowiedź. Przede wszystkim niech go pan zapyta, czy zgadza się podpisać papiery.

Gdy zadałem to pytanie, oczy nieznajomego zaślniły mocniejszym blaskiem.

— Nigdy! - napisał po grecku na tabliczce.

— Czy w żadnym wypadku nie? - zapytałem ponownie na rozkaz dręczyciela.

— Tylko wtedy, gdy udzieli jej ślubu grecki duchowny, którego znam, i to w mojej obecności.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się zjadliwie.

— Czy on wie, co go czeka?

— Nie dbam o siebie.

Tak zaczęła się nasza dziwna rozmowa na wpół pisana, na wpół mówiona. Raz po raz zadawałem mu pytania, czy zrezygnuje z uporu i podpisze dokument. Był bardzo wzburzony i dawał mi niezmiennie jednakową odpowiedź. W pewnej chwili przysła mi do głowy szczęśliwa myśl. Otóż do każdego pytania zacząłem dodawać od siebie po kilka słów. Początkowo były to wyrazy zupełnie obojętne i bez znaczenia. Chciałem bowiem przekonać się, czy nikt z otoczenia nie zorientuje się, o co chodzi. Udało się jednak, gdyż nie zareagowali. Zacząłem więc niebezpieczną grę. Nasza „rozmowa” przybrała mniej więcej taką formę:

— Nic pan nie zdziała swym uporem. *Kim pan jest?*

— Nie dbam o to! *Jestem cudzoziemcem.*

— Los pana spoczywa w jego własnych rękach. *Jak długo pan tu przebywa?*

— A więc niech, tak się stanie! Nie ustąpię! *Już trzy tygodnie.*

— Nigdy nie odzyska pan swojej własności. *Co panu dolega?*

— Nie będę jednak łajdakiem. *Oni morzą mnie głodem.*

— Natychmiast pana zwolnią, skoro tylko podpisze pan papiery. *Co to jest za dom?*

— Nigdy nie podpiszę. *Nie wiem.*

— W ten sposób nie odda jej pan żadnej przysługi. *Jakie jest pana nazwisko?*

— Najpierw musiałbym ód niej usłyszeć, iż tego pragnie. *Kratides.*

— Zobacz ją pan, jeśli pan podpisze. *Skąd pan pochodzi?*



— A więc nigdy jej nie zobaczę! *Z Aten.*

Jeszcze pięć minut, Mf. Holmes, a poznałbym całą prawdę pomimo ich nadzoru. Być może, już następne pytanie wyjaśniłoby tę dziwną sprawę. Niestety, w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła kobieta. Z powodu złego oświetlenia nie mogłem się jej jednak dokładnie przyjrzeć. Zauważyłem jedynie, iż była wysoką, pełną wdzięku brunetką i miała na sobie białą, luźną suknię.

- Haroldzie! - Mówiła po angielsku z akcentem cudzoziemskim. - Już nie mogę dłużej wytrzymać na tym odludziu! Tylko... Och, mój Boże! To przecież Paweł!

Ostatnie słowa wykrzyknęła po grecku. W tej samej chwili mój „niemy rozmówca” zerwał gwałtownym ruchem plaster ze swoich ust i rzucił się w jej ramiona z okrzykiem:

- Zofio! Zofio!

Uścisk ten trwał jednak bardzo krótko. Mr. Latimer natychmiast oderwał od niego kobietę i wypchnął ją z pokoju. Jednocześnie starszy obezwładnił bez trudu wynędzniałego więźnia. Na chwilę zostałem sam. Zerwałem się z fotela z niejasnym uczuciem, iż może teraz uda mi się wyjaśnić tajemnicę tego domu. Na szczęście, nie zdążyłem uczynić jeszcze ani kroku. Obejrzałem się i zobaczyłem w drzwiach starszego mężczyznę, który wpatrywał się we mnie badawczo.

- To wystarczy, Mr. Melas! - powiedział. - Sam pan teraz rozumie, iż obdarzyliśmy go pełnym zaufaniem, prosząc o pomoc w tak intymnej sprawie. Zresztą nigdy byśmy nie odważyli się pana trudzić, gdyby nie to, że nasz przyjaciel, który zna grecki i prowadził nam tę sprawę, musiał niezwłocznie wyjechać na Wschód. Trzeba więc było znaleźć kogoś na jego miejsce. Mieliśmy szczęście trafić na pana.

Skinałem głową.

- Oto pięć funtów - ciągnął dalej, zbliżając się do mnie. - Sądzę, że to wystarczająca zapłata za pańską fatygę. Lecz pamiętaj! - dodał ze złowieszczym uśmiechem, trącając mnie pod żebro. - Jeśli komukolwiek piśniesz choćby słowo, pamiętaj, komukolwiek, to niech się Bóg nad tobą zlituje!

Trudno mi wprost opisać, jakim wstrętem i przerażeniem napawał mnie ten niesamowity typ. Teraz mogłem mu się dokładnie przyjrzeć. Cerę miał niezdrową i żółtą, a bródkę źle utrzymaną. Gdy mówił, wysuwał głowę do przodu, a wargi i powieki drżały mu nieustannie jakby w ataku epilepsji. Również jego przejmujący uśmiech wydawał się być objawem jakiejś choroby nerwowej. Mimo to myśl ta nie uspokajała mnie. Wystarczyło bowiem spojrzeć w jego oczy, aby przekonać się o jego charakterze. W głębi tych zimnych, szarych, stalowych źrenic kryła się szatańska złośliwość i okrucieństwo.

- Jeśli wspomni pan komu o tej sprawie, to my się o tym dowiemy! - ciągnął dalej ów jegomość o złowrogim spojrzeniu. - Mam swoje własne sposoby zdobywania informacji. A teraz... czeka powóz, którym odwiezie pana mój przyjaciel.

Spiesznie odprowadzono mnie do powozu. Znowu spostrzegłem przelotnie drzewa i ogród. Mr. Latimer podązał tuż za mną. Bez słowa zajął znowu miejsce w powozie naprzeciw mnie. Drogę powrotną odbywaliśmy w milczeniu. Nie jestem w stanie określić nawet, jak długa to była trasa. Jechaliśmy z zasłoniętymi oknami i dopiero po północy powóz zatrzymał się.

- Teraz musi pan już wsiąść, r. Melas - odezwał się mój towarzysz podróży. - Bardzo mi przykro, iż zostawiam pana tak daleko od domu, ale nie mam innego wyjścia. Niech pan nawet nie próbuje śledzić mojego powozu, gdyż mogłoby się to źle dla pana skończyć.

Mówiąc te słowa otworzył drzwi. Ledwo zdążyłem wsiąść, a już woźnica smagnął konie batem i powóz odjechał z turkotem. Rozglądałem się zdziwiony „dokoła. Znajdowałem się na jakimś pastwisku porośłym wrzosem. Tu i ówdzie widać było kępy krzaków jałowca. W oddali rysowała się lima domów, mieniająca się gdzieśświatłami z okien górnych pięter. Po drugiej stronie zauważyłem czerwone światła semaforów kolejowych.

Powóz zniknął mi już zupełnie z oczu. Stałem całkowicie bezradny i dezorientowany. Gdzież, u licha, mogę się znajdować? - zastanawiałem się. W pewnej chwili ujrzałem w ciemnościach

jakiegoś człowieka zdążającego w moim kierunku. Gdy się zbliżył, zauważyłem, iż nasi on uniform tragarza kolejowego.

— Czy może mnie pan objaśnić, co to za miejscowość? - spytałem.

— Wandsworth Common - odparł.

— Czy dojadę stąd pociągiem do miasta?

— Jeśli uda się pan niezwłocznie do Clapham Junction, odległego stąd o milę, to zdąży pan jeszcze na ostatni pociąg jadący do stacji Victoria.

— Oto koniec mojej przygody, Mr. Holmes. Nie mam nawet pojęcia, gdzie byłem, ani z kim rozmawiałem. Nie wiem absolutnie nic więcej ponad to, co już powiedziałem. Jestem jednak przekonany, iż prowadzą oni jakąś nieuczciwą grę. Dlatego też w miarę moich możliwości pragnę pomóc owemu nieszczęsnemu człupkowi. Całe to zdarzenie opowiedziałem zaraz nazajutrz Mr. Mycroftowi Holmesowi, a następnie policji.

Po wysłuchaniu tej niecodziennej historii przez dłuższą chwilę milczeliśmy. Sherlock Holmes spojrzał na brata.

- Jakież kroki przedsięwziąłeś w tej sprawie? - spytał. Mycroft wziął do ręki leżący na stoliku egzemplarz „Daily News” i począł czytać:

*Każdy, kto udzieli jakichkolwiek informacji o miejscu pobytu obywatela, greckiego, Pawia Kratidesa z Aten otrzyma nagrodę pieniężną. Kratides nie zna języka angielskiego. Taka, samą nagrodę otrzyma również ten, kto udzieli informacji o obywatelce greckiej, noszącej na pierwsze imię Zofia - X 2473.*

Takie ogłoszenie ukazało się we wszystkich dziennikach. Dotychczas brak odpowiedzi.

— A czy poselstwo greckie orientuje się w tej sprawie?

— Sprawdzalem. Nic nie wiedzą.

— A więc trzeba wysłać telegram do głównej komendy policji w Atenach.

— To Sherlock jest tym, który skupia w sobie energię całej rodziny - powiedział Mycroft, zwracając się do mnie.

— A więc dobrze! Weź w swoje ręce tę sprawę, Sherlocku, i daj mi znać, gdy coś wykryjesz.

— Dobrze - odpowiedział mój przyjaciel, wstając z fotela. - Powiadomię cię, a także pana, Mr. Melas. Tymczasem jednak, Mr. Melas, miałbym się na baczności, gdybym był na pańskim miejscu. Przecież oni już wiedzą dzięki ogłoszeniom w prasie, iż pan ich wydał.

W drodze powrotnej do domu Holmes wstąpił do urzędu telegraficznego i nadał kilka depeesz.

— Widzisz, Watsonie - zauważył - w żadnym wypadku nie zmarnowaliśmy tego wieczoru. Szereg naprawdę ciekawych spraw otrzymałem w ten sposób za pośrednictwem Mycrofta. Ta dzisiejsza zagadka, chociaż moim zdaniem ma tylko jedno rozwiązanie, to jednak nie jest pozbawiona oryginalności.

— Masz nadzieję ją rozwiązać?

— Oczywiście! Byłoby po prostu śmieszne, gdybyśmy nie potrafili wykryć reszty, wiedząc aż tyle o tej sprawie. Chyba uformowałeś już sobie teorię, która by tłumaczyła fakty przez nas usłyszane.

— Tak, ale bardzo ogólną.

— Cóż więc o tym myślisz?

— Greczynkę uprowadził oczywiście młodzieniec podający się za Harolda Latimera.

— Ale skąd ją uprowadził?

— Prawdopodobnie z Aten.

Sherlock Holmes potrząsnął przecząco głową.

— Młodzieniec ani słowa nie umie po grecku.

Natomiast ta dama całkiem nieźle mówi po angielsku. Stąd wniosek, iż musiała jakiś czas przebywać w Anglii, on zaś nie był w Grecji.

— No dobrze! A więc możemy przyjąć, iż przyjechała ona zwiedzić Anglię i Harold namówił ją do wspólnej ucieczki.

— To już jest bardziej prawdopodobne.

— Zofia i Paweł są chyba rodzeństwem. Brat przyjechał z Grecji, aby pokrzyżować plany Harolda. Widocznie jednak postępował nierozważnie i wpadł w pułapkę zastawioną przez młodzieńca i jego starszego współnika. Ci dwaj Uwięzili go, a następnie starali się przemocą wymóc na nim, aby podpisał jakieś dokumenty. Wówczas los dziewczyny, którą przypuszczalnie opiekował się Paweł, znalazłby się w ich rękach. On jednak kategorycznie odmówił. Dla przeprowadzenia z nim pertraktacji postarali się o tłumacza. Gdy ten jednak z jakichś powodów musiał wyjechać, zwrócili się do Mr.. Melasa. Dziewczynie, oczywiście, nic nie wspomniano o przyjeździe brata i ich spotkanie było zupełnie przypadkowe.

— Wspaniale, Watsonie! - zawołał Holmes. - Prawdopodobnie jesteś bardzo bliski prawdy. Sam widzisz. Wszystkie karty mamy w rękę. Możemy się jedynie obawiać jakiejś zbrodni z ich strony. Jeśli będziemy mieć dosyć czasu, to z pewnością ich ujmiemy.

— Ale jak ustalimy miejsce, gdzie znajduje się ten dom?

— Jeśli nasze przypuszczenia są słuszne, a nazwisko dziewczyny jest lub było Zofia Kratides, to nie powinniśmy mieć trudności z odnalezieniem jej. Oto nasza główna szansa, gdyż brat jej jest w Anglii zupełnie nie znany. Oczywiście od chwili uprowadzenia dziewczyny przez Harolda upłynął już pewien okres czasu, co najmniej kilka tygodni. W tym bowiem czasie brat zdążył się o tym dowiedzieć i przyjechał tutaj. Jeśli nie zmienili oni dotychczas miejsca zamieszkania, to niedługo otrzymamy chyba jakąś odpowiedź na ogłoszenie Mycrofta.

W trakcie rozmowy doszliśmy do naszego domu na

Baker Street. Holmes wszedł pierwszy po schodach. Gdy otworzył drzwi do naszego pokoju, cofnął się zdumiony. Zajrzałem mu przez ramię i również bardzo się zdziwiłem. W fotelu siedział jego brat, Mycroft, pałac fajkę.

— Bądź łaskaw wejść, Sherlocku! Proszę bardzo, sir! - powiedział łagodnie” uśmiechając się na widok naszego zdumienia. - Przyznaj się, Sherlocku. Nie spodziewałeś się po mnie takiej energii? No widzisz! Sprawa ta w jakiś niepojęty sposób pociąga mnie.

— Ale jak się tu dostałeś?

— Przed chwilą minąłem cię dorożką.

— Czy zaszło coś nowego?

— Otrzymałem odpowiedź na moje ogłoszenie.

— Ach!

— Tak, nadeszła kilka minut po twoim odejściu.

— No i co ona zawiera?

Mycroft Holmes wydobył kartkę papieru.

- Oto ona. Napisał ją na papierze gatunku „royal cream” człowiek w średnim wieku i o słabej budowie fizycznej.

*Sir! W odpovnedzi na pańskie dzisiejsze ogłoszenie pragną donieść, iż znam bardzo dobrze młodą damą, o którą panu chodzi.*

*Jeśli zechce pan skomunikować się ze mną, to będę mógł podać cały szereg szczegółów, dotyczących jej tragicznego losu. Obecnie mieszka ona w „The Myrtles” koło Beckenham.*

*Z poważaniem J. DAVENPORT.*

- Píše on z Lower Brixton - powiedział Mycroft Holmes.

- Co myślisz, Sherlocku? Może tak pojechalibyście do niego, aby dowiedzieć się tych „szczeólów”?

— Mój drogi, życie brata jest chyba ważniejsze niż koleje losu siostry. Moim zdaniem powinniśmy niezwłocznie porozumieć się z inspektorem Gregsonem ze Scotland Yardu i udać się bezpośrednio do Beckenham. Kratides bowiem, jak już wiemy, był bliski śmierci. Nie mamy więc ani chwili do stracenia,

— Zabierzmy lepiej z sobą Mr. Melasa. - poddałem. - Może nam się przydać jako tłumacz.

— Doskonale! - odrzekł Sherlock Holmes. - Poślij chłopca po dorożkę, zaraz wyjeżdżamy.

Mówiąc te słowa otworzył szufladę biurka. Zauważyłem, jak wyjął rewolwer i wsunął do kieszeni.

- Tak! - odpowiedział na moje spojrzenie. - Muszę ci powiedzieć, że mamy do czynienia ze specjalnie niebezpieczną bandą. Świadczy za tym wszystko, co dotychczas usłyszeliśmy.

Było już niemal ciemno, gdy znaleźliśmy się na Pall Mail w mieszkaniu Mr. Melasa. Okazało się, iż przed chwilą wyszedł, gdyż wzywał go jakiś dżentelmen.

— A nie wie pani przypadkiem, dokąd poszli? - spytał Mycroft Holmes.

— Nie wiem, sir! - odparła kobieta, która otworzyła drzwi.

- Wiem tylko tyle, że pojechał z tym panem powozem.

— Czy ten pan nie podał swego nazwiska?

— Nie, sir!

- Czy nie był to wysoki, przystojny, ciemnowłosy młodzieniec?

— O nie, sir! Ten pan był niskiego wzrostu, miał szczupłą twarz i nosił okulary. To bardzo miły człowiek. Gdy mówił, ciągle się uśmiechał.

— Jedziemy! - krzyknął nagle Sherlock Holmes. - To zaczyna być poważne, zauważył w drodze do Scotland Yardu.

- Ci ludzie znowu porwali Melasa. Niestety, to człowiek pozbawiony fizycznej odwagi. Wiedzą oni o tym dobrze z wypadków poprzedniej nocy. Ten łajdak mógł go sterroryzować zaraz w chwili spotkania. Niewątpliwie potrzebują go jeszcze jako tłumacza. Skoro jednak skorzystają z jego usług, z pewnością będą chcieli zemścić się na nim za to, co w ich mniemaniu stanowi zdradę.



Mieliśmy nadzieję, iż uda nam się dostać pociągiem do Beckenham szybciej lub równocześnie z powozem. Niestety. W Scotland Yardzie straciliśmy przeszło godzinę, zanim udało nam się porozumieć z inspektorem Gregsonem i załatwić wszelkie formalności prawne, potrzebne do tego, abyśmy mieli wstęp do tego tajemniczego domu. Na London Bridże byliśmy o godzinie 21.45, natomiast do stacji Beckenham dotarliśmy dopiero o godzinie 3.30 w nocy. Po przebyciu około pół mili stanęliśmy wreszcie w pobliżu „The Myrtles”, wielkiego, ciemnego domu, położonego w pewnym oddaleniu od drogi na prywatnym gruncie. Tu odprawiliśmy dorożkę i udaliśmy się aleją w kierunku domostwa.

- We wszystkich oknach ciemno. Dom jest chyba nie zamieszkały - zauważył inspektor.

- Nasze ptaszki wyfrunęły i gniazdko jest puste - odezwał się Holmes.

— Dlaczego pan tak twierdzi?

— Ponieważ w ciągu ostatniej godziny przejechał tędy powóz z dość ciężkim bagażem.

— Zauważyłem w świetle lampy wiszącej nad bramą ślady kół - odparł uśmiechając się inspektor. - Ale skąd to przypuszczenie o bagażu?

— Być może zauważył pan ślady kół w innym miejscu. Jak jednak spostrzegłem, zewnętrzna koleina jest bardzo głęboka. Można więc twierdzić, że powóz był obciążony dość znacznym ciężarem.

— Tak, zdobył pan nade mną lekką przewagę - odezwał się inspektor wzruszając ramionami. - No, niełatwo będzie sforsować te drzwi. Tak czy inaczej musimy jednak dostać się do wnętrza, nawet przy użyciu siły, jeśli nikt się nie odezwie.

Inspektor począł energicznie dzwonić i uderzać kołatką, ale bez najmniejszego rezultatu. Holmes tymczasem gdzieś zniknął. Wrócił jednak po chwili.

— Otworzyłem jedno z okien - powiedział.

— Całe szczęście, Mr. Holmes, iż w tym wypadku

okazał się pan zwolennikiem przemocy - zauważył inspektor, gdy spostrzegł, w jaki sprytny sposób mój przyjaciel utorował nam drogę. - No! W tych warunkach możemy chyba wejść, nie czekając na zaproszenie.

Po kolei weszliśmy przez okno do wielkiego pokoju. Jak się okazało, tu właśnie był poprzednio Mr. Melas. Inspektor zapalił lampkę. W jej świetle ujrzeliśmy dwoje drzwi, kotarę, lampę i zbroję japońską. Wszystko zgadzało się z opisem tłumacza. Na stole stały ponadto dwie szklanki, pusta butelka po wódce i resztki posiłku.

- Co to? - spytał nagle Holmes.

Stanęliśmy w milczeniu, nasłuchując. Gdzieś z góry dochodził słaby jęk. Holmes skoczył do drzwi i wybiegł do przedpokoju. Tak. Odgłosy płynęły z piętra. Ruszył więc na górę, a ja z inspektorem tuż za nim. Mycroft starał się nam dorównać, w miarę jak mu na to pozwalała jego tusza.

Na drugim piętrze zatrzymaliśmy się przed trojgiem drzwi. Spoza środkowych usłyszeliśmy jakieś jęki przechodzące chwilami w głuche pomruki lub też w zdławione okrzyki. Drzwi były zamknięte, lecz klucz tkwił w zamku. Holmes otworzył je i wpadł do środka. Natychmiast wybiegł z powrotem, trzymając się za gardło.

- Tam pełno dymu i czadu! - krzyknął. - Poczekajmy chwilę, aż się trochę przewietrzy.

Zagłądaliśmy do środka. Jedyne oświetlenie stanowił nikły, niebieski płomień. Migotał nad małym, miedzianym trójnogiem ustawionym na środku pokoju. Płomień rzucał na podłogę jakiś siny, nienaturalny, kolistego kształtu odbłask. Poza jego zasięgiem ujrzeliśmy w mroku niewyraźne zarysy dwu postaci ludzkich skulonych pod ścianą. Przez otwarte drzwi ulatniał się okropny, trujący dym, którym poczęliśmy się krztusić. Holmes wspiął się do końca schodów, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Następnie zaś wpadł do pokoju, otworzył szybko okno i wyrzucił miedziany trójnóg do ogrodu.

- Za chwilę będziemy mogli wejść - rzekł odetchnawszy

głęboko. - Gdzie jest świeca? Wątpię, czy uda nam się tam zapalić zapalke, Mycroftie! Potrzymaj światło przy drzwiach, a my postaramy się ich stamtąd wydostać.

Z pośpiechem dopadliśmy tych dwu zatrutych ludzi i wyciągnęliśmy ich na zewnątrz. Obaj byli nieprzytomni. Mieli posiniałe, obrzękłe twarze o oczach wychodzących wprost z orbit i fioletowosine wargi. Wskutek tego rysy ich uległy znacznemu zniekształceniu. Jednym z nich był grecki tłumacz, z którym rozstaliśmy się tak niedawno koło „Klubu Diogenesa”. Nie poznalibyśmy go jednak, gdyby nie czarna broda i drobna figura. Skrępowano mu silnie ręce i nogi. Wokół oka widniał ślad po silnym uderzeniu. Podobnie związano drugiego więźnia. Ten wysoki mężczyzna znajdował się już w ostatnim stadium wycieńczenia. Gdy położyliśmy go, przestał jęczeć. Niestety, dla niego nasza pomoc okazała się już spóźniona, co było widać na pierwszy rzut oka. Natomiast Mr. Melas żył jeszcze. Cucilem go, dając do wachania amoniak, a od czasu do czasu podając łyk wódki. Po godzinnym stosowaniu tych zabiegów stwierdziłem z zadowoleniem poprawę. Otworzył oczy i pojął wreszcie, iż wyciągnąłem go z mroków, w których schodzą się drogi życia nas wszystkich.

Opowieść jego była prosta. Potwierdziła jedynie nasze przypuszczenia. Mr. Melas sterroryzowany przez przybysza, dał się uprowadzić pod groźbą śmierci po raz drugi. Widocznie ten śmiejący się złowrogo nędznik wywierał na nieszczęsnego tłumacza jakiś hipnotyczny wpływ. Nawet teraz jeszcze Mr. Melas bladł i drżał, gdy o nim wspominał. Zawieziono go wówczas szybko do Beckenham, a tam znowu pełnił rolę tłumacza w jeszcze bardziej dramatycznej rozmowie niż pierwsza. Dwaj Anglicy zagrozili bowiem uwięzionemu Kratidesowi natychmiastową śmiercią, jeśli nie wypełni ich żądań. W końcu, gdy nie reagował na ich groźby, ponownie zamknęli go w pokoju. Następnie oskarżyli Melasa o zdradę, której dowodziło ogłoszenie w gazecie. Ogłuszyli go jakąś drewnianą pałką. Gdy ocknął się z omdlenia, ujrzał nas

pochylonych nad sobą.

Taka to była niezwykła przygoda greckiego tłumacza. Nie została ona jednak całkowicie wyjaśniona. Skomunikowaliśmy się z tym dżentelmenem, który odpowiedział na ogłoszenie w prasie. Oto co zdołaliśmy ustalić. Młoda dama, Zofia, pochodziła z bogatej rodziny greckiej. Do Anglii przybyła w odwiedziny do znajomych. Wówczas poznała młodzieńca nazwiskiem Harold Latimer, który wywarł na nią taki wpływ, iż uległa jego namowom, aby razem z nim uciec. Jej znajomi, oburzeni do głębi takim postępowaniem, ograniczyli się jedynie do zawiadomienia jej brata w Atenach i umyli ręce od całej tej sprawy. Brat oczywiście przyjechał niezwłocznie do Anglii. Niestety, wskutek lekkomyślności wpadł w ręce Latimera i jego współnika, Wilsona Kempa, niezwykle podejrzanego indywiduum. Ci dwaj wnet zorientowali się, iż stanie się on zupełnie bezradny, skoro tylko znajdzie się w ich rękach. Nie zna przecież języka angielskiego. Uwięzili więc Kratidesa i usiłowali go torturami i głodem zmusić do zrzeczenia się opieki nad siostrą. Trzymali go pod kluczem w zajmowanym przez nich domu. Siostrze nic o tym naturalnie nie powiedzieli. Plaster na twarzy miał utrudnić rozpoznanie go przez Zofię, gdyby go przelotnie ujrzała. Jednak dzięki kobiecej intuicji natychmiast go poznała podczas przypadkowego spotkania w czasie pierwszej wizyty tłumacza. Biedna dziewczyna właściwie też była uwięziona, w domu bowiem nie było nikogo obcego prócz stangreta i jego żony. Ci natomiast byli powolnymi narzędziami w rękach przestępców. Ostatecznie, gdy dwaj łajdacy, Latimer i Kemp, zorientowali się, iż wykryto ich tajemnicę i że niczego nie wymuszą na więźniu, uciekli kilka godzin temu, uprowadzając z sobą dziewczynę. Przedtem, jednak zemścili się na Greku, którego uporczywości nie zdołali złamać, oraz na tym, który ich zdradził.

Kilka miesięcy później otrzymaliśmy z Budapesztu wycinek gazety. Z jego treści dowiedzieliśmy się o tragicznej śmierci dwóch Anglików, podróżujących w towarzystwie

kpbiety. Obaj zostali zasztyletowani. Zdaniem policji węgierskiej zadali sobie nawzajem śmiertelne rany w trakcie gwałtownej kłótni. Holmes jednak jest innego zdania. Do dziś utrzymuje, iż gdyby udało się odnaleźć Greczynkę, to sprawa by się niewątpliwie wyjaśniła. Na pewno, okazałoby się wówczas, w jakim stopniu pomszczono krzywdę Zofii i jej brata, oraz kto tego dokonał.

*Przel. Jerzy Regawski*

## TAJEMNICZA LOKATORKA

Działalność Sherlocka Holmesa obejmuje okres dwudziestu trzech lat, z czego przez siedemnaście pozwalał mi z sobą współpracować oraz zapisywać przebieg i wyniki swoich wyczynów. Nic więc dziwnego, że zebrałem ogromną ilość materiału i mój problem polegał zawsze nie na jego zdobywaniu, lecz na dokonaniu wyboru. W moim posiadaniu znajduje się zajmujący całą półkę rząd grubych, oprawnych notatników, a do tego dochodzi pokaźna ilość wypełnionych dokumentami teczek stanowiących cenne źródło nie tylko dla kryminologa, ale i dla badacza skandalów w towarzyskich i urzędowych sferach późnej epoki wiktoriańskiej. Co do tych ostatnich chciałbym zapewnić piszących do mnie błagalne listy, abym nie wspominał o niczym, co by mogło narazić na szwank honor ich rodziny lub reputację ich antenatów, że ich obawy są całkowicie pozbawione podstaw. Dyskrecja i wysoki poziom etyki zawodowej, jakie zawsze charakteryzowały mego przyjaciela, obowiązują nadal przy redagowaniu tych wspomnień i żadne poufne zwierzenia nie będą nadużyte. Sprzeciwiam się natomiast jak najbardziej stanowczo zabiegom, jakie nastąpiły ostatnio, a mającym na celu zagarnięcie i zniszczenie tych papierów. Źródło Inspiracji tych usiłowań jest znane i jeśli się powtórzą, Sherlock Holmes upoważnił mnie do za powiedzenia, że wszystko, co dotyczy pewnego polityka, latarni morskiej i tresowanego kormorana, będzie podane do wiadomości publicznej. Jeden przynajmniej z czytelników niniejszego zrozumie, co mam na myśli.

Nie należy sądzić, że każda z tych spraw umożliwiła Holmesowi zademonstrowanie jego niezwykłych zdolności i talentu obserwacyjnego, jakie usiłowałem przedstawić w tych wspomnieniach. Czasami osiągał cel nakładem nie lada wysiłków, innym znów razem przychodziło mu to z łatwością. Nieraz się zdarzało, że najstraszliwsze tragedie ludzkie były

przedmiotem tych właśnie spraw, które dawały Holmesowi najmniejsze pole do popisu, i taką właśnie zamierzam teraz utrwalić na piśmie.

Wprowadziłem drobne zmiany w nazwisku i miejscu zdarzenia, lecz wszystkie inne fakty są autentyczne.

Pewnego dnia przed południem, w 1896 roku, Holmes wezwał mnie do siebie za pomocą pośpiesznie napisanej kartki. Zostałem go otoczonego kłębamii tytoniowego dymu, siedzącego w towarzystwie jakiejś matrony, tęgiej, dosyć leciwej, lecz wyglądającej na raczej przedsiębiorczą.

— To jest pani Merrilow z South Brixton - rzekł mój przyjaciel, wskazując ją ruchem dłoni. - Pani Merrilow nie ma nic przeciwko tytoniowi, możesz więc, mój drogi, ulec tej twojej obrzydliwej skłonności. Pani Merrilow ma coś ciekawego do opowiedzenia i w związku z tym twoja obecność może się okazać pożyteczna.

— Chętnie ci służę.

— Sama pani rozumie, że jeśli przyjdę odwiedzić panią Ronder wolałbym z nią rozmawiać przy świadku.

— Niech pana Bóg błogosławi.- odpowiedziała - jej tak zależy na rozmowie z panem, że mógłby pan przyprowadzić całą parafię.

- A zatem przyjdziemy dzisiaj wczesnym popołudniem. Przedtem jednak ustalmy należycie fakty, co dopomoże doktorowi Watsonowi w zrozumieniu sytuacji. Powiada pani, że pani Ronder jest ód siedmiu lat pani lokatorką i że raz tylko widziała pani jej twarz.

— A wolałabym nawet ten jeden raz jej nie widzieć!

— Twarz ta jest, o ile dobrze zrozumiałem, strasznie pokaleczona.

— Panie Holmes, tego, powiadam panu, chyba w ogóle nie można nazwać twarzą. Nasz mleczarz widział ją raz, zaglądnąc przez górne okno, i zaraz opuścił bańkę, tak że mleko się wylało na cały ogród. Taka jest ta jej twarz. A kiedy ją sama zobaczyłam - natknęłam się na panią Ronder w chwili,

kiedy się tego zupełnie nie spodziewała - zakryła ją szybko i powiedziała do mnie: „Pani Merrilow, teraz pani rozumie, dlaczego nigdy nie podnoszę woalki”.

— Czy pani wie cokolwiek o jej życiu?-

— Absolutnie nic.

— Czy wynajmując u pani pokój nie powołała się na kogokolwiek?

— Nie, panie Holmes, ale zapłaciła gotówką i nie targowała się ani chwili. W tych czasach uboga jak ja kobieta nie może sobie pozwolić na utracenie takiego dochodu.

— Czy mówiła, dlaczego wybrała pani dom?

— Mój dom stoi dosyć daleko od ulicy i jest bardziej odosobniony od innych. A poza tym ja wynajmuję tylko jeden pokój i nie mam własnej rodziny. Zdaje mi się, że próbowała mieszkać u innych, ale u mnie czuje się najlepiej. Zależy jej przede wszystkim na samotności i gotowa jest za to zapłacić.

— A więc pani powiada, że nikt nigdy nie widuje jej twarzy, z wyjątkiem tej jednej przypadkowej okazji? To istotnie zastanawiające i nie dziwię się, że pani chciałaby wyjaśnić tę sprawę.

— Ależ ja wcale nie chcę nic wyjaśniać, panie Holmes. Mnie to nie przeszkadza tak długo, jak zgarniam czynsz. Trudno sobie wyobrazić spokojniejszą lokatorkę, nigdy z nią nie mam żadnych kłopotów.

— Cóż zatem spowodowało pani zjawienie się u mnie?

— Stan jej zdrowia, panie Holmes. Wygląda mi na to, że ona już długo nie pociągnie. A do tego coś ją okropnie gnębi na umyśle. Od czasu do czasu wykrzykuje „Morderca!”. A raz słyszałam, jak krzyczała „Ty bestio! Ty potworze!”. To było w nocy i słychać ją było w całym domu, aż mnie ciarki przeszły. Więc rano poszłam do niej i powiadam: „Pani Ronder, jeśli pani coś ciężko na duszy, od tego są księża, no i - mówię - w razie czego policja. Albo jedni, albo drudzy powinni pani przyjść z pomocą”. „Na Boga! Tylko nie policja! - powiada - a księża nie potrafią zmienić tego, co było. A jednak - powiada - ulżyłoby



mi, gdybym przed śmiercią mogła komuś powiedzieć prawdę”. „No cóż - powiadam na to - jeśli pani sobie policji nie życzy, jest taki detektyw, o którym czytałam...” - za pańskim przeproszeniem panie Holmes. A ona na to aż skoczyła i mówi: „Jego właśnie mi potrzeba, nie wiem doprawdy; dlaczego sama o tym dotychczas nie pomyślałam. Pani Merrilow - powiada - proszę go tutaj do mnie przyprowadzić, a jeśli nie zechce przyjść, proszę mu powiedzieć, że jestem żoną Rondera, tego z cyrku, pogromcy dzikich zwierząt. Powiedz mu to pani i powiedz jeszcze, że chodzi o to, co się stało w Abbas Parva”. I tutaj na kartce napisała: Abbas Parva. „To - powiada - skłoni go do przyjścia, jeśli on jest takim człowiekiem, jakim myślę, że jest”.

— Miała rację - odrzekł Holmes. - Bardzo pani dziękuję. A teraz chciałbym pogawędzić z doktorem Watsonem, co pewnie potrwa do obiadu. Proszę na nas oczekiwać w pani domu, w Brixton, około godziny trzeciej.

Zaledwie pani Merrilow wyszła, a raczej wytoczyła się z pokoju, Holmes skoczył ku leżącemu w kącie pokoju wielkiemu stosowi notatników. Przez parę minut słyszałem tylko ciągły szelest przewracanych kartek, aż wreszcie pomruk zadowolenia oznajmił, że mój przyjaciel znalazł to, czego szukał. Tak był jednak podniecony, że nie powstał, ale usiadł na podłodze i skrzyżowawszy nogi, przybrał pozę posągu Buddy, po czym otoczony zewsząd grubymi tomami notatek, jeden z nich otworzył na kolanach.

— W swoim czasie ta sprawa nie dawała mi spokoju - rzekł - czego dowodzą te zapiski na marginesach. Przyznaję, że nie umiałem jej rozwikłać, ale byłem pewny, że sędzia śledczy się myli. Czy nie pamiętasz tragedii w Abbas Parva?

— Nie, nic mi ta nazwa nie mówi.

— A przecież mieszkaliśmy już razem. Co prawda moje wrażenia były powierzchowne, nie miałem żadnych elementów, na których mógłbym się oprzeć, a żadna ze stron nie zechciała skorzystać z moich usług. Czy może chciałbyś przeczytać te

papiery?

— Wolałbym, abyś je ustnie streścił.

— Nic łatwiejszego. Przypomnisz sobie tę sprawę, w miarę jak będę mówił. Otóż nazwisko Ronder było w swoim czasie powszechnie znane. Był on rywalem Wombwella, jak również Sangera, zaliczano go do największych organizatorów widowisk cyrkowych. Rozpił się jednak i zarówno on sam, jak jego przedsiębiorstwo, zaczęli podupadać. Karawana jego wozów cyrkowych, jadąca do Wimbledonu, zatrzymała się na noc w Abbas Par'va, zapadłej wiosce w Berkshire, i wtedy to właśnie nastąpiła owa ponura tragedia. Obozowali tam, tylko, miejscowość jest bowiem tak mała, że nawet jedno przedstawienie by się im nie opłaciło. Wśród zwierząt występujących u Rondera znajdował się bardzo piękny, północnoafrykański lew, zwany Królem Sahary. Ronder i jego żona zwykli się popisywać w jego klatce. Widzisz tutaj fotografię tej części programu i możesz sobie zdać sprawę, że Ronder był opasłym, przypominającym wieprza mężczyzną, a jego żona kobietą niepospolitej urody. W czasie śledztwa wyszło na jaw, że lew uchodził, nie bez powodów, za niebezpiecznego, ale jak to zwykle bywa, przyzwyczajenie zrodziło z czasem obojętność i nikt nie przywiązywał do tego większej wagi.

Ronder i jego żona zwykli karmić lwa w nocy. Czasami jedno z nich, czasami oboje, lecz nikomu innemu nie pozwalali tego robić, uważali bowiem, że tak długo, jak będą jedynymi dostarczycielami żywności, lew będzie do nich przyjaźnie usposobiony. Tej nocy, siedem lat temu, oboje poszli karmić lwa i nastąpił okropny wypadek, którego wszystkie aspekty nigdy nie zostały wyjaśnione.

Około północy cały obóz został zaalarmowany rykiem lwa i krzykiem kobiety. Posługacze oraz resztą cyrkowego personelu wybiegli ze swoich namiotów z latarniami i w ich świetle ujrzeli przerażającą scenę. Ronder leżał w odległości około dziesięciu jardów od otwartej klatki ze strzaskaną

czaszką, na której widać było wyraźne ślady lwich pazurów. Tuż przy klatce leżała na plecach pani Ronder, a obok niej przysiadł rozjuszony lew. Poszarpał jej twarz do tego, stopnia, że nikt nie wierzył, aby mogła wyżyć z tych ran. Kilku cyrkowców, między innymi siłacz Leonardo i kłown Griggs, zapędziło za pomocą drągów lwa z powrotem do klatki, którą natychmiast potem zamknięto. Jak się z niej wydostał, pozostało tajemnicą. Utrzymała się na ogół wersja, że w tej samej chwili, w której Ronderowie otwierali drzwi klatki, lew skoczył ku nim, ciężarem swego ciała uchylił, drzwi i wydostał się na zewnątrz. Śledztwo nie ujawniło żadnych interesujących szczegółów z wyjątkiem tego, że podczas gdy tę nieprzytomną z bólu kobietę niesiono do krytego wozu, w którym mieszkała z mężem, zawołała parokrotnie: „Tchórz!”.

Dopiero po sześciu miesiącach powróciła do zdrowia na tyle, że mogła złożyć zeznania. Śledztwo zostało zamknięte wnioskiem, że śmierć Rondera nastąpiła na skutek nieszczęśliwego wypadku.

— Do jakiego innego wniosku mogło doprowadzić? - zapytałem.

— Może masz rację, a jednak parę szczegółów zwróciło uwagę młodego Edmunda z miejscowej policji w Berkshire. Łebski chłopak! Wysłali go później do Indii. Od niego się dowiedziałem o tej sprawie, bo mnie odwiedził i gawędząc o tym wypaliliśmy parę fajek.

- Szczupły, żółtoblondego mężczyzna?

— Właśnie! Byłem pewny, że sobie to i owo przypomnisz.

— A jakie miał wątpliwości?

— Mieliśmy je obaj. Diabelnie trudno było odtworzyć przebieg wypadków. Spójrz na to z punktu widzenia lwa. Uwolnił się z klatki. Cóż dalej robi? W paru susach posuwa się na przód i zbliża do Rondera. Ten próbuje uciekać - pazury dosięgły go z tyłu głowy - ale lew zwała go na ziemię. A wtedy zamiast umykać lew powraca do kobiety znajdującej się tuż koło klatki, rzuca się na nią i szarpie jej twarz. Co więcej, jej

okrzyki wydają się wskazywać, że mąż jej tak czy inaczej zaniechał przyjść jej z pomocą. A cóż ten biedak mógł dla niej uczynić? Sam zdajesz sobie sprawę z tej sprzeczności.

— Oczywiście.

— Ale to nie wszystko. Teraz gdy o tym myślę, przypominam sobie, że śledztwo wykazało, iż w tej samej chwili, w której rozległ się ryk lwa i krzyk kobiety, słyszano przerażony głos męski.

— To był niewątpliwie głos Rondera.

— Skoro leżał ze strzaskaną czaszką, to chyba nie mógł wydobyć z siebie głosu. Co najmniej dwóch świadków stwierdziło, że krzyk mężczyzny zabrzmiał równocześnie z krzykiem kobiety.

— Wydaje mi się, że wszyscy w obozie wrzeszczeli jeden przez drugiego. A jeśli chodzi o tamte uwagi, to nasuwa mi się sposób ich wytłumaczenia.

— Słucham cię chętnie.

— Ronder i jego żona znajdowali się razem w odległości około dziesięciu jardów od klatki, w chwili gdy lew z niej wyskoczył. Mężczyzna odwrócił się i zaraz potem padł pod uderzeniem lwiej łapy. Kobieta wpadła na pomysł, aby wejść do klatki i zamknąć jej drzwi za sobą. To było dla niej jedyne dostępne schronienie. Pobiegła więc ku klatce i w chwili gdy znalazła się przy niej, zwierzę ją dopadło, i rzuciło się na nią. Zła była na męża za to, że odwracając się rozdrażnił go. Gdyby oboje spokojnie stawili mu czoło, może lew nie ośmieliłby się rzucić na nich. Stąd jej okrzyk. „Ty tchórze”.

- Brawo! W tym rozumowaniu jest tylko jedna skaza.

— A mianowicie?

— Jeśli oboje znajdowali się w odległości dziesięciu jardów od klatki, w jaki sposób lew mógł się z niej wydostać?

— Może wypuścił go ktoś wrogo nastawiony do Ronderów?

— A dlaczego lew miałby się na nich rzucić, skoro znał ich dobrze, był do nich przyzwyczajony i brał udział w ich występach wewnątrz klatki?

— Ta sama wrogo do Ronderów usposobiona osoba mogła lwa podniecić.

— Na rzecz tej twojej teorii przemawia to, że Ronder miał istotnie wielu wrogów. Edmunds mi mówił, że on po pijanemu był strasznym człowiekiem. Prześladować i terroryzował całe swoje otoczenie. Okrzyki: „Ty potworze”, o których wspominała pani Merrilow są, jak przypuszczam, nocną reminiscencją po zmarłym mężusiu. Jednakże nasze rozważania nie na wiele się zdadzą tak długo, jak nie znamy wszystkich faktów. Na bufecie znajdziesz kuropatwę na zimno oraz butelkę francuskiego wina. Przystąpmy do odnowienia zapasu naszych sił, zanim będą nam potrzebne.

Dorożkarz zawiózł nas do domu pani Merrilow i zastaliśmy jej pulchną postać blokującą drzwi prowadzące do wewnątrz jej

skromnej i na uboczu położonej siedziby. Jej główną troską było niewątpliwie zachowanie cennej lokatorki i zanim nas do niej zaprowadziła, prosiła, abyśmy nic nie powiedzieli lub nie uczynili, co mogłoby do takiej straty doprowadzić. Uspokoiwszy ją pod tym względem, weszliśmy na piętro stromymi, pokrytymi wytartym chodnikiem schodami i znaleźliśmy się w pokoju owej tajemniczej lokatorki. Było to ciasne, zatechłe, źle wietrzone pomieszczenie, co nas nie zdziwiło, jako że zamieszkująca je osoba rzadko je opuszczała. Kobieta, która była właścicielką zwierząt w klatce, upodobniła się sama, jakby przez odwet losu, do zwierzęcia w klatce. Siedziała w kulawym fotelu w zaciemnionym kącie pokoju. Długie lata bezczynności pogrubiały zarys jej talii, która niegdyś musiała być bardzo pociągająca i zachowała nadal zmysłową pełność. Gruba, czarna woalka zakrywała jej twarz, lecz była ucięta ponad ślicznie zarysowanymi ustami i powabnie zaokrąglonym podbródkiem. Łatwo mogłem sobie wyobrazić, że zaliczano ją kiedyś do bardzo pięknych kobiet. Nawet jej głos był dźwięczny i miło zmodulowany.

— Moje nazwisko jest panu znane, panie Holmes, i spodziewałam się, że pana do mnie przywiedzie.

— Nie neguję, aczkolwiek nie wiem, dlaczego pani sądzi, że interesowałem się tą sprawą.

— Dowiedziałam się o tym po powrocie do zdrowia, podczas przesłuchiwania mnie przez pana Edmunda z policji hrabstwa Berkshire. Zataiłam przed nim prawdę” a może byłoby lepiej, gdybym wówczas nie była skłamała.

— Prawda opłaca się na ogół, ale dlaczego pani wolała kłamać?

— Od tego - zależał los innej osoby. Wiem, że to była bezwartościowa istota ale nie chciałam mieć na sumieniu jej zguby. Osoba ta była mi niegdyś bardzo, bardzo bliska!

— Czy ta przeszkoda już nie istnieje?

- Tak, osoba którą mam na myśli, nie żyje.

— Dlaczego więc pani nie chce poinformować policji o wszystkim, co pani wie?

— Chodzi o inną osobę, a mianowicie o mnie. Chcę uniknąć

skandalu i rozgłosu, jakie musi pociągnąć za sobą ingerencja policji. Niewiele mi już życia pozostało i pragnę umrzeć w spokoju. A jednak zależało mi na znalezieniu uczciwego i rozsądnego człowieka, któremu mogłabym opowiedzieć moją straszną tajemnicę, aby po mojej śmierci wszystko mogło być wyjaśnione.

— Wdzięczny jestem za tak wysokie o mnie mniemanie, lecz ja mam ze swojej strony duże poczucie odpowiedzialności i nie gwarantuję, że po wysłuchaniu pani nie uznam za stosowne powiadomić policję.

— Nie sądzę, aby pan zechciał to uczynić. Zbyt dobrze znam pańskie metody i charakter. Lektura jest jedyną przyjemnością, jaką mi los pozostawił, i niewiele z tego, co się dzieje na świecie, uchodzi mojej uwagi. Może pan z mojej tragedii zrobić dowolny użytek, chętnie przyjmuję to ryzyko. Wyznanie jej ulży memu sumieniu.

— Mój przyjaciel i ja chętnie panią wysłuchamy.

Kobieta powstała i wydobyła z szuflady fotografię mężczyzny. Rozpoznaliśmy w nim od razu zawodowego atlete. Był to mężczyzna o wspaniałej fizycznej budowie sfotografowany w typowej dla siłacza pozie, z potężnymi rękami splecionymi na szerokich piersiach i z uśmiechem na ozdobionej wielkimi wąsami twarzy, uśmiechem zwycięzcy w wielu turniejach.

- To jest Leonardo - rzekła pani Ronder.

- Leonardo, ten siłacz, który był jednym ze świadków?

- Ten sam, a oto jest fotografia mojego męża.

Ohydna to była twarz człowieka-wieprza, a raczej człowieka-dzika, przerażająca w swym bestialstwie. Łatwo można sobie było wyobrazić tę wstrętną gębę zapluta i skrzywioną w spazmie wściekłości. Oczy zdawały się tryskać wrodzoną i na wszystkich dokoła skierowaną złośliwością. Szubrawiec, brutal, bestia - to wszystko było wypisane na tej twarzy i ogromnych szczękach.

- Te dwie fotografie pomogą panom w zrozumieniu tego, co opowiem. Byłam biedną cyrkówką, wychowaną na trocinach areny. Skakałam przez kółko, zanim ukończyłam lat dziesięć. Gdy dorosłam, ten mężczyzna zakochał się we mnie, o ile takie jak jego zwierzęce pożądanie można nazwać miłością, i w złą godzinę zostałam jego żoną. Od tego dnia znalazłam się w piekle, a on stał się dręczącym mnie szatanem. Wszyscy w naszej trupie wiedzieli, że on znęca się nade mną. Porzucał mnie dla innych kobiet, a gdy robiłam mu wyrzuty, wiązał mnie i chłostał biczem od tresowania koni. Wszyscy mi współczuli, wszyscy go nienawidzili, ale cóż mogli uczynić? Wszyscy się go po prostu bali, strasznym był bowiem człowiekiem na co dzień, a po pijanemu budziły się w nim wprost mordercze instynkty. Raz po raz miał do czynienia z policją za bójki lub za okrucieństwo dla zwierząt, ale pieniędzy mu nie brakowało, więc lekceważył sobie grzywny. Najlepsi nas opuścili i cyrk nasz zaczął stopniowo tracić popularność. Jediną atrakcją programu był Leonardo i ja oraz kłown, mały Jimmy Griggs.



Biedaczysko niezbyt wesołe miał życie, ale robił, co mógł, aby jakoś zabawić publiczność.

Z czasem Leonardo zaczął odgrywać coraz większą rolę w moim życiu. Panowie widzieli sami, jakim był mężczyzną. Wiem teraz, jak ubogie duchem było jego wspaniałe ciało, ale w porównaniu z moim mężem był w moich oczach jak archanioł Gabriel. Litował się nade mną i pomagał mi, aż wreszcie nasza codzienna zażyłość przerodziła się w głębokie, namiętne uczucie, w miłość, o jakiej marzyłam, nie wierząc jednak, abym kiedykolwiek mogła jej zaznać. Mąż mój domyślał się prawdy, ale był zarówno brutalem, jak tchórzem, a Leonardo był jedynym człowiekiem, którego się obawiał, Mścił się za to po swojemu i coraz okrutniej znęcał się nade mną. Pewnej nocy moje krzyki ściągnęły Leonarda aż pod drzwi naszego wozu cyrkowego. Niewiele brakowało, a już tej nocy nastąpiłaby tragedia, i wkrótce mój kochanek i ja zdaliśmy sobie sprawę, że tego uniknąć się nie da. Mój mąż nie zasługiwał na życie. Umówiliśmy się z Leonardem, jak go zabić.

Leonardo miał bystry, wyrachowany umysł. On to ułożył plan działania. Nie mówię tego, aby go oskarżyć, gdyż byłam gotowa w pełni wziąć udział we wszystkim, co postanowi, ale nigdy nie potrafiłabym wpaść na taki pomysł. Sporządziliśmy, a raczej sporządził Leonardo, coś w rodzaju maczugi, a w jej ołowianej główicy Leonardo wtopił pięć długich, stalowych gwoździ, rozmieszczonych bardzo dokładnie w ten sposób, że naśladowały pazury w lwiej łapie. Tym narzędziem mieliśmy zadać memu mężowi śmiertelny cios, tak jednak, aby wszystkie pozory wskazywały, że uczynił to lew, którego mieliśmy w tym celu wypuścić z klatki.

- Noc była bardzo ciemna, gdy mój mąż i ja poszliśmy jak zwykle karmić lwa. Nieśliśmy ze sobą mięso w kubie z cynkowanej blachy. Leonardo czekał za rogiem największego z naszych wozów, przed którym, musieliśmy przejść w drodze do klatki. Przegapił jednak dogodny moment i przeszliśmy obok

niego, zanim zdołał uderzyć, ale poszedł cichaczem za nami i usłyszałam cios, który strzaskał czaszkę mego męża. Na ten dźwięk serce drgnęło mi radośnie. Pobiełam naprzód i odsunęłam rygiel zamykający klatkę lwa.

Wtedy stało się coś strasznego. Słyszał pan może o tym, jak szybko te zwierzęta zwietrzą ludzką krew, i jak podniecająco to na nie działa. Jakiś dziwny instynkt w mgnieniu oka miał znać Królowi Sahary, że zabito człowieka. W chwili gdy otwierałam drzwi klatki, skoczył naprzód i rzucił się na mnie. Leonardo mógł mnie uratować. Gdyby trzymaną w ręku maczugą uderzył lwa, byłby go prawdopodobnie odpędził. Ale Leonardo stchórzył. Usłyszałam, jak krzyknął z przerażenia, i widziałam, jak się odwrócił i uciekł. W tej samej chwili kły lwa dosięgły mojej twarzy. Przedtem jeszcze jego gorący, smrodliwy oddech odurzył mnie do tego stopnia, że prawie nie odczułam bólu. Obu dłońmi usiłowałam odepchnąć od siebie krwawą, parą ziejącą paszczę i zaczęłam krzyczeć, wzywając ratunku. Doszedł jeszcze do mojej świadomości hałas i ruch w obozie i pamiętam mglisto, jak Leonardo, Griggs i inni wyciągali mnie spod łap lwa. Nie wiem, co potem nastąpiło przez sporo długich, udręką wypełnionych miesięcy. Gdy przyszłam do siebie i spojrzałam w lustro, przeklinałam lwa - jakże strasznie go przeklinałam - nie za to, że mi odebrał urodę, ale za to, że mnie pozostawił przy życiu. Jednego tylko pragnęłam i miałam dosyć pieniędzy, aby to osiągnąć. Chciałam zasłonić moją nieszczęsną twarz tak, aby nikt jej nigdy nie widział, i zamieszkać w takim miejscu, gdzie nikt, kto mnie znał, nie mógłby mnie odnaleźć. Nic innego nie pozostawało mi do zrobienia i tak właśnie postąpiłam. Biedne, ranne zwierzę zagrzebało się w swojej norze, aby umrzeć - Eugenia Ronder takiego doczekała się końca.

Wysłuchawszy opowiadania tej nieszczęsnej kobiety siedzieliśmy czas jakiś w milczeniu. Wreszcie Holmes wyciągnął swą długą rękę i pogładził jej dłoń z tak oczywistą i serdeczną sympatią, jaką rzadko kiedy komukolwiek okazał.

— Biedna, dziewczyna - rzekł - niełatwo jest zrozumieć wyroki losu. O ile tam nie czeka nas jakieś zadośćuczynienie, ten świat jest zaiste okrutnym, żartem. A co się stało z Leonardem?

— Nigdy go już więcej nie widziałam i nie słyszałam o nim. To, co pozostawił lew, mogło wzbudzić i utrzymać jego miłość w tej samej mierze, co któraś z tych wynaturzonych, potwornych kobiet, które obwoziliśmy w naszym cyrku po całym kraju. Ale nie tak łatwo ginie miłość kobiety. Leonardo pozostawił mnie na pastwę dzikiej bestii, porzucił mnie w śmiertelnym niebezpieczeństwie, lecz nie mogłam się zdobyć na to, aby go posłać na szubienicę. Co do mnie, było mi wszystko jedno. Cóż może być okropniejszego od mego obecnego życia? Lecz stałam pomiędzy Leonardem a jego przeznaczeniem.

— Czy on już nie żyje?

— Utonął miesiąc temu, kąpiąc się w Mafgate. O jego śmierci dowiedziałam się z gazet.

— A co on zrobił z tą naśladowającą pazury lwa maczugą? To jest najbardziej interesujący szczegół w pani opowiadaniu.

— Nie wiem. Niedaleko naszego obozu była głęboka, częściowo wypełniona wodą glinianka. Może tam na jej dnie...

— Teraz to już nie ma znaczenia. Sprawa jest bezprzedmiotowa i zamknięta.

- Tak - odpowiedziała kobieta - sprawa jest zamknięta.

Powstaliśmy, kierując się ku drzwiom, lecz coś w jej głosie

zwróciło uwagę Holmesa, gdyż szybko odwrócił się ku niej.

— Własne życie nie do pani należy - rzekł. - Odebrać go tobie nie wolno.

— Moje życie nie może się przydać nikomu.

— Skąd ta pewność? Przykład cierpliwości i pokory w cierpieniu jest sam w sobie najcenniejszą z nauk dla tego niecierpliwego świata.

Kobieta odpowiedziała strasznym gestem. Podniosła woalkę i podeszła ku światłu.

- Wątpię, czy pan zdoła ha mnie patrzeć.

Był to zaiste do głębi wstrząsający widok. Żadne słowa nie są w stanie opisać rysów twarzy, która właściwie nie istnieje. Dwoje żywych, pięknych, czarnych oczu patrzących spośród strzępów ciała potęgowało jeszcze grozę tego zjawiska. Holmes podniósł rękę ruchem wyrażającym litość i protest, po czym obaj wyszliśmy z pokoju...

Gdy po dwóch dniach zaszedłem do mego przyjaciela, wskazał mi, nie bez pewnej dumy, małą niebieską butelkę stojącą na jego kominku. Wziąłem ją do ręki. Czerwona nalepka wskazywała na jej trującą zawartość. Otworzyłem butelkę i poczułem przyjemny migdałowy zapach.

— Kwas pruski? - zapytałem.

— Tak. Otrzymałem tę butelkę w dzisiejszej poczcie wraz z kartką, na której było napisane: „Posyłam panu moją pokusę. Pójdę za pańską radą”. Domyślamy się obaj nazwiska tej dzielnej kobiety, która do mnie tę kartkę wysłała.

*Przeł. Jan Meysztoiwicz*

## GARBUS

Pewnego letniego wieczoru, parę miesięcy po moim ślubie, siedziałem przy kominku, dopalając ostatnią łąjkę i drzemiąc nad jakąś powieścią, miałem bowiem tego dnia bardzo wyczerpującą pracę. Moja żona już poszła na górę do sypialni, a brzęk zamykanych drzwi wejściowych upewnił mnie, że służba również udała się na spoczynek. Wstałem z krzesła i wytrząsałem właśnie popiół z fajki, gdy nagle usłyszałem dźwięk dzwonka.

Spojrzałem na zegar. Był kwadrans na dwunastą. O tak późnej porze nie mógł przyjść żaden gość. Raczej był to pacjent i być może czekało mnie całonocne czuwanie. Z kwaśną miną wyszedłem do przedpokoju i otworzyłem drzwi. Ku memu zdumieniu na progu stał Sherlock Holmes.

— Ach, Watsonie - powiedział - miałem nadzieję, że nie będzie za późno, aby się z tobą zobaczyć.

— Mój drogi przyjacielu, proszę, wejdź.

— Jak widać, jesteś zaskoczony i nie ma się co dziwić. Odczuwasz jednak ulgę, mniemam Hm! Wciąż jeszcze palisz tę mieszankę z Arkadii jak za kawalerskich czasów, co? Nie można się omylić, widząc ten puszysty popiół na twojej marynarce. Łatwo zgadnąć, że nawykłeś do noszenia munduru. Watsonie Nigdy nie będziesz mógł uchodzić za prawdziwego cywila, dopóki zachowasz zwyczaj noszenia chustki do nosa w rękawie. Czy mógłbyś mnie dzisiaj przenocować?

— Z przyjemnością.

— Mówiłeś mi, że dysponujesz jednoosobowym kawalerskim pokojem gościnnym. Widzę, że w chwili obecnej nie masz u siebie żadnego gościa płci męskiej. Twój wieszak mi to zdradził.

— Będę zachwycony, jeżeli zatrzymasz się u mnie.

— Dziękuję. Wobec tego zajmę wolny” kołek. Zauważyłem z przykrością, że był u ciebie pracownik

brytyjskich zakładów usługowych. Świadczy to o jakimś nieszczęściu. Mam nadzieję, że wodociąg nie nawalił?

— Nie. Gaz.

- Ach, tak. Pozostawił na linoleum ślady dwóch gwoździ od buta akurat w miejscu, gdzie pada światło. Nie, dziękuję, jadłem kolację w Waterloo, ale z przyjemnością wypalę fajkę w twoim towarzystwie.

Podąłem mu mój kapciuch, a on usiadł naprzeciw mnie i przez pewien czas palił w milczeniu. Wiedziałem, że tylko ważna sprawa mogła go do mnie sprowadzić o tej porze, czekałem więc cierpliwie, aż sam do niej przystąpi.

— Widzę, że jesteś obecnie bardzo zajęty pracą zawodową - powiedział, patrząc na mnie przenikliwie.

— Tak, miałem ruchliwy dzień - odrzekłem. - Być może, wydam ci się bardzo głupi - dodałem - ale doprawdy nie wiem, z czego to wynioskowałeś.

Holmes zachichotał.

— Mam zaszczyt znać twoje zwyczaje, mój drogi Watsonie - powiedział - kiedy masz wizytę gdzieś niedaleko, udajesz się tam pieszo, a gdy obchód jest dalszy, korzystasz z dorożki. O ile zauważyłem, twoje buty, choć zniszczone, nie są bynajmniej zabłocone. Miałeś więc niewątpliwie tyle pracy, że powstała konieczność wyjazdu dorożką.

— Doskonale! - zawołałem.

— Elementarna rzecz - powiedział Holmes. - Jest to właśnie jeden z przykładów na to, że człowiek umiejący wyciągać wnioski potrafi wywołać odpowiedni efekt, i wywrzeć na swym partnerze niezwykle wrażenie tylko dlatego, iż ten ostatni nie dostrzegł jakiegoś drobnego faktu, będącego podstawą dedukcji. To samo można powiedzieć, mój drogi, o pewnych twoich drobnych pracach, których złudny efekt jest całkowicie uzależniony od ciebie samego, ponieważ ty skupiasz w swym ręku pewne dane dotyczące jakiegoś problemu, dane, które nie są znane czytelnikom. W obecnej chwili ja sam jestem w położeniu takiego czytelnika, gdyż mam w ręku cały szereg

nici prowadzących do rozwiązania jednego z najdziwniejszych przypadków, jaki kiedykolwiek zajmował umysł ludzki, a brakuje mi jednej albo dwóch, niezbędnych do uzupełnienia mojej teorii. Ale ja je wynajdę. Watsonie, ja je wynajdę!

Oczy mu błysnęły i lekki rumieniec wystąpił na jego chude policzki. Na chwilę uniosła się zasłona kryjąca siłę i zawziętość jego natury, ale tylko na jedną chwilę. Gdy spojrzałem nań ponownie, jego twarz przybrała już znowu ów wyraz opanowania godny czerwonoskórego Indianina, z powodu którego wiele ludzi uważało go raczej za maszynę niż za człowieka.

- Zagadnienie to ma dość ciekawe momenty - rzekł Holmes - a nawet mogę śmiało powiedzieć, że ma niezwykle ciekawe momenty. Wniknąłem już trochę w tę sprawę i wydaje mi się, że jestem już bliski rozwiązania. Gdybyś mógł mi towarzyszyć, w moich ostatnich posunięciach, oddałbyś mi ogromną przysługę.

— Z wielką radością.

— Czy mógłbyś się jutro wybrać aż do Aldershot?

- Jackson mnie niewątpliwie zastąpi w mojej pracy.

— Bardzo dobrze. Chciałbym wyjechać pociągiem o 11.15 z Waterloo.

— Będę miał wobec tego dość czasu.

— W takim razie, jeżeli nie jesteś znanadto śpiący, opowiem ci pokrótce, co się stało i co jeszcze należy przedsięwziąć.

— Byłem śpiący przed twoim przyjściem. Teraz jestem całkiem rzeński.

— Postaram się streścić tę opowieść w miarę możliwości, aby nie pominąć niczego, co może być istotne w tej sprawie. Bardzo możliwe, że już czytałeś sprawozdanie z tego wypadku. Chodzi o przypuszczalne morderstwo pułkownika Barclaya z pułku Royal Mallovs w Aldershot, w związku z którym przeprowadzam dochodzenie.-

— Nic o tym nie słyszałem.

— Sprawa nie zwróciła na razie uwagi poza lokalnym zainteresowaniem. Fakty te miały miejsce przed dwoma dniami. Krótko mówiąc było to tak:

Royal Malloys, jak wiesz, jest jednym z najsłynniejszych pułków w armii brytyjskiej. Pułk ten cudów dokazywał na Krymie, jak i podczas buntu, i odtąd wyróżniał się przy każdej sposobności. Jego dowódcą aż do poniedziałku wieczora był James Barclay, zasłużony weteran, który zaczął swą karierę jako ochotnik, w czasie buntu awansował za odwagę do rangi oficera i w końcu objął dowództwo nad pułkiem, w którym ongiś był szeregowcem.

Pułkownik Barclay ożenił się jeszcze w okresie, gdy był sierżantem, a jego żona, z domu panna Nancy Devoy, była córką poprzedniego sierżanta-krajowca w tym samym pułku. Z tej też przyczyny, jak sobie łatwo można wyobrazić, zaistniały pewne drobne tarcia towarzyskie, kiedy ta młoda para (albowiem wtedy byli jeszcze młodzi) znalazła się wśród nowego otoczenia. Oni jednak podobno szybko się przystosowali, a pani Barclay, o ile mi „wiadomo, była równie lubiana przez panie pułkowe, jak jej mąż przez swych kolegów oficerów. Muszę jeszcze dodać, że była to kobieta bardzo piękna, a nawet jeszcze i dziś, choć jest mężatką od przeszło 30 lat, ma podziwu godną powierzchowność.

Życie rodzinne pułkownika Barclaya było podobno niezmiennie szczęśliwe. Major Murphy, któremu zawdzięczam większą część tych informacji, zapewnił mnie, że nigdy nie słyszał o żadnym nieporozumieniu w tym stadle małżeńskim. Na ogół Barclay, według niego, był bardziej przywiązany do żony niż ona do niego. Rozstanie z żoną, choćby na jeden dzień, sprawiało mii wielką przykrość. Ona zaś ze swej strony, choć oddana mężowi i wierna, była bardziej powściągliwa w swych uczuciach. Uważano ich jednak w pułku za wzór małżeństwa w średnim wieku. W ich wzajemnych stosunkach nie było nic takiego, co pozwoliłoby przewidzieć tragedię, jaka się miała rozegrać.



Pułkownik Barclay odznaczał się podobno dość szczególnymi rysami charakteru. Zazwyczaj, kiedy bywał w normalnym nastroju, sprawiał wrażenie rubasznego, jowialnego starego wojaka, zdarzały się jednak wypadki, gdy okazywał, że jest zdolny do wielkiej gwałtowności i mściwości. Jednakże ta strona jego natury nie zwracała się nigdy przeciwko żonie. Innym faktem budzącym zdziwienie majora Murphy'ego oraz trzech innych oficerów, z którymi rozmawiałem, był stan szczególnej depresji, nawiedzającej raz po raz pułkownika. Jak major się wyraził, często się zdarzało, że podczas wesołego i żartobliwego przekomarzania się przy wspólnym stole uśmiech nagle znikał z jego ust, jak gdyby zgaszony czyjąś niewidzialną dłonią. Ulegając temu nastrojowi, bywał przez kilka dni z rzędu pogrążony w głębokim smutku. Owe nagłe zmiany humoru oraz pewna przesadność były to jedyne niepowседневne cechy, jakie zostały zaobserwowane przez jego kolegów. To ostatnie dziwactwo przyjęło formę lęku przed samotnością, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku. Dziecinny rys tak wybitnie męskiego charakteru niejednokrotnie wywoływał komentarze i domysły.

Jeden batalion pułku Royal Malloys (jest to pułk 117) stacjonuje od paru lat w Aldershot. Żonaci oficerowie mieszkają poza koszarami, a pułkownik dotychczas zajmował willę o nazwie „Lachine”, znajdującą się w odległości pół mili od North Camp. Dom ten wznosi się na prywatnych gruntach, ale zachodnia jego strona jest oddalona nie więcej niż o 30 jardów od głównego traktu. Służba składa się ze stangreta i dwóch pokojówek. Byli oni wraz ze swoim państwem jedynymi mieszkańcami willi „Lachine”, albowiem Barclayowie nie posiadali dzieci, nie mieli też zwyczaju kogoś gościć u siebie przez dłuższy czas.

Przejdźmy teraz do wydarzeń, które miały miejsce w „Lachine” pomiędzy godz. 9 a 10 w ubiegły poniedziałek.

Pani Barclay była, jak się okazuje, członkiem Kościoła rzymskokatolickiego i bardzo się udzielała w Stowarzyszeniu Św. Jerzego, które powstało przy parafii na Watt Street celem

wspomagania ubogich używaną odzieżą. Zebranie owego Stowarzyszenia miało się odbyć tego właśnie wieczoru o 8 godzinie, toteż pani Barclay śpieszyła się z obiadem, aby być na nim obecna. Gdy opuszczała dom, stangret słyszał, jak się zwróciła do męża z jakąś banalną uwagą i zapewniła go, że niebawem wróci. Następnie wstąpiła po pannę Morrison, młodą osobę zamieszkałą w sąsiedniej willi, i obie poszły razem na zebranie. Zebranie trwało 40 minut, więc kwadrans po 9 pani Barclay wróciła do domu, zostawiając po drodze pannę Morrison pod bramą jej domu.

W „Lachine” jest pokój, który służy za śniadalnię. Pokój, ten z widokiem na drogę ma wielkie, oszklone, rozsuwane drzwi, wychodzące na gazon ogrodowy. Gazon znajduje się na wprost tych drzwi, w odległości 30 jardów, a od drogi oddziela go jedynie niski mur z żelaznym ogrodzeniem. Do tego właśnie pokoju weszła pani Barclay po powrocie do domu. Zasłony, nie były opuszczone na okna,” albowiem tego pokoju rzadko używano wieczorami. Pani Barclay sama zapaliła lampę, po czym zadzwoniła i poprosiła pokojówkę Jane Stewart, żeby jej przyniosła filiżankę herbaty, co było sprzeczne z ustalonymi przez nią zwyczajami. Pułkownik siedział w jadalni, ale usłyszawszy, że żona wróciła, udał się do niej do śniadalni. Stangret widział go, jak przechodził przez hall i wchodził do pokoju. Nie ujrzano go już więcej przy życiu.

Zamówioną herbatę przyniesiono po upływie 10 minut, ale jak tylko pokojówka zbliżyła się do drzwi, osłupiała, słysząc głosy pana i pani w zacieklej utarczce słownej. Pukała, nie otrzymując żadnej odpowiedzi, a nawet nacisnęła, klamkę, ale stwierdziła tylko, że drzwi były od wewnątrz zamknięte. Naturalnie pobiegła zaraz na dół, żeby to opowiedzieć kucharce i obie kobiety wraz ze stangretem weszły do holu i przysłuchiwały się gwałtownej sprzeczce, która wciąż jeszcze trwała. Wszyscy razem utrzymują zgodnie, że słyszeli tylko dwa głosy, Barclaya i jego żony. Wypowiedzi Barclaya były tak przyciszone i krótkie, że żadna z nich nie dotarła do słuchających. Pani Barclay

natomiast była bardzo rozgoryczona, a gdy podnosiła głos, słyszano ją wyraźnie. - „Ty podły! - powtarzała wciąż te same słowa. - Co robić teraz? Wróć mi moje życie! Nie chcę więcej nawet oddychać tym samym powietrzem, co ty. Podły! Podły!” - Takie były urywki tej rozmowy, która zakończyła się nagle strasznym krzykiem mężczyzny,- gwałtownym łomotem i przeraźliwym wrzaskiem kobiecym. Stangret przekonany, że rozegrała się jakaś tragedia, rzucił się na drzwi i usiłował je wyważyć, podczas” gdy w pokoju wciąż rozbrzmiewały okrzyki. Nie był jednakże w stanie przedostać się tą drogą, a służące tak były przełęknięte, że niewiele mogły mu pomóc. Nagle olśniła go pewna myśl: wybiegł z holu przez drzwi wejściowe i okrążył gazon, na który wychodziło wielkie, francuskie okno. Jedna rama okienna była otwarta, jak to się nieraz podobno zdarzało w porze letniej, toteż stangret bez trudu dostał się do pokoju. Jego pani już nie krzyczała i leżała nieprzytomna na kanapie, a ów nieszczęsny wojak, z nogami przewieszonymi przez poręcz fotela, z głową obok kraty kominka leżał nieżywy w kałuży krwi.

Oczywiście pierwszą myślą stangreta, gdy się przekonał, że już nic nie może pomóc swemu panu, było otwarcie drzwi. Ale wówczas powstała nieoczekiwana i dziwna przeszkoda. Klucza nie było w drzwiach z wewnętrznej strony ani nie można go było nigdzie znaleźć w pokoju. Wobec tego stangret wy dostał się również przez okno i przywołałszy na pomoc policjanta i lekarza, wrócił. Panią Barclay, na której, rzecz jasna, ciążyło największe podejrzenie, przeniesiono wciąż jeszcze nieprzytomną do jej pokoju. Ciało pułkownika złożono na sofie, a dokładne oględziny pozwoliły odtworzyć tę tragiczną scenę. Jak się okazało, obrażeniem, które odniósł nieszczęsny weteran, była rana cięta na potylicy, długa na dwa cale, powstała widocznie na skutek silnego uderzenia jakimś tępym narzędziem. Na podłodze tuż przy zwłokach leżała nader osobliwa maczuga z twardego, rzeźbionego drzewa o kościanej ręczce. Pułkownik posiadał kolekcję najróżniejszej broni,

przywiezionej z rozmaitych krajów, w których walczył, toteż policja przypuszcza, że maczuga ta również należała do jego pamiątek. Służba zaprzecza, jakoby tę maczugę kiedykolwiek przedtem widziała, ale wśród licznych osobliwości, znajdujących się w domu, mogła zostać niezauważona. Poza tym policja nie znalazła w pokoju nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie, prócz nie dającego się wytłumaczyć faktu, że ani przy pani Barclay, ani przy ciele ofiary, ani nigdzie w pokoju nie znaleziono zaginionego klucza. W końcu drzwi „zostały otwarte przez ślusarza z Aldershot.

Taki był stan rzeczy, Watsonie, kiedy we wtorek rano, na prośbę majora Murphy'ego, pojechałem do Aldershot, aby dopomóc policji w jej staraniach.

Przyznasz Chyba sam - był to wypadek interesujący, moje zaś spostrzeżenia przekonały mnie niebawem, że istotnie sprawa była bardziej osobliwa, niż to się przedstawiało na pierwszy rzut oka. Przed obejrzeniem pokoju zadałem służbie krzyżowe pytania, ale udało mi się wydostać z niej tylko te fakty, które już sam poprzednio stwierdziłem. Jedynie pokojówka Jane Stewart przypomniała sobie jeden ciekawy szczegół. Pamiętasz chyba, że słysząc odgłosy kłótni zeszła na dół, po czym powróciła na górę z resztą służby. Otóż powiada, że za pierwszym razem, gdy jeszcze była sama, głosy jej państwa były tak przyciszone, iż nic prawie nie słyszała, a raczej z tonu niż ze słów wywnioskowała o sprzeczce. Jednakże gdy nalegałem, przypomniała sobie, że słyszała słowo „Dawidzie!” powtórzone dwukrotnie przez panią Barclay. Fakt ten ma ogromne znaczenie, gdyż naprowadza nas na przyczynę owej naglej sprzeczki. Pułkownik, o ile pamiętasz, miał na imię James.

W sprawie tej istniał jeszcze jeden fakt, który wywarł wielkie wrażenie zarówno na służbie, jak i na policji. Było to wykrzywienie twarzy pułkownika. Według ich relacji zastygł na niej tak potworny wyraz przerażenia i zgrozy, jaki ludzka twarz w ogóle zdolna jest przybrać. Kilka osób zemdlało na sam jej

widok, tak straszny był to wstrząs. Z pewnością pułkownik przewidział swój koniec, co go w najwyższym stopniu przeraziło. To wyjaśnienie pokrywało się całkowicie z teorią policji, że pułkownik musiał widzieć, jak żona dokonywała morderczego zamachu. Nawet fakt, że rana znajdowała się na tylnej części głowy, nie był sprzeczny z tą teorią, bowiem pułkownik mógł się odwrócić, chcąc uniknąć ciosu. Od pani pułkownikowej nie można było uzyskać na razie żadnych informacji, na skutek bowiem ostrego zapalenia opon mózgowych była w obecnej chwili niepoczytalna. Dowiedziałem się od policji, że panna Morrison, która jak pamiętasz, wychodziła owego wieczoru z panią Barclay, oświadczyła, że nie wie o niczym, co mogłoby spowodować, zdenerwowanie jej towarzyski, w którym to stanie pani Barclay wróciła wówczas do domu.

Po zebraniu tych faktów, Watsonie, wypaliłem szereg fajek, rozmyślając i starając się oddzielić fakty zasadnicze i decydujące od faktów przypadkowych.” Niewątpliwie bardzo znamienym i wiele mówiącym momentem w tej sprawie było dziwne zniknięcie klucza od drzwi. Najstaranniej przeprowadzone poszukiwania nie dały rezultatów i klucza w pokoju nie znaleziono. Czyli że musiano go stamtąd zabrać. Nie mógł go jednakże zabrać ani pułkownik, ani żona pułkownika. To było zupełnie jasne. Musiała tedy, wówczas wejść do pokoju jakaś trzecia osoba. -A ta trzecia osoba mogła wejść jedynie przez okno. Wydało mi się, że dokładne oględziny pokoju i gazonu pozwolą wykryć ślady owego tajemniczego osobnika. Znasz moje metody, Watsonie. Nie pominąłem żadnej przy przeprowadzaniu dochodzenia. No i w końcu odkryłem ślady, zupełnie jednak inne niż się spodziewałem. W pokoju był jakiś mężczyzna, który zboczył z drogi i przeszedł przez gazon. Udało mi się odnaleźć pięć bardzo wyraźnych odcisków jego stóp - jeden na drodze, w miejscu gdzie się przedostał przez niski mur, dwa na murawie gazonu, a dwa bardzo nikłe na farbowanej desce w pobliżu okna, którym wszedł. Przez gazon widocznie

przebiegł pędem, ponieważ ślady czubków jego butów głębsze były aniżeli ślady obcasów. Zaskoczyła mnie jednakże nie tyle obecność tego człowieka, co jego towarzysza.

- Towarzysza?

Holmes wyjął z kieszeni duży arkusz bibułki i ostrożnie rozprostował na kolanie.

- Co myślisz o tym? - zapytał.

Bibułka była pokryta śladami łapek jakiegoś małego zwierzęcia. Ślady te miały pięć wyraźnie zaznaczonych palców, zakończonych długimi pazurkami i nie były większe od łyżeczki do herbaty.

- To pies.- powiedziałem.

— Czy kiedy słyszałeś, żeby się pies wdrapywał po firance? A ja znalazłem wyraźne ślady” świadczące o tym, że to stworzenie tam włąziło.

— A więc małpa?

— To nie jest ślad małpy.

— W takim razie co to może być?

— Ani pies, ani kot, ani małpa, ani żadne inne znane nam stworzenie. Usiłowałem za pomocą pomiarów odtworzyć jego postać. Oto są cztery odciski łap stojącego nieruchomo zwierzęcia. Widzisz, że odległość pomiędzy przednimi a tylnymi łapami nie wynosi mniej niż 15 cali. Dodaj do tego długość szyi i głowy i otrzymasz stworzenie długie na dwie stopy, a może i jeszcze dłuższe, jeżeli ma ogon. Przyjrzyj się teraz ternu drugiemu wymiarowi. Mamy długość kroku zwierzęcia znajdującego się w ruchu. Za każdym razem jego krok wynosi około 3 cali. Wskazuje to, jak widzisz, że zwierzę ma długie ciało, ale bardzo krótkie nóżki. Stworzenie to nie było na tyle uprzejme, aby nam pozostawić parę włosków. Ale, ogólnie biorąc, kształt jego postaci musi być właśnie taki, jak podałem. Do tego łązi po firankach i jest mięsożerne.

— Z czego to wywnioskowałeś?

— Ponieważ sam się wdrapałem po firance. Nad oknem wisiała klatka z kanarkiem i wydaje mi się, że to stworzenie usiłowało się dostać do ptaka.

- Więc cóż to było za zwierzę?

- Ach, gdybym mógł określić, zrobiłbym wielki postęp

na drodze do rozwiązania tej zagadki. Prawdopodobnie jednak było to jakieś stworzenie w rodzaju łasicy lub z rodziny soboli, chociaż jest większe od zwierząt, które widywałem.

— Ale cóż ono może mieć wspólnego ze zbrodnią?

— To także jeszcze nie jest jasne. Ale i tak już spórośmy się dowiedzieli, jak widzisz. Wiemy, że jakiś mężczyzna, stojąc na drodze, przyglądał się sprzeczce pomiędzy Barclayami, zasłony bowiem były podniesione, a pokój oświetlony. Wiemy również, że ów mężczyzna przebiegł pędem przez gazon, wszedł do pokoju w towarzystwie dziwnego zwierzęcia i albo zadał cios pułkownikowi, albo - co jest również możliwe - pułkownik prerażony samym jego widokiem, upadł i rozciął sobie głowę o kratę od kominka. Na zakończenie jest jeszcze jeden ciekawy fakt, że intruz ten odchodząc zabrał ze sobą klucz od pokoju.

— Wydaje mi się, że twoje odkrycia bardziej pogmatwały sprawę, niż była na początku - powiedziałem.

— Istotnie. Wykazały bowiem niezbitcie, że sprawa ma głębsze podłoże, niż początkowo przypuszczano. Przemyślałem to sobie i doszedłem do wniosku, że powinienem się jej przyjrzeć z innego aspektu. Ale doprawdy, Watsonie, zatrzymuję cię teraz, a przecież mogę z powodzeniem opowiedzieć ci wszystko podczas naszej jutrzejszej podróży do Aldershot.

— Dziękuję. Za daleko już zabrnąłeś, aby teraz przerwać.

— Jest rzeczą pewną, że pani Barclay opuszczając dom o pół do ósmej była w dobrych” stosunkach ze swoim mężem. Nigdy nie okazywała, o czym już wspominałem, zbytnej czułości do męża, ale stangret słyszał, jak gawędziła z pułkownikiem w sposób przyjazny. Otóż równie jest pewne, że natychmiast po powrocie udała się do pokoju, w którym spodziewała się, że nie zastanie męża, zażądała herbaty, co uczyniłaby każda zdenerwowana kobieta, i w końcu, gdy mąż się zjawił, obsypała go gwałtownymi wyrzutami. Czyli że



między godziną 7.30 a 9 musiało się coś zdarzyć, co całkowicie zmieniło jej stosunek do niego. Ale w ciągu tej półtorej godziny była przy niej panna Morrison. Stąd też miałem całkowitą pewność, mimo jej zaprzeczenia, iż musi wiedzieć coś niecoś o tej sprawie.

Pierwsze moje przypuszczenie było tego rodzaju, że może ta młoda kobieta miała przygodę ze starym wojakiem, z czego ten ostatni zwierzył się przed żoną. Mogłoby to wówczas być powodem zarówno irytacji pani Barclay po powrocie do domu, jak i upierania się dziewczyny przy zeznaniu, że nic się nie zdarzyło. Nie byłoby również w tym wypadku wielkiej rozbieżności z treścią podsłuchanych słów. Jednakże wzmianka o Dawidzie, a także znane ogólnie przywiązanie pułkownika do żony, świadczyły przeciwko tej teorii, nie mówiąc już o tragicznym wtargnięciu owego drugiego mężczyzny, co oczywiście nie mogło mieć żadnego związku z poprzednim wydarzeniem. Niełatwo było zdecydować, jakie poczynić kroki, ale choć skłaniałem się odrzucić przypuszczenie, iż coś łączyło pułkownika z panną Morrison, bardziej niż kiedykolwiek byłem przekonany, że młoda kobieta jest w posiadaniu klucza do zagadki, co spowodowało wybuch nienawiści pani Barclay do męża. Wybrałem tedy najprostszą drogę, udałem się do panny Morrison i powiedziałem jej, że jestem najzupełniej pewny, iż fakt ten jest jej znany. Wyjaśniłem również, że jej przyjaciółka, pani Barclay, może stanąć przed sądem i grozi jej najwyższy wymiar kary, o ile sprawa się nie wyjaśni.

Panna Morrison jest małą, smukłą, eteryczną dziewczyną o nieśmiałych oczach i jasnych włosach. Przekonałem się jednak, że nie brak jej bystrości ani rozsądku. Gdy skończyłem mówić, siedziała przez pewien czas rozmyślając, po czym odwróciła się do mnie z wyrazem nagłej decyzji i złożyła niezwykle oświadczenie, które ci pokrótce powtórzę.

- Przynależała mojej przyjaciółce, że nikomu nie powiem o tej sprawie, a przyrzeczenie jest przyrzeczeniem -

powiedziała. - Jeżeli jednak naprawdę będę mogła pomóc, zwłaszcza że grozi jej tak poważne oskarżenie, a biedactwo „ma usta zamknięte z powodu choroby, sądzę, iż mogę być z tego przyrzeczenia zwolniona. Opowiem panu dokładnie, co zaszło w poniedziałek wieczorem:

Wracałyśmy z Misji przy Watt Street mniej więcej kwadrans po ósmej. Po drodze musiałyśmy przejść przez spokojną i zaciszną ulicę Hudsona. Jest tam jedna tylko latarnia po lewej stronie, a gdy zbliżyłyśmy się do niej, zobaczyłam idącego nam naprzeciw mężczyznę, mocno zgarbionego, z jakąś skrzynką przewieszoną przez ramię. Wyglądał na kalekę, gdyż głowę miał nisko zwieszoną i włókł się na zgiętych kolanach. Mijałyśmy go właśnie, gdy podniósł twarz, aby spojrzeć na nas w kręgu światła latarni, aż nagle przystanął i krzyknął straszliwym głosem:

- Mój Boże, toż to Nancy!

Pani Barclay zbladła jak śmierć i byłaby upadła, gdyby ta potwornie wyglądająca istota jej nie podtrzymała. Miałam właśnie wołać policję, ale ku memu zdziwieniu pani Barclay odezwała się całkiem grzecznie do tego człowieka.

— Sądziłam przez trzydzieści lat,- że ty nie żyjesz,! Henry! - wymówiła drżącym głosem.

— Tak też było! - odrzekł ów człowiek, a powiedział to przerażającym tonem. Twarz miał bardzo ciemną i straszną a w oczach błyski, które śnią mi się teraz po nocach. Jego włosy i bokobrody były przyprószone siwizną, a twarz pomarszczona i poryta jak wyschnięte jabłko.

— Pójdź” proszę, naprzód, kochanie - powiedziała pani Barclay. - Chcę zamienić parę słów z tym człowiekiem. Nie ma się czego obawiać.

Usiłowała mówić swobodnie, ale wciąż jeszcze była śmiertelnie blada, a słowa z trudem wydobywały się” z jej ust.

Zrobiłam to, o co mnie prosiła, a oni rozmawiali ze sobą przez kilka minut. Potem pani Barclay poszła dalej ulicą z płonącymi oczyma, a ten nieszczęsny kuternoga, stojąc obok

słupa latarni, potrzasał zaciśniętymi pięściami, jak człowiek, który oszalał z wściekłości. Pani Barclay nie powiedziała ani słowa, dopóki nie znalazłyśmy się pod bramą, ale wówczas wzięła mnie za rękę prosząc, abym nikomu nie mówiła o tym, co zaszło.

- To mój dawny znajomy, który zmartwychwstał - rzekła.

Kiedy obiecałam jej, że nic nie powiem, pocałowała mnie i od tego czasu więcej jej nie widziałam. Powiedziałam panu teraz całą prawdę, natomiast przed policją ukryłam ją dlatego; że nie zdawałam sobie wówczas sprawy z niebezpieczeństwa, jakie zagraża mojej drogiej przyjaciółce. Teraz wiem, że w jej własnym interesie leży, aby wszystko zostało ujawnione.

Oto jej relacja, Watsonie, więc możesz sobie wyobrazić, że dla mnie był to błysk światła wśród ciemnej nocy. Wszystko co dotąd nie było powiązane ze sobą, zaczęło się ustawiać na właściwym miejscu i miałem już mgliste przeczucie całej kolejności wydarzeń. Następnym moim krokiem było odnalezienie człowieka, który wywarł tak niezwykle wrażenie na pani Barclay. Zadanie to nie było zbyt trudne, o ile znajdował się jeszcze w Aldershot. Mieszkańców tu niewiele, a kaleka zawsze zwraca na siebie uwagę;. Spędziłem cały dzień na poszukiwaniach, a wieczorem, właśnie dziś wieczorem, Watsonie, spotkałem go. Człowiek ten nazywa się Henry Wood i mieszka w wynajętym mieszkaniu przy tej samej ulicy, na której go te panie spotkały. Przebywa tu dopiero od pięciu dni. Zjawiłem się tam w charakterze urzędnika rejestracji i bardzo interesująco poplotkowałem z jego gospodynią. Człowiek ten jest z zawodu zaklinaczem i sztukmistrzem; odwiedzającym po zapadnięciu zmroku kantyny wojskowe, gdzie urządza małe przedstawienia. Nosi ze sobą w skrzynce jakieś stworzenie, którego gospodyni mocno się obawia, gdyż nigdy nie widziała podobnego zwierzęcia. Według tego, co mówi, on używa go do swoich sztuczek. Tyle mi mogła ta kobieta powiedzieć,

wyrażając przy tym podziw, że ten człowiek w ogóle jeszcze żyje, zważywszy jak jest pokręcony. Słyszała też czasem, jak mówił jakimś dziwnym językiem, a ostatnio przez dwie noce jęczał i szlochał w swojej sypialni. Jeśli chodzi o pieniądze, miał ich pod dostatkiem, ale pewnego razu przy płaceniu komornego dał jej monetę, która wyglądała na fałszywą. Pokazała mi ją, „Watsonie - to była indyjska rupia.

Widzisz więc teraz sam, mój drogi przyjacielu, jak sprawy stoją i czemu mi jesteś potrzebny. Jasne, że po rozstaniu się z tymi paniami człowiek ów podążył za nimi w pewnej odległości i widział przez okno sprzeczkę pomiędzy mężem a żoną. Następnie wtargnął do pokoju, a wówczas stworzenie, które miał w skrzynce, wymknęło się na wolność. Wszystko to jest zupełnie pewne. On jest jedyną na świecie osobą, która nam może dokładnie opowiedzieć, co zaszło w tym pokoju.

— A ty masz zamiar go o to zapytać? - rzekłem.

— Naturalnie, ale w obecności świadka. - To ja mam być tym świadkiem?

— O ile będziesz tak dobry. Jeżeli on nam zechce wyjaśnić tę sprawę, tym lepiej. Jeśli jednak odmówi, nie mamy innego wyjścia, jak się postarać o nakaz aresztowania.

— Ale skąd możesz wiedzieć, że on będzie w domu, gdy przyjdziemy?

— Możesz być pewien, że przedsięwziąłem pewne środki ostrożności. Jeden z moich chłopców z Baker Street, który ma go pilnować, przylepi się do niego jak smoła i wszędzie za nim pójdzie. Zastaniemy go jutro na ulicy Hudsona, Watsonie. A tymczasem ja sam uważałbym się za kryminalistę, gdybym ci dłużej przeszkadzał w położeniu się do łóżka.

Było południe, gdy znaleźliśmy się w miejscowości, w której rozegrała się tragedia, i pod przewodnictwem mego towarzysza udaliśmy się od razu na Hudson Street, Mimo umiejętności maskowania swych uczuć, widziałem wyraźnie, że Holmes hamował podniecenie, a i ja sam odczuwałem przyjemny dreszczyk sportowo-intelektualnej emocji, którą zawsze miewałem współuczestnicząc w jego badaniach.

— To jest tu - powiedział Holmes, skręcając w krótką i szeroką ulicę z rzędami zwykłych dwupiętrowych domów z cegły. - Ach, oto i Simpson z meldunkiem.

— Jest w domu, a jakże, panie Holmes! - zawołał biegnąc ku nam, mały ulicznik, Arab.

— Dobrze, Simpson! - rzekł Holmes, głaszcząc go po głowie. - Chodźmy, Watsonie. To jest ten dom.

Holmes podał swoją wizytówkę, aby zawiadomić, że przyszedł w ważnej sprawie, i po chwili znaleźliśmy się twarzą w twarz z mężczyzną, którego chcieliśmy zobaczyć. Mimo ciepłej pogody kulił się przy ogniu, a w małym pokoju było gorąco jak w piekarniku. Człowiek ten siedział w fotelu skrecony i zgarbiony, sprawiając wrażenie zniekształcenia i

kalectwa wręcz nie do opisania. Ale twarz, którą zwrócił ku nam, choć zniszczona i ciemnoskóra, musiała być ogień niezwykle urodziwa.

Spojrzał na nas podejrzliwie oczyma o żółtych białkach i w milczeniu, nie wstając, skinął w kierunku dwóch krzesel.

— O ile się nie mylę, pan Henry Wood, niedawno przybyły z Indii? - powiedział Holmes uprzejmie. - Mam do pana mały interesik w związku ze śmiercią pułkownika Barclaya.

— A cóż ja mogę o tym wiedzieć?

— Chciałbym to właśnie ustalić. Przypuszczalnie wie pan o tym, że dopóki sprawa się nie wyjaśni, pańska dawna znajoma, pani Barclay, będzie prawdopodobnie sądzona za morderstwo.

Człowiek zachnął się gwałtownie.

— Nie mam pojęcia, kim pan jest - krzyknął - ani skąd pan zdobył te wiadomości, ale czy może mi pan przysiąc, że to, co pan mówi, jest prawdą?

— Oczywiście. Czekają tylko, aż wróci do przytomności, żeby ją aresztować.

— Mój Boże! Czy pan sam jest z policji?

— Nie.

— Cóż pana to w takim razie obchodzi?

— Każdego człowieka obchodzi, czy stanie się zadość sprawiedliwości.

— Daję panu słowo, że ona jest niewinna.

— A więc to pan jest winien?

— Nie. Ja nie zawiniłem.;

— Kto wobec tego zabił pułkownika Jamesa Barclaya?

— Opatrzność go zabiła. Niech pan jednak przyjmie do wiadomości, że gdybym to ja roztrzaskał mu łeb, a miałem szczerą ochotę, spotkałoby go z mojej ręki tylko to, na co zasłużył. Gdyby go nie zważyło z nóg własne zbrodnicze sumienie, bardzo być może, że splamiłbym swą duszę jego przelaną krwią. Czy pan sobie życzy, abym opowiedział tę

historię? Cóż, nie widzę powodu, dla którego nie miałbym tego zrobić, albowiem ja się nie mam czego wstydzić. To było tak, mój panie. Widzi mnie pan teraz garbatego jak wielbłąd i z koślawymi żebrami, ale swego czasu kapral Henry Wood był najszykowniejszym chłopakiem w 117 pułku piechoty. Znajdowaliśmy się wówczas w Indiach, na kwaterach w miejscowości Bhurtee. Ten sam Barclay, który obecnie zmarł, był sierżantem w tej samej kompanii, a naszą damą pułkową - piękniejszej zaś dziewczyny nie znałem, jak żyję - była Nancy Devoy, córka sierżanta-krajowca. Kochało ją dwóch mężczyzn, a ona kochała jednego; patrząc zaś teraz na nieszczęsną istotę skuloną przed ogniem, uśmieje się pan, gdy powiem, że kochała mnie za moją urodę. Jednakże, chociaż jej serce należało do mnie, ojciec jej pragnął, aby poślubiła Barclaya. Ze mnie był wówczas obibok, lekkoduch, a Barclay miał wykształcenie i był już kandydatem do stopnia oficerskiego. Ale dziewczyna trwała przy mnie wiernie i pewnie bym był ją dostał, gdy nagle wybuchł bunt i prawdziwe piekło rozpętało się w kraju.

Byliśmy odcięci w Bhurtee, my z naszym pułkiem, połową baterii dział, kompanią Sikhów i mnóstwem cywilów i kobiet. Otaczało nas dziesięć tysięcy rebeliantów, a byli tak na nas zawzięci jak sfora psów wokół klatki ze szczurami. W drugim tygodniu oblężenia zabrakło nam wody i nie wiadomo było, czy zdołamy się skomunikować z oddziałami generała Neilla, które znajdowały się w tej okolicy. Była to nasza jedyna szansa, ponieważ nie mogliśmy się spodziewać, że się nam uda przebić z tyłoma kobietami i dziećmi. Wobec tego zgłosiłem się ochotniczo na wypad, aby powiadomić generała Neilla o niebezpieczeństwie, jakie nam zagrażało. Moja propozycja została przyjęta i omówiłem ją dokładnie z sierżantem Barclayem, podobnie jak lepiej od innych znającym teren, i Barclay sam mi wykreślił trasę, którą powinienem był się przedzierać przez linie rebeliantów. Tego samego wieczoru o godzinie 10 wyruszyłem w drogę. Miałem ratować tysiące istnień ludzkich, ale myślałem wyłącznie o jednym jedynym,

przeskakując przez mur tamtej, nocy.

Moja trasa biegła korytem wyschniętego kanału, który miał mnie, jak sądziliśmy, osłaniać przed posterunkami nieprzyjacielskimi, ale jak tylko zachołgałem się za róg, wpadłem wprost na sześciu rebeliantów, którzy skuleni w ciemności czekali na mnie. W jednej chwili, zostałem powalony, ogłuszony i skrepowany. Jednakże prawdziwy cios trafił mnie w serce, nie w głowę, bowiem gdy oprzytomniałem i przysłuchałem się - o tyle, o ile mogłem zrozumieć - ich rozmowie, usłyszałem dostatecznie wiele, aby zdać sobie sprawę, że mój towarzysz broni, któryj decydował o wybraniu trasy, zdradził mnie i wydał przy pomocy służącego-krajowca w ręce wroga.

Cóż, nie widzę potrzeby długo się nad tą sprawą rozwodzić. Wie pan już teraz, do czego był zdolny James Barclay. Bhurtee zostało oswobodzone przez Neilla już następnego dnia, ale cofający się rebelianci zabrali mnie ze sobą i wiele lat upłynęło, zanim ujrzałem znowu twarz białego człowieka. Torturowano mnie, usiłowałem uciec, ale zostałem schwytyany i ponownie poddany torturom. Sam pan widzi, do jakiego stanu mnie doprowadzono. Uciekający do Nepalu rebelianci wzięli mnie ze sobą i przebywałem później w górach za Darjeeling. Ale górale wymordowali więźnych mnie rebeliantów, a wówczas zostałem z kolei ich niewolnikiem do czasu mojej ucieczki. Jednakże zamiast uciekać na południe, byłem zmuszony udać się na północ, a tam znalazłem się wśród Afgańczyków. Następnie przez wiele lat wędrowałem to tu, to tam, aż w końcu wróciłem do Pendżabu, gdzie żyłem przeważnie wśród krajowców, utrzymując się za pomocą sztuczek zaklinania, których się nauczyłem. Czyż miało sens, abym ja, nieszczęsny kaleka, wracał do Anglii lub pokazywał się swym dawnym towarzyszom broni? Nawet żądza zemsty nie mogła mnie do tego skłonić. Wolałem raczej, aby Nancy i dawni moi przyjaciele sądzili, że Henry Wood poległ z prostym kręgosłupem, niż by go mieli oglądać czołgającego się o lasce



niby szympan. Nikt nie miał wątpliwości, że zginąłem, a ja pragnąłem ich utrzymać na zawsze w tym przekonaniu. Dowiedziałem się, że Barclay poślubił Nancy i że szybko awansował w swoim pułku, ale nawet i to nie mogło mnie zmusić do mówienia.

Ale gdy starość nadchodzi, człowiek zaczyna odczuwać tęsknotę za domem. Przez długie lata „marzyłem o wesołych, zielonych polach i żywopłotach w Anglii. W końcu postanowiłem je przed śmiercią zobaczyć. Miałem dość zaoszczędzonych pieniędzy na podróż, więc przyjechałem tu, gdzie kwaterują żołnierze, albowiem znam ich zwyczaje, umiem ich zabawić, a dzięki temu zarabiam wystarczająco na życie.

— Pańskie opowiadanie jest bardzo interesujące - powiedział Sherlock Holmes. - Słyszałem już o pańskim spotkaniu z panią Barclay i o wzajemnym poznaniu. O ile wiem, podążył pan wówczas za nią w stronę domu i widział przez okno zatarg pomiędzy mężem - a żoną, w czasie którego pani Barclay niewątpliwie zarzuciła mu wprost jego czyn. Pańskie osobiste uczucia przeważały, pan przebiegł przez gazon i ukazał się przed nim.

— Tak było istotnie, proszę pana. Ujrzawszy mnie, Barclay rzucił na mnie wzrokiem, jakiego nie zdarzyło mi się nigdy widzieć u żadnej istoty ludzkiej. A potem upadł nagle głową na kratę kominka. Ale on już nie żył, zanim upadł. Widziałem śmierć wypisaną na jego twarzy tak wyraźnie, jakbym czytał ten oto tekst przed ogniem. Sam mój widok podziałał na niego jak kula, która przeszła jego zbrodnicze serce.

— A potem?

— Potem Nancy zemdląła, a ja wyjąłem z jej ręki klucz od pokoju, aby otworzyć drzwi i wezwać kogoś na pomoc. Ale zanim to zrobiłem, przyszło mi do głowy, że może lepiej byłoby dać temu spokój i odejść, bowiem wszystko przemawiało przeciwko mnie, a gdyby mnie ujęto, musiałbym w każdym

razie wyjawić moją tajemnicę. W pośpiechu wsadziłem klucz do kieszeni i upuściłem laskę, uganijając się za Teddym, który wlaź na firankę. Po wsadzeniu go do skrzynki, z której się był wymknął, uciekłem tak szybko, jak się dało.

— Kto to jest Teddy? - zapytał Holmes.

Człowiek pochylał się i odsunął przednią ściankę czegoś, co stało w kącie i wyglądało jak kojec. Od razu wysunęło się stamtąd piękne, rudobrazowe zwierzątko, smukłe, giętkie, o łapkach, łasicy, cienkim, wydłużonym pyszczku i najpiękniejszych, czerwonych oczach, jakie kiedykolwiek widziałem u zwierzęcia.

- To mangusta! - wykrzyknąłem.

- Tak je niektórzy nazywają, a inni mówią na nie: ichneumon - powiedział ów człowiek. - Ja je nazywam węzółowami, bo Teddy zadziwiająco zręcznie chwyta kobry. Mam tutaj nawet jedną, bez jadowitych zębów, którą Teddy łapie co wieczór, żeby zabawić żołnierzy. Może jeszcze jakiś szczegół, proszę pana?

— No cóż, może będziemy zmuszeni znowu się do pana zwrócić, gdyby się okazało, że pani Barclay ma poważne kłopoty.

— W takim razie zgłoszę się, oczywiście.

— Jeżeli jednak nie, nie ma sensu wygrzebywać i rozgłaszać tej skandalicznej historii, świadczącej przeciwko nieboszczykowi, mimo że postąpił tak podle Pan otrzymał w końcu pewne zadośćuczynienie, dowiadując się, że przez trzydzieści lat własne sumienie wyrzucało mu gorzko jego nikczemny czyn. Ach, po drugiej stronie ulicy idzie major Murphy. Żegnaj pana, panie Wood. Chciałbym się dowiedzieć, czy nie zaszło coś nowego od wczoraj.

Zdażyliśmy wyjść i dopędzić majora, zanim doszedł do rogu ulicy.

— Ach, panie Holmes - powiedział. - Prawdopodobnie pan słyszał już o tym, że niepotrzebny był ten cały kram.

— A co takiego?

— Śledztwo zostało ukończone. W wyniku badania lekarskiego stwierdzono ostatecznie, że śmierć nastąpiła na skutek apopleksji. Widzi więc pan, że mimo wszystko był to przypadek bardzo prosty.

— O tak. Zadziwiająco powierzchowny - rzekł, uśmiechając się Holmes. - Chodźmy, Watsonie, nie sądzę, abyśmy byli jeszcze potrzebni w Aldershot.

— Jest jedna rzecz - powiedziałem, gdy szliśmy na stację. - Jeżeli mężowi było na imię James, a temu drugiemu Henry, czemuż to była mowa o Dawidzie?

— To jedno słowo, mój drogi Watsonie, powinno mi było wszystko wyjaśnić, gdybym był istotnie tym idealnie rozumującym detektywem, którego z taką lubością opisujesz. Jak widać, imię to kryło w sobie wyrzut.

— Wyrzut?

— Tak. Dawid błędził raz po raz, jak wiesz, a w jednym wypadku właśnie postąpił akurat tak samo sierżant James Barclay. Przypominasz sobie historyjkę o Uriahu i Bathshebie? Obawiam się, że moje wiadomości biblijne są już nieco zwietrzałe, ale przypowieść tę znajdziesz w pierwszej lub drugiej księdze Samuela proroka.

*Przel. Irena Szeligowa*

## SHERLOCK HOLMES W EYFORD

W ciągu długich lat naszej serdecznej przyjaźni Sherlock Holmes rozwiązał mnóstwo zawikłanych spraw. Trudno wprost zliczyć! Tysiące skomplikowanych zagadek i prawdziwych „historii, z dreszczykiem...” Ale chyba tylko dwie z nich były naprawdę godne jego geniuszu: sprawa Hatherleya i szaleństwo pułkownika Wartburtona. Każda jedyna w swoim rodzaju! Smutny wypadek obłądu otwierał pole do popisu dla wnikliwego w całym tego słowa znaczeniu obserwatora Natomiast historia inżyniera Hatherleya zasługuje na specjalne wyróżnienie ze względu na wstrząsającą akcję, która obfituje wprost w dramatyczne epizody pełne napięcia i grozy. Co za bogactwo wrażeń! Zapomina się nawet, że mój przyjaciel nie miał w tym wypadku wiele okazji do zastosowania swej słynnej metody dedukcyjnej. A przecież metoda ta - to sława Holmesa! Dzięki niej osiągał zawsze wspaniałe wyniki.

Całe wydarzenie, o ile mi wiadomo, znalazło się na łamach prasy. Lecz czyż może wzbudzić większe zainteresowanie wzmianka objętości pół kolumny druku? Tymczasem to samo zdarzenie, ujęte w formie opowieści, fascynuje swą niezwykłością i barwą. Tu dopiero roztoczyć można plastycznie przed oczyma czytelnika cały bieg wydarzeń i ukazać żywe postacie. W miarę zaś jak każde nowe odkrycie zbliża nas krok za krokiem do rozwiązania zagadki, coraz wyraźniej zarysowuje się niesamowitość akcji.

Okoliczności towarzyszące sprawie Hatherleya wywarły na mnie głębokie wrażenie. I to jeszcze jakie?! Po dwu nawet latach niewiele się zatarło! Pamiętam jak dziś. Było to latem 1889 roku, krótko po moim ślubie. Powróciłem właśnie do praktyki lekarskiej i ostatecznie wyprowadziłem się z mieszkania Holmesa przy Baker Street. Niemniej stale go odwiedzałem i zawsze serdecznie zapraszałem do siebie. Ileż to

razy namawiałem go, by porzucił, w miarę możliwości, swój cygański tryb życia! Wszystko na nic.

Tymczasem moja praktyka powoli powiększała się. Mieszkałem nie opodal dworca Paddington.. I tak się stało, iż mimo woli zdobyłem sobie kilku pacjentów wśród tamtejszych urzędników. Jednego z nich bowiem wyleczyłem z bolesnej i przewlekłej choroby, za co z wdzięczności robił mi wielką reklamę i przysyłał każdego chorego, którego tylko dało się namówić. A był bardzo wymowny!

Pewnego dnia, krótko przed godziną siódmą rano, obudziło mnie donośne stukanie do drzwi. Była to służąca Betty. Oznajmiła, że z Paddington przyszły dwie osoby i czekają na dole. Ubrałem się pośpiesznie i szybko zbiegłem po schodach na dół. Chyba wypadek kolejowy?! Doświadczenie nauczyło mnie, że wymagają one niezwłocznej interwencji, a z reguły bywają skomplikowane. Na parterze spotkałem mojego starego sympatyka. Oczywiście znowu przyprowadził chorego. Właśnie zostawił go w gabinecie.

— On już tam jest! - wyszeptał wskazując za siebie. - Wszystko w porządku!

— Co się stało? - zapytałem zaciekawiony. Zachowywał się bowiem tak, jakby zamknął w moim gabinecie jakiegoś niesamowitego osobnika.

— Nowy pacjent - wyszeptał. - Wolałem go osobiście przyprowadzić. W ten sposób nie mógł się już „odmyślić”. Stąd już nie umknie! Ech! Zresztą jest przecież w dobrych rękach. Muszę już iść, doktorze, mam swoje obowiązki tak samo jak pan.

Mój „sprzymierzeniec” wyszedł, nie dając mi nawet czasu na podziękowanie.

W gabinecie zastałem siedzącego przy stole człowieka o powierzchowności budzącej zaufanie. Ubrany był w dobry tweedowy garnitur o barwie wrzosu. Zmiętą czapkę położył na moich książkach. Całą jego dłoń spowijała chusta zbroczona krwią. Był to młodzieniec najwyżej dwudziestopięcioletni.

Zdecydowanie męski typ. Uderzyła mnie jego niezwykła bladość. Za wszelką cenę starał się opanować zdenerwowanie, wywołane jakimś wstrząsającym przeżyciem. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

- Dzień dobry, doktorze! - odezwał się nieznajomy. - Przykro mi, że zerwałem pana z łóżka o tak wczesnej porze, ale spotkał mnie tej nocy naprawdę poważny wypadek. Przyjechałem o świcie z Eyford do Paddington. Na stacji pytałem się o jakiegoś dobrego lekarza i ostatecznie ów zacny człowiek przyprowadził mnie do pana. Dałem służącej bilet wizytowy. Niestety, zostawiła go tu na brzegu stołu.

Przeczytałem wizytówkę: *Mr. Wiktor Hatherley, inżynier hydraulik, 16, A. Victoria Street, 3 piętro*. Teraz znałem już nie tylko nazwisko, lecz zawód i adres mego pacjenta.

- Przykro mi bardzo, iż musiał pan chwilę czekać - powiedziałem. - Proszę! Niech pan siada wygodnie i odpocznie trochę po nocnej podróży, która z natury rzeczy jest nudna i męcząca.

— Och! Takiej nocy, jaką dziś przeżyłem, w żadnym wypadku nie nazwałbym nudną! - odparł ze śmiechem. Odchylił się do tyłu. Śmiech jego stopniowo wzrastał się, trząsał nim, chwilami przechodził niemal w spazmatyczny chichot. Wzdrygnąłem się. Co za niesamowity wybuch wesołości! Jako lekarzowi dał mi on wiele do myślenia.

— Spokojnie! Opanuj się pan! - krzyknąłem i chlusnąłem nań wodą z karafki. Nic nie pomogło. Typowy atak hysterii. Ulegają mu również i silne natury. Widocznie Zbyt długo starał się opanować zdenerwowanie, wywołane jakimś wstrząsającym przeżyciem, i to spowodowało reakcję. Po chwili zaczął się uspokajać. Śmiał się coraz słabiej, potem uderzyła nań fala gorąca. Znać było po nim kompletne wyczerpanie.

- No zrobiłem z siebie durnia - rzekł wreszcie, z trudnością łapiąc oddech.

- Ech! Nie jest tak źle! Niech pan to wypije. - Dołałem nieco wódki do wody i podałem mu. Bezkrwiste policzki

poczęły stopniowo nabierać rumieńców.

- Już mi lepiej - powiedział. - A teraz, panie doktorze, może pan będzie łaskaw obejrzeć mój palec, a raczej miejsce, na którym mój palec powinien się znajdować.

Rozwiązał chustkę i wyciągnął rękę. Chociaż jestem lekarzem, widok ten podziałał mi na nerwy. Stfaszna, gąbczasta, poszarpana rana wśród czterech sterczących palców. Wyglądało to tak, jakby kciuk został wyszarpięty potężną siłą.

— Wielkie nieba! - krzyknąłem. - Ależ to straszna rana. Musiała chyba silnie krwawić.

— Tak! - odrzekł. - Straciłem przytomność, gdy to się stało. Prawdopodobnie przez dłuższy czas leżałem bez zmysłów. Wreszcie ocknąłem się. Rana jeszcze krwawiła: Związałem silnie przegub ręki, pod chustką zaś umieściłem kawałek drewna. Miał on uciskiem tamować krew.

— Wspaniale, powinien pan być chirurgiem!

- No cóż! To jest niejako sprawa z dziedziny hydrauliki, a więc wchodzi tym samym w zakres mojej specjalności.

— Jak to się stało? - rzekłem badając ranę. - Co to za narzędzie? Chyba coś ostrego i ciężkiego?

— Pewnego rodzaju obcęg - powiedział.

— Wypadek, przypuszczam? - Ależ! Nic podobnego!

— Co? Czy chciano więc może pana zamordować?

— Ba! I to jeszcze w jaki sposób?!

— Niemożliwe?!

Przemyłem i oczyściłem ranę. Po wydezynfekowaniu założyłem opatrunek i bandaż. Pacjent leżał spokojnie. Tylko chwilami przygryzał wargi.

— No, jak pan się czuje? - spytałem go po skończonym opatrunku.

— Świetnie! Wódka i opatrunek sprawiły, że czuję się jak nowo narodzony. Osłabienie zupełnie już minęło.

— Może by było lepiej dla pana nie mówić o tej całej sprawie? Niewątpliwie jest to dla pańskich nerwów niewskazane.

— Ach, nie! Teraz już nie! Właściwie powinienem donieść o moim wypadku policji. Ale mówiąc między nami, gdyby nie to, że jest przekonywający dowód w postaci rany, to sam dziwiłbym się, gdyby oni uwierzyli mojemu opowiadaniu. Jest to bowiem całkiem niezwykły wypadek. Właściwie nie jestem nawet w stanie udowodnić, że w istocie on mi się przydarzył. Nawet jeśli mi dano wiarę, to informacje, jakich mógłbym udzielić, są nader skąpe. Toteż wątpię, czy udałoby się policji ująć przestępców.

— Ha! - krzyknąłem. - Chce pan naprawdę wyjaśnić tę sprawę? A więc przed zgłoszeniem do policji zwróć się pan najpierw do mojego przyjaciela, Sherlocka Holmesa.

- O! Toć już o nim słyszałem! Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby chciał się zająć moją sprawą. Chociaż, naturalnie, muszę również zawiadomić policję. Czy mógłby mu pan mnie polecić?

- Jeszcze lepiej! Zaprowadzę pana do niego.

- Będę panu niezmiernie zobowiązany, doktorze.

- A więc bierzemy dorożkę i jedziemy. Czy to panu odpowiada?

— Ależ oczywiście! Nie odzyskam spokoju, dopóki nie opowiem o mojej przygodzie...

— Wobec tego mój służący wezwie dorożkę, a ja wrócę tu za chwilę.

Pobiegłem szybko na górę i wyjaśniłem sprawę mej żonie. Nie upłynęło nawet pięć minut, jak znalazłem się w dorożce i ruszyłem z moim nowym znajomym na Baker Street.

Sherlock Holmes, jak się tego spodziewałem, siedział w niedbalej pozie w bawialni. Odziany jeszcze w szlafrok, czytał rubrykę zgonów „Timesa” paląc poranną fajkę. Składały się na nią resztki tytoniu z poprzedniego dnia, starannie zbierane i suszone na gzymsie kominka. Przyjął nas z tak charakterystycznym dla niego, niezmaconym spokojem. Następnie kazał podać jajecznicę na boczku. Zasiadliśmy wspólnie do gorącego posiłku. Kiedyśmy skończyli, zaprosił



naszego znajomego, by zajął miejsce na kanapie. Położył mu poduszkę pod głowę i postawił koło niego szklanę brandy z wodą.

— No, pana przejścia musiały być niezwykle, Mr. Hatherley! To widać na pierwszy rzut oka - zaczął Holmes.

— Proszę, niech pan leży spokojnie i czuje się jak u siebie w domu. O tak, znakomicie! A teraz może pan będzie łaskaw nam opowiadać. W razie, gdyby pan poczuł znużenie, proszę się pokrząć tym oto „wzmacniającym płynem”.

- Dziękuję uprzejmie - odrzekł mój pacjent. - Po opatrunku, założonym przez doktora, poczułem się jak nowo narodzony... a pańskie śniadanie, Mr. Holmes, podniosło mnie na duchu. Nie chcę jednak zabierać panu jego cennego czasu i dlatego od razu rozpocznę, moją dziwną historię. Postaram się wiernie odtworzyć cały tok wydarzeń.

Holmes usiadł tymczasem w swym wielkim fotelu. Przymknął powieki, a na twarzy jego malowało się głębokie skupienie. Cóż kryło ono w sobie? Namiętną chęć poznania prawdy i rozwiązania skomplikowanej zagadki. Usiadłem naprzeciw niego.

Inżynier rozpoczął swą dziwną historię. W miarę opowiadania przykuwała ona coraz mocniej naszą uwagę.

Historia, która przytrafiła mi się w 1889 roku, była zaiste i niesamowita, i tajemnicza... prawdziwa historia „z dreszczykiem”. Na wstępie podam panom dla orientacji kilka szczegółów z mojego życia. Mieszkałem wówczas i nadal mieszkam zupełnie samotnie w Londynie. Z zawodu jestem inżynierem hydraulikiem. W czasie siedmiu lat pracy w znanym przedsiębiorstwie Venner i Matsheson w Greenwich nabyłem dużego doświadczenia. Dwa lata temu umowa o pracę z przedsiębiorstwem wygasła. Jednocześnie niemal otrzymałem dość znaczną sumę pieniędzy po moim drogim ojcu. Wówczas to postanowiłem założyć własne przedsiębiorstwo. W tym celu wynająłem lokal na Victoria Street. Przypuszczam, iż samodzielne organizowanie przedsiębiorstwa stanowi przykre

przeżycie dla każdego, kto czyni to po raz pierwszy. Dla mnie było wyjątkowo przykre. W rezultacie w ciągu dwu lat udzieliłem zaledwie trzech porad i wykonałem jakąś tam drobną pracę. To było absolutnie wszystko. Moje wpływy wynosiły 27,5 flinta Codziennie od dziewiątej rano do czwartej po południu wyczekiwałem na próżno w moim maleńkim kantorku. Wreszcie począłem tracić wiarę w swe siły i nabierać coraz silniejszego przekonania, że nigdy nie zdobędę sobie klienteli.

Wczoraj jednak, gdy już miałem zamiar opuścić biuro, wszedł mój pracownik. Oznajmił mi z ożywieniem, iż jakiś pan chce się ze mną zobaczyć w pilnej sprawie.

Na bilecie wizytowym przeczytałem: *pulkownik Lizander Stark*. Zaraz potem wszedł sam pulkownik. Był on niezwykle chudy. Nigdy nie przypuszczałem, że może istnieć tak szczupły człowiek. Niesamowite wrażenie potęgowała jeszcze jego twarz, zwięzająca się w kierunku nosa i podbródka, zaś policzki - to po prostu skóra naciągnięta na wystające kości. Ta nadmierna szczupłość nie była jednak wynikiem choroby. Widać to było zresztą już na pierwszy rzut oka: bystre wejrzenie, sprężysty krok i pewne siebie zachowanie. Ubrany był bez smaku, lecz schludnie. Mógł mieć około czterdziestu lat...

— Pan Hatherley? - spytał krótko z lekkim niemieckim akcentem. - Polecono mi pana, Mr. Hatherley, nie tylko jako dobrego fachowca, lecz również jako człowieka umiającego dochować tajemnicy.

— Dziękuję uprzejmie! Czuję się zaszczycony jako młody człowiek tak pochlebną opinią. Czy mogę zapytać, kto jej o mnie udzielił?

— Owszem! Uważam jednak, że w obecnej chwili nie powinienem z pewnych względów o tym mówić. Z tego samego źródła otrzymałem dalsze informacje. Jest pan sierotą i kawalerem... Mieszka pan samotnie w Londynie.

— Rzeczywiście! Wszystko się zgadza - odparłem. - Proszę mi jednak wybaczyć, ale nie widzę żadnego związku pomiędzy tymi informacjami a moją fachowością.

Przypuszczam też, iż chciał się pan ze mną zobaczyć w jakiejś sprawie zawodowej?

— Oczywiście! Przekona się pan jednak, iż to, co powiedziałem, ma pośredni związek z pana sprawą. Mam dla pana zlecenie z zakresu pańskiej specjalności, lecz wymagam absolutnej d y s k r e c j i! Naturalnie możemy tego oczekiwać raczej od człowieka samotnego niż obarczonego rodziną.

— Jeśli zobowiązę się do zachowania tajemnicy, to może pan całkowicie polegać na moim słowie. - Gdy to mówiłem, pułkownik mierzył mnie kamiennym, niesamowitym spojrzeniem. Brr! Chyba jeszcze nigdy nie czułem na sobie tak badawczego i przenikliwego spojrzenia.

— A więc przyrzeka pan? - rzekł wreszcie.

— Tak! Przyrzekam!

— Całkowite i bezwzględne milczenie? Teraz i w przyszłości? Ani słowa na ten temat, ani żadnej pisaniny?

— Przecież dałem już panu moje słowo!

— A więc zgoda! - Poderwał się nagle i przebiegł jak strzała przez pokój i gwałtownie otworzył drzwi. Korytarz był pusty. - Wszystko w porządku! Pracownicy nieraz interesują się nadmiernie sprawami swych pracodawców. Teraz już możemy mówić swobodnie. - Przyniósł swoje krzesło blisko do mojego i znów począł przewiercać mnie badawczym spojrzeniem.

Stopniowo dziwaczne zachowanie tego chudego człowieka zaczęło budzić we mnie coraz to większą odrazę i obawę. Było w nim bowiem prócz kabotyństwa coś, co wywoływało niepokój. Nawet obawa przed utratą klienta nie mogła mnie powstrzymać od okazania ogarniającego mnie zniecierpliwienia.

- Proszę, niech pan przedstawi swoją sprawę, bo naprawdę tracimy czas niepotrzebnie. - Słowa te wyrwały mi się nieopatrznie. Bardzo się nimi zaniepokoiłem.

— Czy odpowiada panu 50 gwinei za pracę nocną?

— Ależ to wspaniale!

— Wspomniałem o pracy nocnej. Ale będzie to zaledwie

kilka godzin. Chodzi po prostu o zbadanie hydraulicznej prasy drukarskiej, która się popsowała. Wystarczy, że wskaże nam pan uszkodzenie, a my już sami ją naprawimy. Co pan sądzi o tej robocie?

— Praca lekka, a zapłata sowita.

— Doskonale! Będę więc oczekiwał pana przyjazdu tej nocy ostatnim pociągiem.

— A gdzie?

— W Eyford... w hrabstwie Berkshire. Jest to maleńka miejscowość na pograniczu hrabstwa Oxfordshire w odległości siedmiu mil od Reading. Pociąg z Paddington przychodzi tam o godzinie 23 15.

— Świetnie!

— Przyjadę po pana powozem.

— A więc trzeba tam jeszcze dojechać końmi?

— Nasza siedziba leży całkiem na uboczu. Znajduje się ona o dobre siedem mil od stacji Eyford.

— Och! To przed północą chyba tam nie dojedziemy. Wydaje mi się, iż nie będę miał pociągu powrotnego. Zmusi mnie to do zatrzymania się na noc.

— Tak jest! A więc zanocuje pan u nas.

— Ależ to sprawi państwu dużo kłopotu. Czy nie mógłbym raczej przyjechać o jakiejś stosowniejszej porze?

— Nie ma o czym mówić! To już postanowione! Właśnie najlepiej będzie, jeśli przyjedzie pan późnym wieczorem. Celem wynagrodzenia panu wszelkiego rodzaju niedogodności dajemy młodemu i nie znanemu inżynierowi zapłatę godną najlepszych specjalistów. Jeśli zaś panu to nie odpowiada, to oczywiście nie nalegam!

Pomyślałem o 50 gwineach i o ich znaczeniu dla mnie.

— Ależ nie - odrzekłem - z prawdziwą przyjemnością zastosuję się do pańskich życzeń. Chciałbym jednak zorientować się dokładniej, czego właściwie pan ode mnie żąda?

— Naturalnie! Wcale się nie dziwię. Przyrzeczenie dochowania tajemnicy podnieca pana ciekawość. Nie mam

zamiaru polecać panu czegokolwiek bez uprzedniego zaznajomienia go z całokształtem sprawy. Przypuszczam, że nikt nas tu nie podsłuchuje?

— Z całą pewnością!

— A więc sprawa przedstawia się następująco. Jak pan się z pewnością orientuje, ziemia fulerska jest cennym i poszukiwanym surowcem. Występuje ona na terenie Anglii w jednym lub najwyżej w dwu miejscach.

— Słyszałem o tym.

— Otóż niedawno zakupiłem niewielką posiadłość zupełnie, maleńką, w odległości 10 mil od Reading. Szczęście uśmiechnęło się do mnie. Odkryłem mianowicie na jednym, z pól złoża ziemi fulerskiej. Po bliższym zbadaniu okazało się jednak, iż złoża te nie są zbyt bogate i stanowią jedynie połączenie pomiędzy dwoma innymi, znacznie zasobniejszymi. Natomiast właściwe pokłady ziemi fulerskiej znajdowały się u moich sąsiadów. Ci poczciwcy nie podejrzewali nawet, że ich grunty kryją coś, co jest niemal tak cenne jak złoto. Oczywiście w moim interesie leżało, aby nabyć tę ziemię, zanim oni odkryją jej prawdziwą wartość. Niestety, nie miałem na to dostatecznych funduszków. Wtajemniczyłem więc w tę sprawę kilku moich przyjaciół. Oni to właśnie poddali mi myśl, iż powinniśmy po cichu eksploatować nasze złoża. W ten sposób uzyskalibyśmy pieniądze na zakup sąsiednich terenów. Do chwili obecnej pracujemy więc z zachowaniem najściślejszej tajemnicy. Dla usprawnienia naszej działalności zainstalowaliśmy prasę hydrauliczną. Prasa ta, jak poprzednio wyjaśniłem, popsuta się. W związku z tym potrzebujemy pańskiej porady. Strzeżemy oczywiście naszej tajemnicy jak oka w głowie. Gdyby rozeszła się wiadomość, iż do naszego domku sprowadziliśmy inżyniera - hydraulika, to ludzie poczęliby interesować się tym i wszystko mogłoby wyjść na jaw. Wówczas utracilibyśmy bezpowrotnie możliwość nabycia terenów i urzeczywistnienia naszych planów. Dlatego też wymagałem przyrzeczenia, iż nikomu nie wspomni pan nawet o swej dzisiejszej podróży do Eyford. Teraz, mam

nadzieję, wszystko jest jasne?

— Całkowicie pana rozumiem - odpowiedziałem. - Jedno tylko wydaje się niejasne, a mianowicie: do czego właściwie służy prasa hydrauliczna przy wydobywaniu ziemi, fulerskiej? O ile wiem, leży ona w głębi ziemi i trzeba ją wykopywać jak żwir.

— Ach - rzekł beztrząsowo pułkownik. - Stosujemy własną metodę wydobywania. Prasujemy ziemię w cegły, aby zamaskować, co ona w sobie kryje. Zresztą to nieważne! Zaznajomiłem pana z całą moją tajemnicą! To chyba najlepszy dowód mego zaufania. - Wstał kończąc. - Oczekuję więc pana w Eyford o godzinie 23.15.

- Będę tam na pewno!

- Nikomu ani słowa! - Jeszcze raz przeszył, mnie przeciągłym badawczym spojrzeniem. Uścisnął chłodno moją dłoń, co miało oznaczać podziękowanie... i pospiesznie opuścił pokój.

Dopiero po jakimś czasie ochłonąłem z pierwszego wrażenia. Zacząłem się spokojnie zastanawiać nad całą tą sprawą. Opanowało mnie jakieś dziwne uczucie. Niespodziewane zamówienie pułkownika wywołało u mnie rozterkę wewnętrzną. Z jednej strony, byłem zadowolony z wynagrodzenia, gdyż przewyższało ono przecież dziesięciokrotnie normalną cenę za tego rodzaju usługi. Ponadto miałem jeszcze nadzieję na dalszą współpracę. Z drugiej jednak strony cały wygląd i zachowanie się mojego klienta wywarły na mnie zdecydowanie ujemne wrażenie, zaś jego mętne wyjaśnienia o ziemi fulerskiej wcale nie przekonały mnie o konieczności tajemniczej wyprawy wśród nocy. Ach, jakież on był niespokojny, chociaż starał się opanować! To właśnie wzbudziło we mnie nieprzepartą chęć porozmawiania z kimkolwiek i podzielenia się wątpliwościami. W końcu odrzuciłem jednak od siebie podejrzenia. Zjadłem gorącą kolację i udałem się do Paddington, skąd ruszyłem w podróż.

Tak więc zdecydowałem się dochować tajemnicy. W

Reading musiałem się przesiąść. Trzeba było iść na inny dworzec. Zdażyłem jednak na ostatni pociąg do Eyford. „Wysiadłem na małej, źle oświetlonej stacji po godzinie jedenastej w nocy. Byłem jedynym podróżnym, który tam przybył. Na peronie nie zauważyłem nikogo prócz zaspanego tragarza z latarnią. Gdy jednak wychodziłem z dworca, natychmiast natknąłem się na mojego znajomego. Czekał ukryty w cieniu po drugiej stronie ulicy. Bez słowa chwycił mnie za ramię i szybko wepchnął przez otwarte drzwiczki do powozu. Zasłonił okna po obu stronach i zapukał mocno w drewnianą ściankę na stangreta. Ruszyliśmy co koń wyskoczy...

— Jeden koń? - spytał Holmes.

— Tak! Tylko jeden!

— Czy zdażył pan zauważyć, jakiej był maści?

— Owszem! Spostrzegłem to, gdy wsiadałem do powozu. W świetle latarni padającym z boku. Był to kasztan.

— Czy wyglądał na zmęczonego, czy wypoczętego?

— Wydawał się zupełnie świeży i lśniący.

— Dziękuję panu! Przykro mi, że przerwałem. Proszę, niech pan ciągnie dalej swą ciekawą opowieść.

Pojechaliśmy więc... Jazda trwała chyba co najmniej godzinę. Pułkownik Lizander Stark zapewniał mnie, iż miało to być 7 mil. Osobiście jednak jestem zdania, sądząc po szybkości, z jaką pędziliśmy, i czasie, jaki podróż pochłonęła, że musiało to być około 12 mil. Pułkownik siedział obok mnie i milczał jak zaklęty przez całą drogę.

W pewnej chwili poczułem się jakoś nieswojo. Ilekroć rzuciłem okiem w jego stronę, napotykałem badawcze spojrzenie.

Wiejskie drogi okolicy, którą mijaliśmy, były wyboiste. Rzucalo i trzęsło wprost niemożliwie. Chciałem wyrzeć przez okno, by zorientować się, dokąd jedziemy. Niestety matowe szyby zasłaniały widok. Czasem tylko błyskały światła napotykaných latarni. Od czasu do czasu próbowałem rzucić taką czy inną uwagę, by urozmaicić nudną podróż, pułkownik jednak

zbywał półsłówkami moje usiłowania i... rozmowa zamierała. Wreszcie skończyły się wyboje wiejskiego gościńca. Wjechaliśmy w aleję wysypaną żwirem, a po chwili powóz stanął. Pułkownik Stark wyskoczył pierwszy. Poszedłem za jego przykładem. Pociągnął mnie żywo w kierunku wejścia do budynku stojącego przed nami otworem. Wyszliśmy z prawej strony powozu, zupełnie na wprost drzwi i dlatego nie zdążyłem dokładnie przyrzeć się frontowi domu. Skoro tylko przekroczyliśmy próg, drzwi głucho zatrzęsęły się za nami. Usłyszałem jeszcze turkot oddalającego się powozu...

Wewnątrz domostwa panowały ciemności. Pułkownik mrucząc pod nosem szukał po kieszeniach zapalek. Nagle otwarto drzwi na drugim końcu korytarza. Strumień jasnego światła spłynął w naszym kierunku. Stopniowo poszerzał się, wreszcie ujrzeliśmy kobietę niosącą lampę. Szła z głową podaną ku przodowi, baczenie się nam przyglądając. Stałem jak olśniony. Była uderzająco piękna. Ciemna, bogata suknia mieniła się w blasku lampy... Powiedziała kilka słów w obcym języku tonem pełnym zdziwienia. Pułkownik zbył ją opryskliwym burknięciem. Spłoszyła się wówczas... zadrżała i niewiele brakowało, a lampa wypadłaby jej z ręki. Stark podszedł do niej i szepnął jej coś do ucha, w końcu popchnął z powrotem do pokoju, skąd przyszła. Po chwili wrócił do mnie z lampą.

- Może pan, z łaski swej, poczeka w tym pokoju kilka minut - rzekł otwierając inne drzwi. Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu urządzonej bez smaku. Na środku stał okrągły stół. Leżało na nim w nieładzie kilka niemieckich książek. Stark postawił lampę na fisharmonii, umieszczonej obok wejścia - Nie będzie pan długo czekał - powiedział i zniknął w ciemnościach.

Rzuciłem okiem na książki znajdujące się na stole. Nie znam, co prawda, dobrze języka niemieckiego, zorientowałem się jednak, iż dwie z nich są traktatami naukowymi, a reszta tomikami poezji. Następnie podszedłem do okna. Spodziewałem



się bowiem, że będę mógł zorientować się jakoś w okolicy. Niestety, przeszkodziła temu szczelnie zaryglowana okiennica. W całym domu panowała głucha cisza. Jedynie gdzieś w głębi korytarza rozlegało się miarowe tykanie starego zegara. Stopniowo począł mnie ogarniać coraz to silniejszy niepokój. Kim właściwie są ci Niemcy? I co oni tu robią w tym dziwnym, położonym na pustkowiu domostwie? A w ogóle gdzie właściwie ten dom się znajduje? Chyba tylko 10 mil od Eyford - pomyślałem. - Ale w jakim kierunku? O tym nie miałem najmniejszego pojęcia.

Być może, iż Reading, a także jakieś inne większe miejscowości leżą po drodze. W takim wypadku dom nie mógł być na pustkowiu. Panująca wokół cisza świadczyła o tym, że musiałem się chyba znajdować na wsi. Począłem przechadzać się po pokoju, nucąc pod nosem dla dodania sobie odwagi. Stopniowo doszedłem do wniosku, że nie będzie prostą sprawą zarobić tych 50 gwinei. Nagle drzwi pokoju uchyliły się bezszelestnie, nie mącąc głębokiej ciszy, w jakiej dom był pogrążony. Na tle ciemnego przedpokoju ukazała się piękna nieznamiona, którą spotkałem przedtem w korytarzu. Niepokój malował się na jej twarzy. Była czymś wyraźnie wstrząśnięta i przerażona. Od razu rzuciła się to w oczy. Jej niepokój udzielił się również i mnie. Położyła ostrzegawczo palec na ustach. Niepewnie rozejrzała się dokoła, a wreszcie wyrzuciła z siebie kilka urywanych słów łamaną angielszczyzną:

- Muszę stąd odejść!

Z trudem starała się opanować. Tak mi się przynajmniej zdawało.

— Odejdę stąd! Tak! Nie powinnam tu zostać! A pana też tu nic dobrego nie czeka.

— Ależ pani - odparłem. - Ja przecież jeszcze nie wykonałem pracy, która mnie tu sprowadziła. Nie mogę stąd odejść, dopóki nie zobaczę maszyny.

— Po co pan czeka? To nie ma sensu! Teraz jeszcze może pan opuścić bez przeszkód to miejsce...

Uśmiechnąłem się niedowierzająco, poruszając przecząco głową. Wówczas straciła pozorny spokój. Postąpiła krok naprzód i szepnęła błagalnie, załamując ręce: - Na miłość boską! Niech pan ucieka, póki nie jest za późno.

Ale ja jestem z natury uparty - rzekł dla wyjaśnienia do Holmesa - i tym mocniej utwierdzam się w postanowieniu, im większe na swej drodze napotykam przeszkody. Pomyślałem o 50 gwineach, o męczącej podróży i według wszelkiego prawdopodobieństwa nieprzyjemnej nocy. I to wszystko miałyby pójść na marne!? Miałbym uciec stąd chyłkiem jak

złodziej? Nie wykonać zlecenia i nie otrzymać zapłaty? Ejże?!  
A może ta piękna dama jest niespełna rozumu...? Chociaż więc zachowanie jej wstrząsnęło mną mocniej, niż to po sobie okazywałem, w rezultacie nie dałem się przekonać. Odmownie potrząsnąłem głową, zdecydowany pozostać na miejscu. Chciała ponowić prośby, gdy wtem gdzieś u góry trzasnęły drzwi. Na schodach usłyszeliśmy odgłos kroków. Nieznajoma nasłuchiwała chwilę w napięciu. Potem rozłożyła ręce gestem rozpaczy i znikła tak nagle i bezszelestnie, jak się zjawiała.

Nadszedł pułkownik Stark z jakimś niskim mężczyzną noszącym bokobrody.. Przedstawił go jako Mr. Fergussona.

— Oto mój sekretarz i kierownik robót zarazem - rzekł pułkownik. - Ale cóż to? Drzwi otwarte? Zaraz, zaraz! Wydaje mi się, iż wychodząc zamknąłem drzwi. Czy nie dokuczał panu przeciąg?

— Wręcz przeciwnie! - odrzekłem. - Otworzyłem drzwi, gdyż było mi duszno.

Stark spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Ech! Lepiej chyba będzie, jeśli od razu przystąpimy do interesu - powiedział. - Razem z panem Fergussonem pokażemy panu maszynę.

— Świetnie! Już idę, tylko włożę kapelusz!.

- Ach! Nie potrzeba! Maszyna znajduje się tu w domu. - Co? Wydobywa pan ziemię fulerską w mieszkaniu?

- Nie, nie! Tutaj tylko... sprasowujemy ją. Zresztą co to pana obchodzi?! Od początku stawiałem sprawę jasno! Do pana należy jedynie wykrycie uszkodzenia mechanizmu prasy. I koniec.

Udaliśmy się po schodach na piętro. Prowadził pułkownik z lampą w ręku, zaś gruby kierownik robót i ja postępowaliśmy za nim. Stare domostwo stanowiło prawdziwy labirynt korytarzy, przejść i wąskich a krętych klatek schodowych, oraz niewielkich alków i pokoików, nie zamieszkanymi od pokoleń. Nie było tam ani dywanów, ani w ogóle śladu jakichkolwiek mebli. Miejscami tynk odpadł ze ścian. Widniały tam zielone plamy wilgoci i pleśni. Starłem się zachować całkowity spokój. Nie zapomniałem jednak o ostrzeżeniach pięknej nieznajomej i chociaż nie usłuchałem jej, to jednak bacznie obserwowałem mych towarzyszy. Fergusson wyglądał na człowieka posepnego i małomównego. Z kilku słów, jakie ze sobą zamieniliśmy, zorientowałem się, iż jest stałym mieszkańcem tej okolicy.

Wreszcie pułkownik Stark zatrzymał się przed niskimi drzwiami. Otworzył je. Ujrzałem małą komórkę, w której nas trzech ledwo mogłoby się pomieścić. Fergusson pozostał na zewnątrz, a pułkownik wprowadził mnie do środka.

- Znajdujemy się - objaśnił mnie - we wnętrzu prasy hydraulicznej. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby ktoś puścił ją w

ruch. Powąła tego małego pokoiku stanowi zakończenie ruchomego tłoka, który, obniżając się ku tej oto metalowej podłodze, ciśnie na nią z siłą wielu ton. Rurami, znajdującymi się na zewnątrz, dochodzi woda poruszająca tłok maszyny na znanej panu zasadzie. Maszyna działa dość sprawnie. Dopiero ostatnio zaczęła się zacinać i moc jej wyraźnie się zmniejszyła. Tak! No, a teraz może będzie pan łaskaw obejrzyć ją i wskazać nam sposób naprawy?

Wziąłem od niego lampę i dokładnie obejrzałem prasę hydrauliczną. Rzeczywiście była to potężna maszyna o gigantycznej mocy. Wszedłem na górę. Nacisnąłem dźwignie kontrolne prasy. Po świszczącym odgłosie, wydobywającym się z maszyny, od razu zorientowałem się, co się stało. To boczne cylindry są nieszczelne i przepuszczają wodę. Dokładnie zbadałem mechanizm. Jedna z uszczelk gumowych otaczających wał kotłowy wytarła się do tego stopnia, że nie przylegała ściśle do ścian komory. Dlatego właśnie maszyna traciła swą moc. Podzieliłem się tymi spostrzeżeniami ze Starkiem i Fergussonem. Słuchali mnie bardzo uważnie i zadawali cały szereg pytań, dotyczących sposobu naprawy maszyny. Kiedy wszystko już wyjaśniłem, wszedłem ponownie do pokoiku, stanowiącego wnętrze prasy hydraulicznej. Jeszcze raz przyjrzałem się jej dokładnie, aby zaspokoić swą ciekawość. Od chwili, gdy ujrzałem prasę, byłem przekonany, że cała historia o ziemi fulerskiej była tylko bajeczką. Niedorzeczne nawet było samo przypuszczenie, iż tak silną i potężną maszynę można przeznaczyć do tak nieodpowiedniego i błahego zadania. Ściany prasy były co prawda drewniane, lecz podłoga żelazna. Dokładnie oglądałem tę podłogę. Zauważyłem teraz na całej powierzchni jakiś zaskorupiały osad metalowy. Pochyliłem się i począłem zdrapywać osad, aby go potem szczegółowo zbadać, gdy wtem usłyszałem przytłumiony, chrapliwy okrzyk... chyba po niemiecku. Poderwałem się i... ujrzałem pułkownika. Stał jak wryty, wpijając się we mnie niesamowitym wzrokiem, a potworny grymas wykrzywiał jego chudą twarz.

- Co pan tam robi? - zapytał.

Byłem oburzony. Wprowadził mnie przecież w błąd zmyśloną historyjką. Toteż odparłem gniewnie:

- Podziwiam pańską ziemię fulerską. Sądzę, iż mógłbym służyć lepszą radą, gdybym wiedział, do jakiego celu służy naprawę ta maszyna.

W tej samej jednak chwili, gdy wyrzuciłem z siebie te słowa, pożałowałem swej gwałtowności. Rysy jego stwardniały, a w stalowych oczach zabłyśły złowrogie ogniki.

- Oczywiście! Powinien pan dokładniej zapoznać się z maszyną - Cofnął się o krok, zatrzasnął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Rzuciłem się ku wyjściu i począłem szarpać za klamkę. Nadaremno! Nie pomogło również gwałtowne dobijanie się. Drzwi ani nie drgnęły: Począłem krzyżeć: Halo, Halo! Pułkowniku! Niech mnie pan wypuści!!!

Wówczas usłyszałem nagle odgłos, który zmroził mi krew w żyłach. Głucho szcęknęła dźwignia, a z nieszczelnej komory tłokowej wydobywał się, złowrogi, syczący poświt. To Stark puścił w ruch maszynę, w której wnętrzu zostałem zamknięty. W świetle stojącej na podłodze lampy ujrzałem czarny pułap. Obniżał się powoli i nierównomiernie. Nikt też lepiej ode mnie nie mógł wiedzieć, że siła ta jest w stanie zmiażdżyć mnie w ciągu jednej minuty na bezkształtną masę. Ponownie rzuciłem się z krzykiem do drzwi. Wpiłem się w nie kurczowo. Zaklinałem pułkownika, by mnie wypuścił. Lecz szcęk dźwigni zagłuszył moje krzyki. Była to jedyna odpowiedź. Pułap znajdował się już o stopę lub dwie od mej głowy. Bez trudu dosięgnąć mogłem ręką jego twardej i szorstkiej powierzchni. Przyszło mi na myśl, iż ból którego doznałbym w chwili śmierci, zależeć będzie w dużym stopniu od pozycji, w jakiej się będę znajdował. Gdybym się położył na brzuchu to tłok prasy przygniótłby mi kręgosłup i... nastąpiłby krótki, straszliwy trzask. Wzdrygnąłem się na samą myśl o tym. Przypuśćmy zatem, iż położyłbym się na plecach. Czyż miałbym dość spokoju, by potrzebę na czarny pułap, zniżający się ku mnie stopniowo lecz nieuchronnie? Metalowy łułap dotknął tuż mej

głowy... Musiałem się pochylić... Wtem zauważyłem coś, co natchnęło mnie otuchą, budząc nikły promień nadziei.

Jak już wspomniałem, sufit i podłoga były żelazne, a ściany drewniane. W jednej ze szczelin między deskami zauważyłem smugę światła, która stopniowo poszerzała się. Wydawało się, jakby część ściany wypchnięto. W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu. Droga ratunku stała przede mną otworem. Rzuciłem się gwałtownie w tajemnicze przejście, lecz zaraz za progiem padłem na wpół omdlały. Tafla zasunęła się za mną... a więc była to już ostatnia chwila. Zaraz potem doszedł mnie zgrzyt i trzask tłuczonej lampy naftowej, a następnie metaliczny łoskot... Ruchomy pułap prasy hydraulicznej uderzył o posadzkę.

Odzyskałem przytomność. Ktoś gwałtownie szarpał mnie za przegub ręki. Leżałem na kamiennej podłodze wąskiego korytarza, nade mną zaś pochylała się piękna kobieta. Lewą ręką usiłowała mnie z wielkim trudem odciągnąć od maszyny, w prawej zaś trzymała lampę. Była to ta sama tajemnicza i dobra nieznajoma, której ostrzeżenie tak nierozsądnie zlekceważyłem.

- Prędzej! Prędzej! - wołała bez tchu. - Oni zaraz odkryją, iż pana tam nie ma. Będą tu za chwilę. Och! Nie traćmy cennego czasu! Uciekajmy!

Teraz już bez wahania zastosowałem się do jej wskazówek. Dźwignąłem się z ziemi... Pobiegliśmy pędem przez korytarz i dalej w dół krętymi schodami, aż wreszcie znaleźliśmy się w szerokim przejściu. W tym momencie doszły nas odgłosy gorączkowej bieganiny i nawoływania. Słysząc je było na naszym piętrze i na dole. Moja przewodniczka zatrzymała się i rozejrzała wokół bezradnie. Wreszcie otworzyła drzwi do sypialni. Przez okno wpadał jasny blask księżyca, oświetlając cały pokój.

- Oto ostatnia szansa! - powiedziała przerywanym głosem. - Stąd jest wysoko, ale może się panu uda zeskoczyć.

Gdy to mówiła, na drugim końcu korytarza błysnęło światło... i ujrzałem chudą postać pułkownika. Biegł trzymając w jednym ręku latarnię, a w drugim jakieś wielkie obcegi. W kilku skokach byłem przy oknie. Otworzyłem je na oścież i wyjrzałem.

Ogród tonął w łagodnej poświacie księżycowej. Panowała tu głęboka cisza i niezmacony spokój. Okno znajdowało się na wysokości najwyżej trzydziestu stóp. Byłem już na parapecie, zawahałem się jednak przed skokiem. Wtedy właśnie usłyszałem gwałtowną sprzeczkę pomiędzy moją wybawicielką a łotrem, który mnie ścigał. Zdecydowany byłem oczywiście przyjść jej z pomocą, jeśli tylko zagrażało jej najmniejsze chociaż niebezpieczeństwo. Pułkownik ukazał się w, drzwiach... Chciał ją wyminąć, lecz chwycił go nagle oburącz i usiłowała zatrzymać.

— Fryc! Fryc! Przypomnij sobie swą ostatnią obietnicę - wołała łamaną angielszczyzną. - Przysięgłeś, że to się już więcej nie powtórzy. Och! On będzie milczał! Na pewno dochowa tajemnicy.

— Czyś ty oszalała, Elizo? - krzyknął, starając się od niej uwolnić. - Chcesz nas zrujnować?! On widział zbyt wiele! Puść mnie, mówię ci! - Odepchnął ją gwałtownie. Skoczył błyskawicznie do okna. Byłem już na zewnątrz... Wisiałem jeszcze, kurczowo trzymając się parapetu, gdy spadł na mnie cios Starka. Uczułem okropny, tępy ból. Rozluźniłem uchwyt i runąłem w dół do ogrodu. Doznałem silnego wstrząsu, lecz poza tym od upadku nie ucierpiałem. Podniosłem się i ruszyłem pędem poprzez krzaki i zarośla ogrodu tak szybko, jak tylko mogłem. Doskonale rozumiałem, iż niebezpieczeństwo nadal mi zagraża. Nagle ogarnęła mnie dziwna słabość. Spojrzałem na rękę. Przenikał mnie ostry pulsujący ból. Teraz dopiero zorientowałem się, iż odcięto mi duży palec. Z rany buchała krew. Zdażyłem tylko owinać ją chusteczką. W uszach poczęło mi dzwonić. W następnej chwili padłem nieprzytomny wśród różanych krzewów.

Nie mogę bliżej określić, jak długo znajdowałem się w tym stanie. Musiało to jednak trwać kilka - godzin. Gdy wreszcie się ocknąłem, świtało... Odzież całkowicie przemokła mi od rosy, rękaw marynarki był zbroczony krwią. Ostry ból zranionej ręki przypomniawszy mi natychmiast wszystkie przeżycia ostatniej nocy. Zerwałem się gwałtownie z silnym uczuciem grożącego mi niebezpieczeństwa ze strony tajemniczych prześladowców. Lecz ku



memu zdziwieniu, gdy począłem się wokół rozglądać, nie znalazłem ani domu, ani ogrodu. Znajdowałem się przy jakimś żywopłocie. W pobliżu wysokiego nasypu biegł gościniec. Dalej stał długi budynek. Zbliżyłem się doń. Był to dworzec kolejowy, na który nocą przybyłem...

Gdyby nie dokuczliwa rana, mógłbym wszystko, co spotkało mnie tej nocy, uważać za koszmarny sen.

Jeszcze półprzytomny udałem się na stację, by dowiedzieć się poranny pociąg. Odchodził on do Reading za niespełna godziną. Służbę pełnił ten sam bileter, którego widziałem nocą po przyjeździe. Zapytałem go, czy nie wie czegokolwiek o pułkowniku Starku. Nie znał nawet tego nazwiska. Czy zauważył pojazd, który czekał na mnie tej nocy? Nie! Nie widział! Czy jest gdzieś w pobliżu posterunek policji? Owszem, w odległości trzech mil.

Było to zbyt daleko dla mnie, osłabionego i chorego. Postanowiłem poczekać, wrócić do miasta i wówczas zawiadomić policję. Było nieco po szóstej, gdy dotarłem do Londynu. Tu przede wszystkim zatroszczyłem się o opatrunek, a następnie... doktor, był na, tyle uprzejmy, że przyprowadził mnie do pana. Teraz oddaję sprawę w pańskie ręce i będę tak postępował, jak mi pan poleci.

Po wysłuchaniu niezwyklej opowieści Hatherleya przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wywołała ona w nas silne wrażenie. Następnie Sherlock Holmes wyciągnął z etażerki jedną ze swych ciężkich, zniszczonych ksiąg, w których przechowywał różne notatki i wycinki z gazet.

— Oto ogłoszenie, które z pewnością pana zainteresuje - powiedział - Ukazało się ono przed rokiem we wszystkich pismach Niech pan uważnie posłucha: *Dnia dziewiątego bieżącego miesiąca zaginął Mr. Jeremiah Hayling, inżynier hydraulik, lat 26. Opuścił swe mieszkanie w nocy o godzinie 10 i od tej chwili wszelki ślad po nim zaginął. Był ubrany...* i tak dalej. No cóż? Przypuszczam, iż chodzi tu o poprzednią naprawę maszyny pułkownika.

— Wielkie nieba! - krzyknął mój pacjent. - To przecież

wyjaśnia słowa tajemniczej nieznajomej.

— Bez wątpienia - rzekł Holmes. - Pułkownik to okrutny i pozbawiony skrupułów przestępca. Był zdecydowany na usunięcie każdej przeszkody ze swej drogi. Zachowanie jego przypomina znanych z opowieści zdeterminowanych, dzikich piratów, którzy po zdobyciu okrętu nie pozostawiali nikogo przy życiu. Lecz teraz do dzieła! Każda chwila jest droga! Skoro czuje się pan na siłach, chodźmy natychmiast do Scotland Yardu, a potem w drogę do Eyford.

Mniej więcej po trzech godzinach znaleźliśmy się wszyscy w pociągu, podążającym z Reading do malej miejscowości w hrabstwie Berkshire. Wśród nas był Sherlock Holmes, inżynier-hydraulik, inspektor Bradstreet ze Scotland Yardu, jeszcze jakiś cywil i ja. Bradstreet rozłożył mapę okolicy na ławce i starannie wykreślił cyrklem koło, w środku którego znajdowało się Eyford.

- Zdarzyło się to chyba gdzieś w tej okolicy - powiedział. - Krąg zakreśliłem promieniem dziesięciomilowym. Miejsce, którego szukamy, musi się znajdować w pobliżu narysowanej na mapie linii. Zdaje mi się, że pan coś wspominał o dziesięciu milach, nieprawdaż?

— Była to godzina szybkiej jazdy.

— Czyżby wieźli pana nieprzytomnego taki szmat drogi z powrotem?

— Chyba tak zrobili... Ale nie przypominam sobie, aby mnie ktoś podnosił i wiozł.

— Jednego nie mogę zrozumieć - powiedziałem. - Dlaczego zostawili pana przy życiu po znalezieniu go bez przytomności w ogrodzie? Czyżby ten łajdak uległ błaganiom pana tajemniczej nieznajomej?

— Bardzo w to wątpię. Nigdy w życiu nie spotkałem tak niej ubłaganego i zaciętego człowieka.

— Ech! Niedługo wszystko się wyjaśni - powiedział Bradstreet. - Oto koło zakreślone na mapie. Teraz chcę tylko wiedzieć, gdzie znajdują się ludzie, których szukamy?

- Wydaje mi się, iż punkt ten mogę wskazać - powiedział

spokojnie Holmes.

— Co takiego?! - krzyknął inspektor. - Pan już rozwiążą zagadkę? Proszę bardzo! Zobaczmy, kto ma rację. Ja twierdzę że jest to na południu, ponieważ w tamtej okolicy leżą pustkowia.

— A ja przypuszczam, iż na wschodzie - powiedział mój pacjent.

— Raczej na zachodzie - zauważył cywil - bo tam właśnie znajduje się kilka małych wiosek.

— Moim zaś zdaniem na północy - dodałem - ponieważ nie ma tam żadnych pagórków. Według opowiadania inżyniera powóz jechał równiną, nie pokonując żadnych wzniesień.

— Ależ to paradne! - krzyknął inspektor, śmiejąc się serdecznie. - Co za wspaniała rozbieżność zdań! Podzieliliśmy si stronami świata.

- A jakie jest pańskie zdanie, Mr. Holmes?

- Wszyscy jesteście w błędzie!

- To niemożliwe! Wszyscy przecież nie możemy się mylić!

- A jednak tak jest! Tu, moim zdaniem, znajduje się miejsce, którego szukamy - i umieścił palec w samym środku koła.

- Tam powinniśmy ich znaleźć.

- A jak pan wytłumaczy dwunastomilową jazdę? - wyrzucił bez tchu Hatherley.

- Sześć mil w jedną stronę i sześć z powrotem. Nic prostszego. Pan nam przecież powiedział, iż koń był świeży i lśniący, gdy wsiadaliście do powozu. Czyż byłoby to możliwi gdyby zrobił przedtem 12 mil po ciężkich drogach?

- Rzeczywiście! Cóż to za chytry - podstęp! - zauważył Bradstreet w zadumie. - Naturalnie, nie ma żadnej wątpliwości co do rodzaju przestępstwa i całej tej szajki.

### TUTAJ BRAKUJE JEDNEJ KARTKI

— No tak! - powiedział inżynier żałośnie, gdyśmy zajęli miejsca w pociągu wracającym do Londynu. - To był dla mnie zaiste „wspaniały” interes. Straciłem palec, a 50 gwinei nawet nie

ujrzałem. Co więc zyskałem?

— Doświadczenie! - powiedział Holmes ze śmiechem. -  
Ostatecznie zgodzi się pan ze mną, że i ono jest coś warte.  
Wypadek ten będzie dla pana cenną przestrożą na resztę życia.

*Przel. Witold Engel i Jerzy Regawski*

## TRAGICZNY ROMANS

Nie sędzę, aby jakakolwiek z moich wspólnych z Sherlockiem Holmesem przygód rozpoczęła się tak nagle i dramatycznie, jak ta, która łączy się w moich wspomnieniach z tak zwanym „Domem o trzech przyczółkach”. Nie widziałem się z Holmesem od pewnego czasu, nie znałem więc ostatniego kierunku jego działalności. Przyjaciel mój był tego ranka niezwykle rozmowny, usadził mnie właśnie w niskim, wysłużonym fotelu, przy ogniu palącym się na kominku, sam zaś z fajką w ustach zasiadł naprzeciwko mnie, gdy pojawił się niespodziewany gość. Dla właściwego określenia tego faktu należałoby raczej powiedzieć, że wtargnął jak rozjuszony byk.

Drzwi rozwarły się gwałtownie i do pokoju wpadł ogromnego wzrostu Murzyn. Gdyby nie przerażające wrażenie, jakie wywoływał, byłaby to komiczna postać, ubrany był bowiem w szary garnitur w bardzo jaskrawą kratkę i rozwiany, łososiowego koloru krawat. Pochylił do przodu swą szeroką twarz o spłaszczonym nosie, a jego przebłyskujące złośliwością, ponure, czarne oczy spoglądały kolejno to na mnie, to na mego przyjaciela.

- Który z panów nazywa się Holmes? - zapytał.

Holmes uśmiechnął się wyrozumiale i wyjął fajkę z ust.

— A więc to pan? - rzekł przybysz i zbliżył się do niego, okrążając stół złowrogim, skradającym się krokiem. - No to uważaj pan i nie mieszaj do cudzych spraw. Niech każdy pilnuje, co do niego należy. Zrozumiano?

— I co dalej? To doprawdy ciekawe - odpowiedział Holmes.

— Ciekawe, co? - warknął Murzyn. - To przestanie być ciekawe, jak przetrzępię pańską skórę. Miałem już z takimi jak pan typami do czynienia i kiepsko na tym wyszli. Spójrz pan na to!

I machnął olbrzymią, żyłastą pięścią przed nosem mego przyjaciela. Holmes spojrział na nią, jakby już dawno nie widział nic równie interesującego.

- Czy urodziłeś się z tym? - rzekł. A może stopniowo ci to wyrosło?

Lodowaty spokój Holmesa, może i lekki brzęk, jaki wywołałem podnosząc pogrzebacz, wpłynęły kojąco na maniery naszego gościa.

— Ostrzegłem pana uczciwie. Mam przyjaciela, który się interesuje tym, co się dzieje w Harrow, pan wie, o co chodzi, i on sobie nie życzy, aby się pan do tego wtrącał. Zrozumiano? Prawo to nie pański interes i nie mój również, i jeśli się pan tam pokaże, to i ja się tam znajdę. Radzę o tym pamiętać.

— Od pewnego już czasu chciałem ciebie poznać - odparł Holmes. - Sądzę, że mam przed sobą Steve'a Dixie, boksera, a raczej wali mordę, nieprawda?

— Tak się nazywam, panie Holmes, i na pewno potrafię tego dowieść, jeśli pan na mnie buzię otworzy.

— Twoja na pewno tego nie potrzebuje - odpowiedział Holmes, spoglądając na szerokie grube wargi naszego gościa - ale mnie interesuje raczej zabójstwo młodego Perkinsa przy wejściu do baru Holborn... Co? Już nas opuszczasz?

Murzyn cofnął się o parę kroków i twarz mu skamieniała.

— Nie chcę nic o tym słyszeć. Co ja mogę mieć z tym wspólnego? Trenowałem wtedy w Buli Ringu, w Birmingham” kiedy temu chłopakowi przydarzyło się nieszczęście.

— O tym opowiesz sędziemu. Od dłuższego już czasu mam na oku ciebie i Barneya Stockdale...

— Jak Boga kocham, mówię prawdę, panie Holmes...

— Dosyć już tego. Wynoś się stąd. Potrafię ciebie znaleźć, gdy mi będziesz potrzebny.

- Do widzenia, panie Holmes. Mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał za złe tej wizyty?

— Będę miał za złe, jeśli mi nie powiesz, kto ciebie tu nasłał.

— To żaden sekret, panie Holmes. Ten sam dżentelmen, którego pan przed chwilą wymienił.

— A kto go do tego namówił?

- Nie wiem, jak Boga kocham, panie Holmes. On tyle tylko powiedział: „Steve, pójdziesz do pana Holmesa i powiesz mu, że źle skończy, jeśli będzie zaglądał do Harrow”. I to jest cała prawda.

Nie czekając na dalsze pytania, nasz gość wymknął się z pokoju prawie tak szybko, jak się w nim znalazł. Holmes parsknął cichym śmiechem i wytrząsnął popiół z fajki.

- Dobrze się stało, że nie musiałeś rozbić jego wełnistego łba. Widziałem, jak sięgałeś po pogrzebacz. W gruncie rzeczy to nie jest groźny osobnik. Raczej silny, pyskаты, głupi dzieciak i jak się przekonałeś, łatwo go nastraszyć. Należy do bandy Johna Spencera i brał ostatnio udział w jakiejś mokrej robocie. Zajmę się tym może, o ile znajdę chwilę wolnego czasu. Jego bezpośredni przełożony, Barney, jest bardziej przebiegły. Ich specjalnością są napady, szantaże, wymuszenia i tego rodzaju wyczyny. Chciałbym natomiast wiedzieć, kto w tym wypadku za nimi stoi?

— Ale dlaczego próbują ciebie nastraszyć?

— Woleliby, abym się nie interesował Harrow Weald. I to właśnie skłania mnie ostatecznie do zajęcia się tą sprawą. Skoro aż tyle trudu sobie zadają, to musi się w tym kryć coś ważnego.

— Ale o co chodzi?

— Miałem ci właśnie powiedzieć, lecz ten groteskowy epizod stanął mi na przeszkodzie. Oto jest list pani Maberley. Jeśli masz ochotę wybrać się tam ze mną, to wyślemy telegram i pojedziemy natychmiast.

List był treści następującej:

*Szanowny i Drogi Panie! W związku z paru kolejnymi i dziwnymi incydentami dotyczącymi tego domu, bardzo mi*

*zależy na pańskiej radzie. Zastanie mnie pan tutaj jutro o każdej porze. Dom znajduje się w pobliżu stacji kolejowej Weald. O ile mi wiadomo, śp. mąż mój Mortimer Maberley był jednym z pańskich pierwszych klientów.*

*Załączam wyrazy szacunku, Mary Maberley „Pod trzema przyczółkami” Harrow Weald*

- Tyle tego - rzekł Holmes. - A teraz, jeśli mi możesz poświęcić nieco czasu, wyruszamy w drogę.

Po krótkiej podróży koleją i jeszcze krótszej powozem znaleźliśmy się przed wspomnianym powyżej domem. Była to częściowo drewniana, częściowo murowana willa stojąca na przynależnym do niej akrze kiepskiej murawy. Trzy małe występy nad górnymi oknami usiłowały uzasadnić w pewnej mierze nazwę tego domu. Za nim widoczny był gaj złożony ze smętnych, karłowatych sosen, a cała posiadłość wywoływała wrażenie ubóstwa i zaniedbania. Wewnątrz jednak dom był bardzo dostatnio umeblowany, a jego właścicielka okazała się nader sympatyczną starszą panią odznaczającą się wszelkimi znamionami dystynkcji i kultury.

- Pamiętam dobrze pani męża - rzekł Holmes – chociaż sporo lat minęło od czasu, gdy skorzystał z moich usług z powodu jakiejś drobnostki.

- Imię mego syna, Douglasa, jest panu zapewne lepiej znane.

Holmes spojrzał na nią z wielkim zainteresowaniem.

- Doprawdy! A więc pani jest matką Douglasa Maberleya? Osobiście prawie go nie znałem, ale znał go na pewno cały Londyn. Cóż to był za wspaniały młody mężczyzna! Co się z nim dzieje?

- Nie żyje. Ostatnio przebywał w Rzymie jako attache ambasady brytyjskiej i tam umarł na zapalenie płuc.

- Jakże mi przykro! Trudno pogodzić pojęcie śmierci z takim człowiekiem. Nigdy nie spotkałem nikogo o takiej jak on żywotności i radości życia. Żył namiętnie, pełnią piersią...

— Zbyt namiętnie i to go zgubiło. Pamięta go pan



wesołym i pewnym siebie. Nie widział go pan skwaszonym, zasepionym, stroniącym od ludzi, zamkniętym w sobie. Załamał się całkowicie. W ciągu zaledwie miesiąca, mój buńczuczny chłopiec zamienił się w zniechęconego do życia, cynicznego mężczyznę.

— Nieszczęśliwa miłość? Kobieta...?

— Lub zły człowiek. Ale prosiłam pana o przybycie nie po to, aby mówić o moim nieszczęsnym chłopcu.

— Doktor Watson i ja jesteśmy do pani dyspozycji.

— Dziwne rzeczy się tutaj dzieją. Mieszkam w tym domu od przeszło już roku, a że zależy mi na samotności, unikałam moich sąsiadów. Trzy dni temu zgłosił się do mnie jakiś mężczyzna podając się za pośrednika. Powiedział mi, że jego klient upatrzył sobie właśnie ten dom i że jeśli zechcę go sprzedać, cena nie gra roli. Dziwne mi się to wydało, bo przecież sporo jest pustych i podobnych do mojego domów do wynajęcia lub na sprzedaż, ale oczywiście zainteresowała mnie ta oferta. Podałam mu więc cenę o pięćset funtów wyższą od tej, jaką sama zapłaciłam. Zgodził się natychmiast, lecz dodał, że jego klient pragnie nabyć również umeblowanie, i zapytał, ile za nie żądam. Część mebli pochodzi z mego dawnego domu i jak pan sam widzi, przedstawia niemałą wartość, więc wymieniałam słoną cenę. I znów się zgodził bez wahania. Zawsze miałam zamiłowanie do podróży, a transakcja zapowiadała się tak korzystnie, że obliczyłam, iż do końca życia będę zabezpieczona pod względem finansowym.

Wczoraj ten mężczyzna zjawił się tutaj i przyniósł gotowy kontrakt. Pokazałam go, na szczęście, panu Sutro, memu adwokatowi mieszkającemu w Harrow, który mi powiedział; „To bardzo dziwny dokument. Czy pani zdaje sobie sprawę, że po jego podpisaniu nie będzie pani mogła, z prawnego punktu widzenia, zabrać czegokolwiek ze swego domu, nie wyłączając pani osobistych rzeczy?”. Gdy ów mężczyzna przyszedł wieczorem, zwróciłam mu na to uwagę i powiedziałam, że zgodziłam się tylko na sprzedaż mebli.

— Nie, nie - rzekł na to - wszystko.

— A moja odzież? Bizuteria?

— Jeśli chodzi o przedmioty pani osobistego użytku, to mogę ustąpić to i owo, ale nic nie może opuścić tego domu bez uprzedniego sprawdzenia. Mój klient jest hojny, ale ma swoje dziwactwa i lubi załatwiać sprawy po swojemu. Jego życzeniem jest albo wszystko, albo nic.

- No to nic - odpowiedziałam, i na tym stanęło, ale ta sprawa wydała mi się na tyle zastanawiająca, że pomyślałam sobie...

W tej chwili nastąpiła nieprzewidziana przerwa w rozmowie. Holmes podniósł rękę gestem nakazującym milczenie. Po czym szybko przeszedł przez pokój, nagle otworzył drzwi i wciągnął przez próg wysoką, chudą kobietę, którą pochwycił za ramię. Weszła do pokoju, szamocąc się i piszcząc jak jakieś ogromne, niezdarne kurczę wyjęte z kojca.

— Odczep się pan ode mnie! Co pan za mną wyrabia! - zaskrzeczała.

— Susan! Co to znaczy? - zapytała pani Maberley.

— Proszę pani, przyszłam się zapytać, czy pani goście pozostaną na obiedzie, a ten tutaj pan się na mnie rzucił.

— Słyszałem ją przez ostatnich pięć minut - rzekł Holmes - ale nie chciałem przerywać pani zajmującego opowiadania. Susan, trochę się zasapałaś, nieprawda? Cierpiący na astmę nie nadają się do takiej roboty.

Służąca zwróciła ku Holmesowi wściekłą, ale i zdumioną twarz.

— A pan kto jest i jakim prawem pan sobie na takie rzeczy pozwala?

— Chciałem tylko postawić pewne pytania w twojej obecności. Pani Maberley, czy pani wspomniała komukolwiek o tym, że zamierza pani do mnie napisać i prosić o radę?

— Nie, nikomu o tym nie mówiłam.

— A kto nadał list na pocztę?

— Susan.

— Właśnie! A teraz, Susan, proszę mi powiedzieć, do kogo napisałaś lub inaczej dałaś znać, że pani Maberley zwróciła się do mnie o pomoc?

— To kłamstwo.

— Słuchaj no, Susan. Astmatycy długo nie żyją. A ukrywanie prawdy to brzydki postęp, nawet w drobnych sprawach. Komu o tym powiedziałaś?

— Susan! - wykrzyknęła pani Maberley - jesteś nierzetelną, podłą kobietą! Przypominam sobie teraz, że rozmawiałaś z kimś przez płót.

— To moja prywatna sprawa.

— A może ja ci powiem, z kim rozmawiałaś? Z Barneyem Stockdale.

— Skoro pan wie, to po co się mnie pan pyta?

— Nie byłem pewny, ale teraz jestem. Susan, dam ci dziesięć funtów, jeśli mi powiesz, dla kogo pracuje Barney?

- Dla kogoś, kto mógłby dać tysiąc funtów za każde pańskie dziesięć.

- Więc on jest aż tak bogaty? Nie... uśmiechasz się, a zatem to kobieta. Skoro już tak daleko zaszliśmy, to powiesz mi jej nazwisko i zgarniesz dziesięć funtów.

— Przedtem zobaczę pana w piekle!

— Susan! Cóż to za wyrażenia? - zawołała pani Maberley.

— Wynoszę się stąd, mam już dosyć was wszystkich! Jutro przyślę po moje rzeczy - i ruszyła szybko ku drzwiom.

— Do widzenia - rzucił za nią Holmes - na astmę radzę brać preparaty opiumowane...

— Ta banda - mówił dalej, przechodząc z żartobliwego, tonu na poważny i zamykając drzwi za poczerwieniałą ze złości służącą - ostro zabiera się do dzieła i nie traci ani chwili. Stempel pocztowy na pani liście wskazuje, że list nadano o dziesiątej wieczorem. A jednak Susan zdążyła skomunikować się z Barneyem. Barney ze swej strony potrafił porozumieć się ze swoim zleceniodawcą i otrzymać od niego instrukcje. On albo ona - ze względu na uśmiech Susan, która pomyślała, że się mylę, raczej to drugie - obmyśla plan działania. Murzyn Steve zostaje wezwany i następnego dnia o jedenastej rano ja otrzymuję ostrzeżenie. To sprawna robota.

— Ale o co im chodzi?

— Oto jest pytanie. Kto przed panią mieszkał w tym domu?

— Emerytowany kapitan marynarki nazwiskiem Fergusson.

— Czy wiadomo o nim cokolwiek niezwykłego?

— Nic podobnego nie słyszałam.

— Zastanawiałem się, czy on tutaj czegoś nie zakopał? Oczywiście ludzie mający obecnie coś do zakopania czynią to w Pocztowej Kasie Oszczędności. Ale od czasu do czasu trafi się jakiś wariat. Bez nich nudny byłby ten świat. W pierwszej chwili myślałem o jakimś zakopanym cennym przedmiocie. Ale

w takim wypadku po co mieliby kupować meble? Nie ma tu pani jakiegoś obrazu Rafaela lub pierwszego wydania Szekspira?

— Nie, jedyną rzadkością, jaką posiadam, jest Derby Crown, porcelanowy serwis do herbaty.

— To by nie uzasadniało całej tej tajemniczości. Poza tym dlaczego nie mieliby powiedzieć otwarcie, o co im chodzi? Wystarczyłoby zaofiarować odpowiednio wysoką cenę, zamiast kupować cały pani dobytek. Nie, moim zdaniem jest tu coś, o czym pani nie wie, a czego, wiedząc o tym, nie zechciałaby się pani pozbyć.

— Podzielam to zdanie - rzekłem.

- Doktor Watson się zgadza, więc to przesądza sprawę. - A zatem, panie Holmes, co to może być?

- Spróbujmy dojść do bardziej konkretnych wniosków za pomocą czysto intelektualnej analizy. Pan mieszka w tym domu od roku?

— Prawie dwa lata.

— Tym lepiej. Przez ten dosyć długi okres czasu nikt się o nic do pani nie zwracał. A teraz nagle w ciągu paru dni otrzymuje pani natarczywe propozycje. Co z tego wynika?

— Nic innego - rzekłem - jak to, że ten nieznany przedmiot niedawno znalazł się w tym domu.

— To znowu przesądza sprawę. A teraz pani nam zechce łaskawie powiedzieć, czy cokolwiek przybyło tutaj ostatnio?

— Nie, nic nowego nie kupiłam w tym roku.

— To doprawdy zadziwiające. Należy więc, zanim się coś wyjaśni, poczekać na dalszy rozwój wypadków. Czy ten pani adwokat jest przedsiębiorczym człowiekiem?

— Tak, niewątpliwie.

— Czy ma pani inną służącą oprócz tej hożej Susan, która właśnie pani wymówiła w dosyć gwałtownej formie?

— Mam młodą dziewczynę.

— Należałoby skłonić pana Sutro, aby zechciał spędzić

w tym domu jedną albo dwie noce. Pani może potrzebować ochrony.

— Przed kim?

— Tego nie wiemy. Jak dotychczas działamy niewątpliwie po omacku. Skoro nie mogę wykryć, o co im chodzi, muszę podejść do sprawy od innej strony i próbować dotrzeć do źródła. Czy ten pośrednik pozostawił jakiś adres?

— Na jego karcie figuruje tylko nazwisko i zawód: „Haines Johnson, kupno, sprzedaż i wycena nieruchomości”.

— Nie sądzę, abyśmy go znaleźli w księdze adresowej. Uczciwi przedsiębiorcy nie ukrywają swych biur. O ile zajdzie coś nowego, proszę mnie powiadomić. Podjąłem się obrony pani interesów i może pani być pewna, że doprowadzę tę sprawę do końca.

Gdy przechodziliśmy przez przedpokój, wszystkowidzące oczy Holmesa spoczęły na kilku kufrach i pudłach stojących w kącie. Nalepki wskazywały na ich pochodzenie.

— Mediolan... Lucerna... - odczytał Holmes - to przyszło z Włoch.

— To są rzeczy Douglasa.

- Pani ich nie rozpakowała? Kiedy je pani otrzymała?

— W zeszłym tygodniu.

— Ależ pani mówiła... oczywiście, to może być brakujące nam ogniwo. Przecież nie wiemy, czy tam nie ma czegoś cennego.

— Nic takiego tam się nie może znajdować. Douglas miał tylko swoje uposażenie i małą roczną rentę. Cóż więc cennego mógł posiadać?

Holmes zamyślił się i po dłuższej chwili rzekł:

- Proszę dłużej nie zwlekać, lecz kazać zanieść te rzeczy na górę, do pani sypialni, i jak najprędzej zbadać ich zawartość. Przyjadę jutro, aby usłyszeć o tym pani sprawozdanie.

„Dom pod trzema przyczółkami” był bacznie strzeżony, o czym przekonaliśmy się dochodząc do wysokiego parkanu na skraju trawnika. Dostrzegliśmy tam bowiem ukrytego w cieniu naszego znajomego czarnego boksera. W tym odludnym zakątku jego ponura postać wywoływała niemałe wrażenie. Holmes sięgnął do kieszeni.

— Pan szuka swego rewolweru, panie Holmes? - odezwał się Murzyn.

— Nie, Steve, butelki.

— Pan lubi żarty, panie Holmes.

— Żarty się skończą, gdy się poważnie do ciebie zabiorę.- Ostrzegłem ciebie rzetelnie dziś rano.

— No cóż, panie Holmes, namyśliłem się nad tym, co mi pan powiedział, i nie chcę już więcej słyszeć o panu Perkins. Jeśli się mogę panu na coś przydać, może pan na mnie liczyć.

— Dobrze, a więc kto wam nadał tę robotę?

— Powiedziałem już panu prawdę. Nie wiem. Jak Boga kocham, panie Holmes. Pan Barney jest moim szefem. On rozkazuje, a ja słucham, i nic więcej nie wiem.

— Zapamiętaj to sobie, Steve, że ta pani, co mieszka w tym domu, i wszystko, co się znajduje pod jej dachem, jest pod moją opieką.

— Tak jest, panie Holmes, będę o tym pamiętał.

— Nastraszyłem go na tyle, że się boi o własną skórę - rzekł do mnie Holmes po opuszczeniu posiadłości pani Maberley. - Sądzę, że zdradziłby swego pracodawcę, gdyby wiedział, kim on jest. Szczęśliwie się dla mnie złożyło, że wiedziałem coś niecoś o szajce Spencera Johna i że Steve do niej należy. Ta sprawa wymaga konsultacji Langdale Pike'a i zaraz udam się do niego. Rozmowa z nim może niejedno wyjaśnić.

Nie widziałem już więcej Holmesa tego dnia, ale łatwo sobie mogłem wyobrazić, jak spędził czas. Langdale Pike był bowiem dla mego przyjaciela żyjącą kroniką wszelkiego rodzaju towarzyskich afer i skandali. Ta dziwaczną, pozornie niedołączną kreaturą zwykła przesiadywać całymi dniami we framudze parterowego okna jednego z klubów na St. James Street i była nadawcą oraz odbiorcą wszystkich plotek krążących po Londynie. Mówiono o nim, że zarabia do tysiąca funtów rocznie na dostarczaniu smakowitego żeru polującej na sensacje brukowej prasie. Ilekroć się coś zakotłowało lub niezwykłego wydarzyło w mętnych głębinach londyńskiego życia, ten ludzki manometr ujawniał to z dokładnością automatu - na powierzchni. Holmes zasilał go dyskretnie informacjami, w zamian za co mógł w razie potrzeby liczyć na jego pomoc.

Gdy nazajutrz rano zaszedłem do mego przyjaciela, wywnioskowałem z jego tchnącej zadowoleniem postawy, że czasu nie stracił. Niemiała jednak czekała nas niespodzianka w postaci telegramu o następującej treści:

*Proszę przybyć natychmiast. Tej nocy włamanie do domu klientki. Policja jest już na miejscu.*

*Sutro.*

Holmes gwizdnął z cicha.

- Nastąpił przełomowy moment w dramacie - rzekł - i to wcześniej, niż przewidywałem. Tą sprawą kieruje wyjątkowo energiczna ręka, co mnie nie dziwi po tym, co słyszałem. Sutro to jest adwokat pani Maberley. Strzeliłem głupstwo nie prosząc ciebie, abyś tej nocy tam pozostał na straży. Sutro okazał się kompletnym fujarą. Nie pozostaje nam nic innego, jak znowu pojechać do Harrow Weald.

Zastaliśmy „Dom pod trzema przyczółkami” w zgoła innym stanie, dalekim od ciszy i spokoju, w jakim był poprzedniego dnia pograżony. Gromada gapiów stała u bramy prowadzącej do ogrodu, a kilku policjantów oglądało okna i położone przy nich klomby pelargonii. Wewnątrz domu spotkaliśmy starszego, siwego pana, który przedstawił się nam



jako adwokat Sutro, i ruchliwego, o rumianej twarzy inspektora, który powitał Holmesa jak starego przyjaciela.

— Obawiam się - rzekł - że tym razem nie znajdzie pan pola do popisu. Zwykła, banalna kradzież z włamaniem, jedna z takich, z którymi zwykła, nieudolna policja daje sobie radę. Eksperci nie są potrzebni.

— Nie wątpię, że śledztwo spoczywa w doświadczonych rękach - odpowiedział Holmes. - Pan powiada, że to po prostu zwykła kradzież z włamaniem?

— Oczywiście. Wiem dobrze, kto jest sprawcą i gdzie go szukać. To szajka Barneya Stockdale, należy do niej ten wielki Murzyn, i widziano ich kręcących się tutaj w pobliżu..

— Brawo! A co zabrali?

- Zdaję się, że bardzo niewiele. Uspili panią Maberley za pomocą chloroformu, a następnie... Ach, a oto pani domu we własnej osobie.

Pani Maberley, bardzo blada i zmaltretowana, weszła do pokoju, wspierając się na ramieniu młodziutkiej służącej.

- Miał pan rację, panie Holmes - rzekła, uśmiechając się żałośnie. - Niestety, nie poszłam za pańską radą! Nie chciałam trudzić pana mecenasa Sutro, przez co pozostałam sama, bez żadnej opieki.

— Dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano - wtrącił adwokat.

— Pan Holmes namawiał mnie, abym zaprosiła tutaj kogoś z przyjaciół. Zlekceważyłam jego radę i odpokutowałam to.

— Pani wygląda na poważnie chorą - rzekł Holmes - i może pani nie czuje się na siłach, aby opowiedzieć mi o tym, co zaszło.

— Wszystko jest już tutaj - rzekł inspektor, wskazując palcem na gruby notatnik.

— Jednakże, jeśli pani może się zdobyć na...

— Właściwie nie bardzo jest o czym mówić. Nie wątpię, że ta podła Susan ułatwiła im zadanie. Musieli znać dom bardzo

dokładnie. Przez krótką chwilę zdawałam sobie sprawę że przyciśnięto mi do ust szmatę nasyconą chloroformem, lecz nie wiem, na jak długo straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, jakiś mężczyzna stał przy moim łóżku, a „drugi powstawał właśnie, trzymając w ręku jakąś paczkę wyjętą spomiędzy kufrów mego syna, które były otwarte, a ich zawartość rozrzucona po podłodze. Zanim zdołał odejść, zerwałam się z łóżka i chwyciłam go za ramię...

— Bardzo nierozsądnie - wtrącił inspektor.

— Uczepiłam się go, ale odepchnął mnie, a ten drugi zapewne mnie uderzył, bo nie pamiętam nic więcej. Mary, moja młoda służąca, usłyszała hałas i zaczęła krzyczeć przez okno. Zjawiała się policja, ale tymczasem bandyci zdołali uciec.

— Co wzięli?

— O ile mi wiadomo, nic cennego. Jestem pewna, że nic takiego nie było w kufrach mego syna.

— Czy pozostawili jakieś ślady?

— Tylko dosyć dużą kartkę papieru, którą może wydarłam z rąk tego opryszka. Leżała zgnieciona na podłodze. Zapisana jest ręką mego syna.

— A więc - rzekł inspektor - nie ma większego praktycznego znaczenia. Gdyby była zapisana ręką włamywacza...

— Właśnie! Cóż za kryształowy zdrowy rozsądek! Jednakże, chciałbym to zobaczyć.

Inspektor wydobył ze swego notatnika złożoną kartkę papieru o formacie dużego zeszytu.

- Nigdy nie pomijam żadnego choćby drobnego szczegółu - rzekł cokolwiek uroczyście. - I radzę panu, panie Holmes, trzymać się tej zasady. Nauczyło mnie tego dwadzieścia pięć lat doświadczenia. Zawsze trzeba się liczyć z taką możliwością jak odcisk palców lub coś takiego.

Holmes oglądając podaną mu przez inspektora kartkę papieru,

- Co pan sądzi, panie kolego, o tym, co tu jest napisane?

- rzekł.

- Wygląda to mi na zakończenie jakiejś niesamowitej powieści.

— To na pewno może się okazać zakończeniem jakiejś niesamowitej opowieści - rzekł Holmes. - Zauważył pan numerację stron na górze tej kartki? Dwieście czterdzieści pięć. Gdzie są pozostałe dwieście czterdzieści cztery strony?

— Przypuszczam, że są w posiadaniu włamywaczy. Niezbyt się na tym obłowili!

— Czy warto dokonywać włamania do domu, aby ukraść takie papiery? Czy to panu czegoś nie sugeruje, panie inspektorze?

— Tak, oczywiście, to nasuwa wniosek, że działając w pośpiechu pochwycili, cokolwiek im pod rękę wpadło. Życzę im, aby się nacieszyli takim łupem!

— Dlaczego, dobrali się do rzeczy mego syna? - spytała pani Maberley.

— Nie znaleźli nic cennego na parterze, więc próbowali szczęścia na piętrze. Co pan o tym sądzi, panie Holmes?.

— Muszę się nad tym zastanowić - odpowiedział Holmes, po czym zwrócił się do mnie. - Podejdz ze mną do okna.

Stojąc tam przeczytaliśmy rozpoczynającą się w środku zdania treść kartki.

*...twarz jego krwawiła na skutek zadanych ciosów i cięć, ale o ileż boleśniej krwawiło jego serce, gdy ujrzał jej śliczną twarz, dla której gotów był życie poświęcić, spoglądając na jego mękę i upodlenie. Podniósł ku niej oczy, a ona uśmiechnęła się, niecne, pozbawione serca, szatańskie stworzenie. W tej chwili zanikła jego miłość, a zrodziła się nienawiść. Mężczyzna musi mieć jakiś cel w życiu. Jeśli nie po to, aby zaznać rozkoszy uścisku w twoich ramionach, to po to,*

*aby doczekać się twego upadku i pełnej, należnej mi zemsty.*

— Dziwna gramatyka - rzekł Holmes. - Czy zauważyłaś że zamieniono zaimki? Autor tak się przejął treścią swego tekstu, że w szczytowym momencie narracji uznał się za jej bohatera.

— Kiepska to jest, moim zdaniem, proza - rzekł inspektor, wkładając kartkę z powrotem do notatnika. - Co? Pan już wychodzi, panie Holmes?

— Nie sądzę, abym miał tu cokolwiek do roboty, skoro tak wytrawny jak pan detektyw zajmuje się tą sprawą. Ale, ale - i Holmes zwrócił się do pani Maberley - pani coś wspominała o swoim zamiłowaniu do podróży?

— Zawsze o tym marzyłam.

— Gdzie miałyby pani ochotę się udać? Do Kairu? Na Riwierę?

— Gdyby mnie na to było stać, objechałabym cały świat.

— Dobrze, a więc podróż naokoło świata. A zatem do widzenia, może napiszę do pani parę słów dziś wieczorem.

Gdy przechodziliśmy koło okna, dostrzegłem uśmiech na twarzy inspektora i wymowny ruch jego głowy. „Ci bardzo mądrzy zawsze mają w sobie coś z szaleńców” z pewnością pomyślał w tej chwili.

- A teraz - rzekł Holmes, gdy powróciliśmy do zgiełku londyńskiego śródmieścia - przejdźmy do ostatniego etapu naszej wycieczki. Tę sprawę należy wyjaśnić niezwłocznie i wolałbym, abyś mi towarzyszył. Lepiej bowiem mieć świadka, gdy się ma do czynienia - z Izadorą Klein.

Wsiedliśmy w dorożkę i tęgim kłusem pojechaliśmy na Grosvenor Square. Holmes był pogrążony w zadumie, lecz ocknął się nagle i rzekł:

- Zapomniałem cię o to zapytać, ale chyba nie masz wątpliwości, na czym polega ta cała sprawa?

- Nie, właściwie nie wiem dokładnie, o co chodzi. Tyle tylko, że mamy się zobaczyć z pewną damą, która jest jej

przyczyną.

- Właśnie! Ale czy jej imię i nazwisko nic ci nie mówi? Była w swoim czasie powszechnie uznaną i bezkonkurencyjną piękną. Żadna kobieta nie próbowała nawet jej dorównać. Jest rasową Hiszpanką, w jej żyłach płynie autentyczna krew konkwistadorów, jej rodzina należała przez stulecia do najznakomitszych w Pernambuco. Wyszła za mąż za leciwego Niemca, Kleina, króla cukru, i obecnie jest nie tylko najpiękniejszą, ale i najbogatszą wdową na naszym globie. Po śmierci męża rzuciła się w wir miłosnych przygód, aby móc dogodzić swym namiętnościom i zmiennym gustom. Miała kilkunastu kochanków, a jednym z nich był Douglas Maberley, najbardziej atrakcyjny mężczyzna w Londynie.

Dla niego to nie była bynajmniej przelotna miłostka. Nie należał do motylków z wysokich sfer, był dumnym, silnym mężczyzną oddanym całkowicie i tego samego żądającym dla siebie. Ona natomiast należy do popularnego w powieściach typu „bezlitosnych piękności”. Pragnie zaspokoić swe kaprysy, nic więcej, a jeśli jej partner nie chce się z tym pogodzić, pani Klein umie mu dać do zrozumienia, że ma go dosyć.

— A więc on opisywał swoje własne przeżycia...

— Nareszcie rozwiązałeś tę zagadkę. Słyszałem, że ona ma wyjść za mąż za młodego księcia Lomond, który mógłby być jej synem. Mama, to jest stara księżna, machnie może ręką na tę różnicę wieku, ale nie przełknęłaby wielkiego skandalu. Należało więc koniecznie... Ale oto dojechaliśmy.

Był to jeden z najpiękniejszych domów w najbardziej wytwornej dzielnicy Londynu. Poruszający się sztywno, jak automat lokaj wziął nasze bilety wizytowe i po chwili wrócił mówiąc, że pani Klein jest nieobecna.

— W takim razie poczekamy - rzekł wesoło Holmes. Automat stracił panowanie, nad sobą.

— To znaczy, że nieobecna jest dla panów,

- Dobrze, to znaczy, że nie będziemy czekać. Proszę zanieść swojej pani tę kartkę.

Holmes napisał parę słów na kartce wyrwanej z notatnika, złożył ją i oddał lokajowi.

— Co tam napisałeś? - zapytałem.

— Po prostu: „Czy pani woli wizytę policji?” Sądzę, że to wystarczy, abyśmy stanęli przed jej obliczem.

Wystarczyło, i to w zadziwiająco krótkim czasie. W minutę później znaleźliśmy się w urządzonym z przepychem godnym wschodniego potentata ogromnym salonie, pograżonym w półmroku rozjaśnionym tu i ówdzie różowymi elektrycznymi lampami. „Ta pani - pomyślałem sobie - doszła do wieku, kiedy najbutniejsza uroda czuje się najlepiej w przyćmionym świetle”. Pani Klein powstała z kanapy na nasz widok.

— Co znaczy to brutalne naleganie? Te obelżywe słowa? - trzymała w ręku kartkę papieru.

— Nie zamierzam tego wyjaśniać. Zbyt wielki żywię szacunek dla pani inteligencji. Aczkolwiek pozwalam sobie stwierdzić, że ostatnio panią zawodzi.

— Co pan ma na myśli?

— Sądziła pani bowiem, że wynajęcie zbirów może mnie odstraszyć od spełnienia mego zadania. Nikt przecież nie uprawiałby takiego jak mój zawodu, gdyby go nie nęciło niebezpieczeństwo. A zatem pani sama mnie zmusiła do zajęcia się sprawą młodego Maberleya.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Cóż mogę mieć wspólnego z wynajętymi zbirami?

Holmes zawrócił gniewnie ku drzwiom.

— Przeceniłem pani inteligencję. Do widzenia.

— Stop! Dokąd pan idzie?

— Do Scotland Yardu.

Nie przeszliśmy jeszcze pół drogi do drzwi, a już nas dogoniła i pochwyciła Holmesa za rękę. Stał zamieniła się błyskawicznie w aksamit.

— Panowie, proszę usiąść. Porozmawiajmy. Wolę być z panem szczerą, panie Holmes. Potraktuję pana jak przyjaciela.

— Nie wiem, czy będę mógł się pani odwzajemnić. Nie jestem przedstawicielem prawa, ale reprezentuję sprawiedliwość w miarę moich skromnych możliwości. Jestem gotów panią wysłuchać, a następnie powiem, jak zamierzam postąpić.

— Grozić takiemu jak pan odważnemu człowiekowi było niewątpliwie głupstwem z mej strony.

— Istotnym głupstwem z pani strony było oddanie się w ręce bandy rzezimieszków, którzy mogą panią szantażować albo wydać.

— Nie jestem aż tak naiwna. Skoro obiecałam szczerść, to powiem, że z wyjątkiem Barneya Stockdale i jego żony Susan żaden z nich nie wie, kto jest ich pracodawcą. A co do tej pary to już nie po raz pierwszy... - uśmiechnęła się filuternie i zalotnie zarazem.

— Rozumiem. Wypróbowała ich już pani poprzednio.

— To są psy gończe milcząco idące za tropem.

— Takie psy gończe prędzej czy później ugryzą karmiącą je rękę. Będą aresztowani za kradzież z włamaniem. Policja już ich szuka.

— Pogodzą się z tym, co ich czeka. Płacę im za to. Nie będę wmieszana do tej sprawy!

— Chyba że za moją przyczyną.

— Nie, nie, pan jest dżentelmenem. A to jest sekret kobiety.

- Po pierwsze, musi pani oddać mi ten rękopis.

Wybuchnęła dźwięcznym, melodyjnym śmiechem, podeszła

do kominka i poruszyła pogrzebaczem masę zwęglonego tam papieru.

- Czy mam to oddać? - zapytała. Wyglądała tak kusząco, stojąc przed nami z wyzywającym, łobuzerskim uśmiechem, że nie mogłem się obronić przed wrażeniem, iż ze wszystkich przestępców, z jakimi Holmes miał do czynienia, z tym najtrudniej mu się będzie uporać.

Myliłem się jednak. Holmes pozostał niewzruszony.

- To przypieczętowanie pani los - rzekł chłodno. – Szybko pani działa, ale przesadziła pani tym razem.

Rzucony przez nią pogrzebacz upadł z głośnym brzękiem na podłogę.

- Twardy z pana człowiek! - wykrzyknęła. - Czy mam panu opowiedzieć wszystko, co zaszło?

- Zdaje mi się, że to ja mógłbym pani wszystko opowiedzieć.

— Ależ proszę spojrzeć na to moimi oczyma, panie Holmes, i ocenić sytuację z punktu widzenia kobiety, która właśnie w momencie realizacji życiowych ambicji widzi możliwość ich ruiny. Czy można tę kobietę potępić za to, że usiłuje się bronić?

— Pierwotna wina leży po pani stronie.

— Tak, zgoda! Douglas był przemiłym chłopcem, ale tak się złożyło, że nie mogłam go włączyć do swoich planów. On chciał małżeństwa! Małżeństwo z synem drugorzędnej mieszczańskiej rodziny, a» do tego bez grosza! Wszystko inne mu nie wystarczało. Wreszcie stał się uporczywie natrętny. Ponieważ mu uległam, wyobrażał sobie, że muszę mu zawsze ulegać, i tylko jemu! Nie mogłam tego tolerować i wreszcie dałam mu to do zrozumienia.

— Przez wynajęcie kilku drabów, którzy go obili pod pani oknem.

— Zaiste, pan się wydaje wszystkowiedzącym. Tak, to prawda. Barney i jego koledzy przepędzili go sprzed moich drzwi, a przy tym nieco poturbowali. I cóż on potem uczynił? Czyż mogłam przypuszczać, że dzentelmen zdobędzie się na coś podobnego? Napisał książkę zawierającą historię całego jego życia. Ja, oczywiście, byłam najczarniejszym z charakterów, a on ofiarą. Wszystko tam było opisane, pod innymi, oczywiście, nazwiskami, ale nikt w Londynie nie miałby wątpliwości, o kogo chodzi. Co pan na to, panie Holmes?



— Miał do tego prawo.

— Zdawałoby się, że klimat włoski obudził w nim tradycyjne w tym kraju okrutne instynkty. Napisał do mnie i przesiał odpis tej książki, aby mnie dręczyć wyczekiwaniem na jej ukazanie się w druku. „Mam dwa egzemplarze - pisał - jeden dla ciebie, a drugi dla mego wydawcy”.

— Skąd pani wiedziała, że wydawca nie otrzymał przeznaczonego dlań egzemplarza?

— Znałam nazwisko tego wydawcy. To nie była pierwsza książka Douglasa. Dowiedziałam się, że nic od niego z Włoch nie otrzymał. Po czym nastąpiła nagła śmierć Douglasa. Tak długo, jak istniał ten drugi egzemplarz, nie czułam się bezpieczna. Rękopis powinien się znajdować, oczywiście, wśród rzeczy Douglasa, odesłanych jego matce. Puściłam w ruch szajkę Barneya. Jego żonie udało się dostać do domu pani Maberley w charakterze służącej. Chciałam uczciwie to załatwić. Szczerze i naprawdę chciałam. Gotowa byłam kupić ten dom i wszystko, co się w nim znajduje. Zapłaciłabym każdą cenę, jaką by zażądała. Spróbowałam innych metod dopiero gdy ta ostatecznie zawiodła. A teraz, panie Holmes, przyznaję, że skrzywdziłam Douglasa i Bóg wie, jak bardzo mi jest przykro z tego powodu, ale cóż innego mogłam uczynić, skoro w grę wchodziła cała moja przyszłość?

— Holmes wzruszył ramionami.

- Chyba przyjdzie mi polubownie wyznaczyć karę za przestępstwo, jakiego się pani dopuściła. Ile może kosztować podróż dookoła świata pierwszą klasą i z pobytem w pierwszorzędnym hotelach?

Pani Klein spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Czy wystarczy na to -; mówił dalej Holmes - pięć tysięcy funtów?

— Ja myślę!

— Doskonale. A więc podpisze pani czek na pięć tysięcy funtów, ja zaś podejmę się doręczenia go pani Maberley. Winna jest jej pani zmianę klimatu. A następnie - i

pogroził jej palcem - radzę się mieć na baczności Nie można  
igrać ostrymi narzędziami, nie narażając prędzej czy później na  
okaleczenie tych wykwiłntnych dłoni.

*Przel. Jan Meysztoiwicz*

## CZŁOWIEK NA CZWORAKACH

Sherlock Holmes już dawno uważał, że bodaj tylko po to powinienem ogłosić zadziwiające fakty związane z osobą profesora Presbury, aby raz na zawsze położyć kres niemiłym pogłoskom, które jakieś dwadzieścia lat temu wstrząsnęły Uniwersytetem i znalazły oddźwięk w naukowych kołach Londynu. Z pewnych powodów jednak sprawa ta spoczywała zagrzebana w cynowym pudle, mieszczącym tyle opowiadań o przygodach mojego przyjaciela. Obecnie nareszcie pozwolono nam wyjaśnić fakty, które złożyły się na jedną z ostatnich spraw Holmesa, nim wycofał się z aktywnego życia. Ale nawet, i teraz wskazana jest pewna powściągliwość i dyskrecja przy publikowaniu tej historii.

Którejś niedzieli w pierwszych dniach września 1903 roku otrzymałem od Holmesa następującą lakoniczną wiadomość:

*Przybywaj natychmiast, jeżeli możesz, jeżeli nie możesz, przybywaj także. S. H.*

W tym okresie nasze stosunki przybrały szczególny charakter. Holmes był człowiekiem bardzo konserwatywnym. Przyzwyczajęń miał mało, ale hołdował im wiernie. Ja również należałem do jego zwyczajów, jak skrzypce, grubo krojony tytoń, stara, czarna fajka, wszelkiego rodzaju informatory oraz inne rzeczy, z którymi trudniej się było pogodzić. Kiedy chodziło o jakiś czyn i Holmes potrzebował towarzysza o mocnych nerwach, moja rola była jasna. Ale miał też dla mnie inne zastosowanie: byłem toczydłem dla jego mózgu. Pobudzałem go. Lubił głośno rozmyślać w mojej obecności. Uwag wcale nie rzucał pod moim adresem - wiele z nich równie dobrze mógł kierować do swojego łóżka - niemniej jednak tak przyzwyczał się do moich reakcji, że w pewnym stopniu pomagały mu one myśleć. Jeżeli nawet irytowałem go brakiem bystrości, to jednocześnie ta irytacja pobudzała jego zapalną

wyobraźnię i intuicję, które wówczas wybuchały jasnym płomieniem. Taką więc skromną rolę odgrywałem w naszym przymierzu.

Holmesa zastałem na Baker Street zatopionego w głębokim fotelu, z kolanami pod brodą, fajką w ustach i ze zmarszczonym czołem. Jasne było, że dręczył go jakiś ciężki, problem. Ruchem ręki wskazał mi mój dawny fotel i na następne pół godziny jakby zupełnie o mnie zapomniał. Potem raptownie zbudził się z zadumy i ze zwykłym filuternym uśmiezkiem poprosił, abym się czuł jak u siebie w tym mieszkaniu, które przecież ongiś było także i moim mieszkaniem.

— Wybacz mi to roztargnienie - rzekł. - Wczoraj dowiedziałem się o pewnych ciekawych wydarzeniach, które z kolei skłoniły mnie do ogólniejszych rozważań. Poważnie zastanawiałem się, czy nie napisać małej rozprawy o życiu psów w pracy śledczej.

— Ależ mój drogi, to żadna nowość - odparłem. - Psy gończe, owczarki...

— Nie, nie, nad tą stroną zagadnienia nie warto się zastanawiać, ale jest inna, bardziej subtelna. Może sobie przypominasz, że w sprawie, którą ty w swój sensacyjny spoąób połączyłeś z miedzianolistnymi bukami, mogłem z usposobienia dziecka wydedukować prawdę o zbrodniczych zamiłowaniach niezwykle szanownego i pewnego siebie taty.

— Tak, doskonale pamiętam.

— Otóż, gdy chodzi o psy, rozumiuję analogicznie. Pies jest odbiciem rodzinnego życia. Czy widział kto wesołego psa w ponurej rodzinie albo ponurego psa w pogodnej i szczęśliwej rodzinie? Mrukliwi ludzie mają warkliwe psy, niebezpieczni - groźne. A przejściowe nastroje jednych udzielają się drugim.

Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem.

- Nie, mój drogi, to naciągnięte rozumowanie - powiedziałem.

Nie zwracając najmniejszej nawet uwagi na moje słowa,

napelnił fajkę i poprawił się w fotelu.

- Praktyczne zastosowanie moich słów ściśle łączy się z problemem, który mam rozstrzygnąć. Rozumiesz, to jest splątany supeł, ja zaś szukam luźnego końca. A jeden jedyny luźny koniuszek sprowadza się do zagadnienia: czemu Roy, wilczur profesora Presbury, próbował go ugryźć?

Lekko rozczarowany odchyliłem się w fotelu. Dla tak błahego powodu oderwał mnie Holmes od pracy? Tymczasem on przyglądał mi się uważnie.

- Nie zmieniłeś się ani na jotę, mój drogi przyjacielu! - rzekł. - Nigdy nie nauczysz się, że najdrobniejsze przyczyny mogą pociągnąć najpoważniejsze skutki. Czyż na pierwszy rzut oka nie wydaje ci się zastanawiającą rzeczą, że poważny, starszy uczonek - słyszałeś niezawodnie o Presburym, słynnym fizjologu z Camford? - a więc, że taki człowiek dwa razy został zaatakowany przez swego wiernego przyjaciela, psa wilczura? Co o tym sądzisz?

— Że pies jest chory.

— Tak, to też trzeba wziąć pod uwagę. Pies jednak nie rzuca się na innych, a swojego pana atakuje tylko w pewnych okolicznościach. Ciekawe, mój drogi, ciekawe. Ale młody Bennett zjawia, się wcześniej niż miał, jeżeli to on dzwoni. Myślałem, że przedtem uda mi się dłużej z tobą pogadać.

Usłyszeliśmy szybkie kroki po schodach, potem ktoś mocno zapukał do drzwi i wszedł nasz nowy klient. Był to wysoki, przystojny młody człowiek, koło trzydziestki, dobrze ubrany i elegancki. Brakowało mu jednak pewności siebie, cechującej światowca i rzekłbym, że był nieśmiały jak sztubak. Wymienił uścisk dłoni z Holmesem, a potem spojrzał na mnie zdziwiony.

— To bardzo delikatna sprawa - rzekł do Holmesa. - Z uwagi na stosunki łączące mnie z profesorem Presbury, zarówno prywatne jak i oficjalne, chyba nie będę mógł rozmawiać z panem w obecności trzeciej osoby.

— Niech się pan nie obawia - odparł Holmes. - Doktor

Watson to chodząca dyskrecja i zapewniam pana, że w tej sprawie będę musiał skorzystać z jego łaskawej pomocy.

— Jak pan sobie życzy. Sądzę, że pan rozumie, w jakiej jestem sytuacji i dlaczego tak mi zależy na tajemnicy.

— Zrozumiesz, o co chodzi - zwrócił się do mnie Holmes - jeżeli ci powiem że pan Trevor Bennett jest asystentem wielkiego uczonego, mieszka u niego w domu i jest zaręczony z jego córką jedynaczką. Musimy więc przyznać, że profesor ma pełna prawo liczyć na jego lojalność i oddanie. Ale przez wyjaśnienie dziwnej tajemnicy, pan Bennett najlepiej dowiedzie tych swoich uczuć.

— Ma pan rację panie Holmes. Właśnie o to mi chodzi. Czy doktor Watson zna sprawę?

— Nie zdążyłem mu opowiedzieć.

— A więc może powtórzę raz jeszcze wszystko ód początku, zanim złożę relację z nowych wydarzeń?

— Ja to zrobię - rzekł Holmes - aby sprawdzić, czy czegoś nie zapomniałem lub nie przekręciłem. Nazwisko profesora - Holmes zwrócił się do mnie - jest znane w całej Europie. To wybitny uczony. Nie można mu nic zarzucić, nawet cienia jakiegoś skandalu. Jest wdowcem i ma córkę jedynaczkę, Edytę. O ile wiem, to człowiek bardzo męski, pewny siebie, powiedziałoby się nawet: wojowniczy. Tak sprawy stały jeszcze parę miesięcy temu. Potem wszystko zmieniło się raptownie. Mając lat sześćdziesiąt jeden zaręczył się z córką profesora Morphy, swego kolegi z katedry anatomii porównawczej. Te zaręczyny łączyły się nie z umiarkowanymi zalotami starszego już pana, lecz z obłądną młodzieńczą miłością. Nikt z większym zapalem nie nadskakiwałby swojej wybrance. Alicja Morphy ma wszelkie zalety ciała i ducha, toteż ta namiętność ze strony profesora łatwo się tłumaczy. Niemniej jednak budzi pewne zastrzeżenia w jego rodzinie.

- Uważaliśmy ją za przesadną - wtrącił nasz gość.

- Słusznie. Przesadna, za gwałtowna i nienaturalna. Jednakże profesor Presbury jest bogaty, toteż ojciec panny nie

protestował przeciwko temu związkowi. Ale jego córka była innego zdania. Zalecało się do niej sporo mężczyzn; stanowili może gorsze partie, lecz byli odpowiedniejsi wiekiem. Darzyła jednak profesora sympatią mimo jego dziwactw i tylko lata stały na przeszkodzie ich małżeństwu.

W tym czasie jakaś mała tajemnica omroczyła nagle życie profesora. Uczynił coś, czego nigdy jeszcze nie robił. Wyjechał, nie mówiąc dokąd jedzie. Nie było go dwa tygodnie, a wrócił zmęczony jakby po dłuższej chorobie. Słówkiem nie pisał, dokąd jeździł, choć zwykle niczego nie ukrywał i o wszystkim chętnie opowiadał. Traf chciał jednak, że pewien student z Pragi, kolega tu obecnego pana Bennetta, doniósł mu w liście, że widział tam profesora Presbury, ale nie mógł z nim mówić. Jedynie w ten sposób domownicy profesora dowiedzieli się, gdzie był.

Teraz dochodzimy do najważniejszego. Od czasu wyjazdu dziwna zmiana zaszła w profesorze. Stał się skryty i chytry. Sprawiał wrażenie nie tego samego człowieka. Zdawało się, że jakiś cień padł na jego wielkie zalety ducha. Umysł nie ucierpiał ani trochę. Jego wykłady nadal były wspaniałe. Ale raz po raz występowała jakaś nowa cecha charakteru, ponura i niespodziewana. Córka, bardzo doń przywiązana, parokrotnie próbowała przełamać mur, który powstał między nimi, i przejrzeć tę maskę, którą tak nagle przybrał jej ojciec. Zdaje się, że i pan próbował tego panie Bennett, lecz daremnie. A teraz może pan sam opowie o tej historii z listem.

- Trzeba panu wiedzieć, panie Watson - zaczął Bennett - że profesor nie miał przede mną tajemnic. Swojego syna czy młodszego brata nie darzyłby większym zaufaniem. Jako jego sekretarz odbierałem całą pocztę otwierałem rozdzierałem listy. Ale wkrótce po powrocie profesora wszystko się zmieniło. Oznajmił mi że spodziewa się pewnych listów z Londynu oznaczonych krzyżykiem pod znaczkami. Te powinienem odkładać nie rozpieczętowane, wyłącznie dla niego. Muszę powiedzieć, że przyszło ich sporo, każdy oznaczony inicjałami

E C, a zaadresowane były niewprawną ręką. Jeżeli profesor odpisywał, to chyba bezpośrednio, bo żadna odpowiedź nie przeszła przez moje ręce ani nie znalazłem jej w koszyku na listy, gdzie składa się całą korespondencję.

— No i pudełko - przypomniał Holmes.

— Racja, pudełko. Otóż profesor przywiózł z podróży małe drewniane pudełko. Sugeruje ono, że bawił na kontynencie. Jest to niezwykle rzeźbione pudełko, jedno z tych, które zawsze nasuwają nam myśl o Niemczech. Wsadził je do szafki z narzędziami. Któregoś dnia szukając kalki wyjąłem pudełko. Profesor ogromnie się o to rozgniewał i ku memu zdziwieniu, w gwałtownych słowach zarzucił mi wścibstwo. Zdarzyło się to po raz pierwszy i bardzo mnie zabolalo. Usiłowałem wytłumaczyć, że tylko przypadkiem dotknąłem tego pudełka, ale przez cały wieczór czułem na sobie jego gniewny wzrok i wiedziałem, że uparcie nad tym rozmyśla.

Bennett wyciągnął notesik z kieszeni i dodał.

— A było to 2 lipca.

— Z pana doskonały świadek - rzekł Holmes. - Pewnie będą mi potrzebne niektóre daty z tych, co pan zanotował.

— Mój słynny profesor między innymi rzeczami nauczył mnie też systematyczności. Od chwili kiedy zauważyłem w nim coś nienormalnego, wiedziałem, że muszę się tym starannie zająć. Tak więc mam zanotowane, że tegoż dnia, 2 lipca, gdy profesor z gabinetu wszedł do holu, Roy rzucił się na niego, 11 i 20 lipca znów to samo. Od tej daty trzeba było przenieść Roya do budy przy stajni. To porządne, wierne psisko... Ale może nudzę panów?

Powiedział to z lekkim wyrzutem, albowiem Holmes wyraźnie go nie słuchał. Rysy mu stężały, oczy wbił w sufit. Z trudem opanował się.

- Dziwne, bardzo dziwne - mruzczał. - To dla mnie całkiem nowe. Zdaje się jednak, że opowiedzieliśmy sobie wszystkie dawne wydarzenia. Wspomniał pan coś o nowych, prawda?



Miła, szczerą twarz naszego gościa spochmurniała, jakby pod wpływem przykrego wspomnienia.

— Miałem na myśli wydarzenie z przedostatniej nocy - zaczął. - Koło drugiej nad ranem, kiedy leżałem nie śpiąc, doleciał mnie z korytarza stłumiony szmer. Uchyliłem drzwi i wyjrzałem. Muszę tu wyjaśnić, że sypialnia profesora znajduje się w końcu korytarza...

— A było to dnia? - rzucił Holmes.

Widziałem, że Bennetta zirytowało to niestosowne pytanie.

- Mówiłem już, proszę pana, że to było przedostatniej nocy... to znaczy 4 września.

Holmes skinął głową z uśmiechem.

— Proszę, niech pan opowiada dalej - rzekł.

— Profesor sypia więc na końcu korytarza i musi przejść obok moich drzwi w drodze do schodów. Panie Holmes, to było straszne! Chyba nie jestem bardziej nerwowy niż inni ludzie, ale wstrząsnął mną ten widok. W korytarzu było ciemno, tylko nikłe światło, wpadające przez okno, pośrodku jasną plamą kładło się na podłodze. W tym półmroku dostrzegłem jakąś ciemną postać skradającą się na czworakach wzdłuż korytarza. Nagle wyłoniła się ona w tym blasku światła i wtedy ujrzałem wyraźnie... To był on! Skradał się na czworakach, panie Holmes, skradał się! Nie całkiem na czworakach, powiedziałbym, że na rękach i stopach z twarzą ukrytą między ramionami. Mimo to jednak poruszał się zwinnie. Skamieniałem na ten widok i dopiero gdy zrównał się z moimi drzwiami, ochłonąłem na tyle, że wyszedłem i zapytałem, czy mogę mu w czymś pomóc. Zdumiała mnie jego reakcja: wyprostował się raptownie, warknął coś obraźliwego, wyminął mnie pędem i zbiegł po schodach. Czekałem jeszcze z godzinę, ale daremnie. Chyba wrócił, kiedy już świtało.

— No i co o tym myślisz, mój drogi? - zapytał mnie Holmes z miną patologa demonstrującego jakiś ciekawy wypadek.

— Może lumbago. Widziałem już tak ostry atak, że chory chodził w podobny sposób, a ta dolegliwość jak żadna odbija się na humorze.

— Wspaniale! Ty zawsze nas ściągniesz z obłoków! Ale nie możemy się zgodzić na lumbago, skoro profesor przez chwilę stał wyprostowany.

— Nigdy też nie czuł się lepiej - zauważył Bennett. - Prawdę mówiąc, od lat nie widziałem go aż w tak dobrym zdrowiu. Ale trzeba się liczyć z faktami, panie Holmes. To nie jest sprawa, z którą możemy się zwrócić do policji, a z drugiej strony zachodzimy w głowę, co możemy zrobić i czujemy, że jakieś nieszczęście nad nami zawisło. Edyta... to znaczy panna Presbury... podziela moje zdanie: że nie można już czekać beczynnienie.

— Rzeczywiście, to bardzo ciekawa historia i dająca do myślenia. Co - o niej sądzisz, Watsonie?

— Mówiąc ze stanowiska lekarza - zacząłem - jest to sprawa dla psychiatry. Miłość zakłóciła procesy myślowe tego starszego już pana. Wybrał się w podróż, aby się wyleczyć z namiętności. Listy i pudełko mogą się wiązać za jakąś transakcją... może kwit na pożyczkę, akcje czy udziały w nim leżą...

— A pies nie pochwała tej transakcji swojego pana! Nie, nie, mój drogi, takie tłumaczenie mi nie wystarcza. Mógłbym tylko przypuszczać...

Nigdy nie dowiemy się, co Sherlock Holmes mógłby przypuszczać, bo w tym momencie drzwi otworzyły się i nasza gospodyni wpuściła do pokoju jakąś młodą panią. Bennett krzyknął, zerwał się z miejsca i wyciągnawszy przed siebie obie ręce pobiegł na spotkanie, wchodzącej, która też wyciągnęła ku niemu ramiona,

— Edyto, kochanie! Czy coś złego się stało?,

— Musiałam tu przyjść za tobą. Och, żebyś ty wiedział, jak bardzo się zlekłam! To straszne być samą.

— Panie Holmes, to moja narzeczona, o której

mówiłem.

— Stopniowo sami przyszliśmy do tego wniosku, prawda, Watsonie? - odparł Holmes z uśmiechem. - Rozumiem, proszę pani, że zaszło coś nowego, o czym, jak pani sądzi, warto nam powiedzieć, czy tak?

Nasz nowy gość, jasnowłosa, przystojna dziewczyna o typowej angielskiej urodzie uśmiechem odpowiedziała na uśmiech Holmesa i siadła obok Bennetta.

— Kiedy dowiedziałam się, że pan Bennett wyszedł z hotelu, domyśliłam się, że znajdę go tutaj. Oczywiście mówił mi, że się zwróci do pana po poradę. Panie Holmes, czy zdoła pan coś zrobić dla mojego biednego ojca?

— Spodziewam się proszę pani, ale sprawa wciąż nie jest jasna. Może to, co pani nam powie, rzuci na nią trochę nowego światła.

- To się stało tej nocy, proszę pana. Ojciec przez cały dzień był bardzo dziwny. Jestem pewna, że czasami nie pamięta, co robi. Żyje jak w jakimś dziwnym śnie. Wczoraj tak właśnie było. W niczym nie przypominał mojego dawnego ojca. To nie był on, tylko jego zewnętrzna powłoka.

— Niech pani powie, co zaszło.

— Zbudziło mnie niezwykle groźne szczekanie psa. Biedny Roy - siedzi na łańcuchu koło stajni. Muszę przyznać, że zawsze na noc zamykam się na klucz, bo jak Jack... jak pan Bennett może potwierdzić, wszyscy czujemy, że jakieś niebezpieczeństwo nam grozi. Moja sypialnia znajduje się na drugim piętrze. Tak się złożyło, że żaluzje były podniesione, a księżyc świecił jasno. Nasłuchując gniewnego szczekania psa, leżałam z szeroko otwartymi oczami, wpatrzona w jasny kwadrat okna i nagle z przerażeniem zobaczyłam przed sobą twarz ojca, który mi się przyglądał. Mało nie umarłam ze strachu. Ojciec przycisnął twarz do szyby, a jedną rękę uniósł, jakby chciał otworzyć moje okno. Gdyby je otworzył, chyba bym zwariowała. To nie było żadne przywidzenie. Niech pan się nie ludzi. Pewnie ze dwadzieścia sekund leżałam jak sparaliżowana

i przyglądałam się tej twarzy, a potem nagle zniknęła mi ona, ale ja nie mogłam... nie mogłam wyskoczyć z łóżka i wyrzucić. Leżałam dygocząc ze strachu aż do rana. Przy śniadaniu ojciec był szorstki i gwałtowny, lecz storwem nie wspomniał o tym nocnym wydarzeniu. Ja też milczałam, ale nikogo nie uprzedzając wybrałam się do miasta i oto jestem.

Holmes wydawał się zaskoczony opowiadaniem panny Presbury.

— Mówiła pani, że pani pokój leży na drugim piętrze. Czy w ogrodzie jest jakaś wysoka drabina?

— Nie, i to właśnie najdziwniejsze w tym wszystkim. Nie ma żadnego sposobu dostania się do mojego okna. Ojciec jednak się dostał.

— A było to 5 września - rzekł Holmes. - To bardzo komplikuje sprawę.

Teraz panna Presbury wyglądała na zaskoczoną.

— Już po raz drugi zwraca pan uwagę na daty - odezwał się Bennett. - Czy miałyby jakieś znaczenie?

— Możliwe... bardzo możliwe... ale jeszcze nie zebrałem wszystkich danych.

— Może łączy pan te zaburzenia umysłowe z pełnią księżyca?

— Nie, z pewnością nie. Myślę zupełnie o czymś innym. Niech mi pan zostawi swój notes, abym mógł sprawdzić pewne daty. - I zwrócił się do mnie: - Sądzę, mój drogi, że wiemy już, co robić. Panna Presbury powiedziała nam - a można jej wierzyć - że jej ojciec nie pamięta nic lub prawie nic z tego, co się działo w pewnych datach. Pojedziemy więc do niego, tak jakby nas zaprosił któregoś z tych dni. Będzie przypuszczał, że o tym zapomniał. A więc od osobistego spotkania z nim zaczniemy naszą kampanię.

— Wspaniała myśl - rzekł Bennett. - Muszę jednak uprzedzić panów, że profesor jest zapalczywy, a czasem nawet gwałtowny.

Holmes uśmiechnął się.

- Dla pewnych powodów pojedziemy jak najprędzej... dla bardzo przekonujących powodów - jeżeli moje przypuszczenia są słuszne. Jutro, panie Bennett, zobaczy pan nas w Camford. Jeśli mnie pamięć nie myli, jest tam zajazd pod nazwą „Warcaby”. Mają tam wcale niezłe porto, a pościeli nie można nic zarzucić. Myślę, Watsonie, że w najbliższej przyszłości los może nas pchnąć do znacznie gorszych miejsc.

W poniedziałek rano jechaliśmy już do słynnego uniwersyteckiego miasta. Holmesowi łatwo to przyszło, bo był wolny, ale ja miałem z tym wiele kłopotu i latania, w tym czasie bowiem wyrobiłem już sobie sporą praktykę i nie mogłem się skarżyć na brak pacjentów.” Holmes ani słówkiem nie wspomniał o sprawie dopóty, dopóki nie złożyliśmy naszych walizek w starym zajęździe, o którym mówił.

— Sądzę, mój drogi - rzekł mi wtedy - że najłatwiej zastaniemy profesora przed obiadem. Zaczyna wykłady o jedenastej i w czasie przerwy wpada do domu.

— Jak wytłumaczymy naszą wizytę?

Holmes zajrzał do notesu.

— W dniu 23 sierpnia zachowywał się niesamowicie. Musimy przyjąć, że nie bardzo pamięta, co robił w takich okresach. Jeżeli więc powiemy, że nas wezwał, chyba nie zaoponuje. Czy starczy ci tupetu na takie łągarstwo?

— Możemy tylko próbować.

— Wspaniale, mój drogi... niby firmowy slogan... Jakiś przyjazny krajowiec z pewnością wskaże nam drogę.

Zabraliśmy do powozu któregoś z chętnych mieszkańców miasteczka i za jego wskazówkami minęliśmy szereg starych kolegów, skręciliśmy w aleję wysadzaną drzewami i zajechaliśmy wreszcie przed uroczy dom, obrośnięty purpurową glicynią i otoczony zielonymi trawnikami.

Profesor Presbury pędził widocznie nie tylko wygodny, lecz nawet luksusowy żywot, a kiedy zajeżdżaliśmy przed dom, dostrzeżliśmy czyjąś mocno już szpakowatą głowę we frontowym oknie i spoglądające ku nam zza dużych rogowych okularów bystre oczy pod krzaczastymi brwiami. W chwilę potem znaleźliśmy się w sanktuarium tego zagadkowego uczonego, sam na sam z człowiekiem, którego dziwne wyskoki sprowadziły nas z Londynu. Trzeba przyznać, że jego wygląd i zachowanie nie zdradzały żadnych oznak ekscentryczności. Mieliśmy bowiem przed sobą krzepkiego mężczyznę o grubych rysach, poważnego, wysokiego, w zakiecie, całym wyglądem dyktującego szacunek tak konieczny dla osoby profesora. Największą uwagę zwracały jego oczy: bystre, przenikliwe i tak sprytne, że omal przebiegłe.

Spojrzał na nasze bilety wizytowe.

— Proszę, niech panowie siadają, czym panom mogę służyć?

Holmes uśmiechnął się dobrodusznie.

— Właściwie to ja chciałem o to pana zapytać - rzekł.

— Mnie?!

— Czyżby jakaś pomyłka? Dano mi znać, że profesor Presbury z Camford potrzebuje mojej pomocy.

— Naprawdę? - Zdawało mi się, że dostrzegłem złośliwy błysk w bystrych szarych oczach. - Dano panu znać? Czy wolno mi

spytać, kto panu dał znać?

— Żałuję, panie profesorze, ale to była poufna wiadomość. Zresztą, jeżeli zaszła pomyłka, nie stało się przecież nic złego. Pozostaje mi tylko przeprosić pana.

— O nie, mój panie. Muszę dowiedzieć się szczegółów. To mnie ciekawi. Może pan ma jakiś skrawek listu, kartkę, depeszę na potwierdzenie pańskich słów?

— Nie, nie mam.

— Chyba nie będzie pan twierdził że to ja sam pana wezwałem?

— Wolałbym nie dawać żadnych odpowiedzi - rzekł Holmes.

— Nie, z pewnością nie - rzucił szorstko profesor. - Jednak na to pytanie można sobie łatwo odpowiedzieć bez pana.

Podszedł do dzwonka. Po chwili w drzwiach stanął znany już nam z Londynu, asystent profesora, Bennett.

— Niech pan wejdzie - rozkazał profesor.. - Ci panowie przybyli z Londynu, bo zdawało im się, że ktoś ich wzywał. Wszystkie listy przechodzą przez pańskie ręce. Czy był, tam jakiś adresowany do niejakiego pana Holmesa?

— Nie, proszę pana - odparł Bennett rumieniąc się.

— To załatwia sprawę - rzekł profesor, gniewnym okiem patrząc na Holmesa. - No więc teraz, mój panie - obie ręce wsparł na biurku i pochylił się do przodu - znalazł się pan w bardzo dwuznacznej sytuacji..

Holmes wzruszył ramionami.

— Mogę jedynie raz jeszcze wyrazić żal, że niepotrzebnie pana trudziłem.

— To mi nie wystarcza! - piskliwie krzyknął starzec i dziwnie zły grymas wykrzywił mu rysy. Groźnie wywijając pięściami zagroził nam drogę do drzwi.

— Nie, tak łatwo panów nie wypuszczę. - Twarz drgała mu gniewnie, zęby błyszczały spod warg, a słowa wyrzucał szybko porwany bezmyślnym gniewem. Gdyby nie Bennett, z pewnością przyszłoby nam siłą torować sobie drogę.

— Panie profesorze - krzyknął. - Panu przecież nie wypada! Niech pan pomyśli, jaki skandal wywołałoby to na Uniwersytecie! Pan Holmes jest bardzo znanym człowiekiem. Pan nie może potraktować go tak ostro.

Nasz gospodarz - jeżeli mogę go tak nazwać - z ponurą miną odstąpił od drzwi. Z radością znów znaleźliśmy się za progiem w ciszy i spokoju zadrzewionej alei. Holmes zdawał się nadzwyczaj ubawiony tą przygodą.

- Nasz uczonek nie panuje nad nerwami - rzekł. - Być może, wdarliśmy się trochę za brutalnie do jego domu,



zyskaliśmy jednak ten osobisty kontakt, na którym tak mi zależało. Ale patrz, depte nam po piętach. Niecnota biegnie za nami.

Istotnie ktoś biegł, westchnąłem jednak z ulgą widząc, że to Bennett, nie profesor wybiega zza zakrętu. Dopadł nas zdyszany.

— Strasznie mi przykro, panie Holmes, chciałem pana przeprosić.

— Drogi panie, niechże pan sobie z tego nic nie robi. Takie rzeczy związane są z moim zawodem.

- Nigdy jeszcze nie widziałem profesora równie rozgniewanego. Robi się coraz groźniejszy. Teraz chyba pan rozumie, czemu się tak niepokoiimy, jego córka i ja, a przecież myśli zupełnie jasno.

- Za jasno! - rzekł Holmes. - I dlatego się pomyliłem. Widzę, że lepiej wszystko pamiętać, niż przypuszczać. Ale skoro już tu jesteśmy, czy moglibyśmy spojrzeć na okno pokoju panny Presbury?

Bennett poprowadził nas przez jakieś krzaki na tyły domu.

— To tu - rzekł. - Drugie okno po lewej stronie.

— O, do licha, trudno się do niego dostać! Niech pan jednak zwróci uwagę, że można się wspiąć po pnączach lub po rynnie.

— Ja bym się nie wspiął - rzekł Bennett.

— Możliwe. Trzeba przyznać, że dla zwykłego śmiertelnika byłby to nie lada wyczyn.

— Chciałem jeszcze coś panu powiedzieć, panie Holmes. Mam adres tego człowieka w Londynie, z którym profesor koresponduje. Pisał do niego dziś rano i wzięłem adres z bibuły. Przyznaję ze wstydem, że zaufany sekretarz nie powinien tak robić, no ale trudno.

Holmes spojrział na kartkę papieru i wsunął ją do kieszeni.

— Dorak... zabawne nazwisko. Chyba słowiańskie. To

jednak ważne ogniwo w łańcuchu. Jutro po południu wracamy do Londynu, panie Bennett. Po co mielibyśmy tu siedzieć? Aresztować profesora nie możemy, bo nie popełnił żadnego przestępstwa, nie możemy też go zamknąć w szpitalu wariatów, skoro nie zdradza obłąkania. W tej chwili nie można nic zrobić.

— No więc co począć, co począć?...

— Zdobyć się na odrobinę cierpliwości, panie Bennett. Niebawem wypadki potoczą się dalej. Jeżeli się nie mylę, kryzys nadejdzie w przyszły wtorek. Oczywiście przybędziemy w tym dniu do Camford. Przyznaję, że tymczasem sytuacja jest nieprzyjemna i gdyby panna Presbury mogła przedłużyć pobyt...

— To nie nasuwa trudności.

— Więc niech zostanie tam, gdzie jest, dopóki nie damy jej znać, że niebezpieczeństwo minęło. Na razie proszę się w niczym nie sprzeciwiać profesorowi. Groźny staje się dopiero w gniewie.

— A oto i on! - Bennett aż westchnął z podniecenia.

Poprzez gałęzie ujrzeliśmy wysoką, wyprostowaną postać profesora, który wynurzył się z drzwi sieni i rozglądał się wkoło. Stał lekko pochylony, kołysał podanymi do przodu ramionami, a głowa chwiała mu się z boku na bok. Bennett, raz ostatni skinąwszy nam ręką, wysunął się z za drzew i widzieliśmy jeszcze, jak podszedł do swojego szefa i razem weszli do domu, żywo, nawet w podnieceniu o czymś dyskutując.

- Zdaje się, że starszy pan się połapał, o co chodzi – mówił Holmes, gdy wracaliśmy do zajazdu. - Z tego co zdołałem w tak krótkiej rozmowie spostrzec, ma niesłychanie jasny i logiczny umysł. Zapalny, niewątpliwie, ale ze swojego punktu widzenia miał prawo się rozgniewać, gdy zobaczył, że domownicy nasadzają mu detektywa na kark. Obawiam się, że naszego przyjaciela Bennetta, czekają ciężkie chwile.

Po drodze Holmes wstąpił do urzędu pocztowego i wysłał depeszę. Odpowiedź nadeszła jeszcze tego wieczoru. Podał mi ją przez stół.

*Byłem na commercial road widziałem doraka miły facet w starszym wieku czech ma sklep z różnymi towarami mercer.*

— Mercera nie znasz - wyjaśnił Holmes. - Używam go do różnych szablonowych spraw. Zależało mi na tym, aby się dowiedzieć coś o człowieku, z którym profesor koresponduje w tajemnicy. Jego narodowość łączy mi się z wyjazdem profesora do Pragi.

— No nareszcie coś się z czymś łączy - westchnąłem. - Bo jak na razie mieliśmy do czynienia z długą serią niezrozumiałych wydarzeń bez żadnego związku ze sobą. Na przykład, co wspólnego może mieć zfy wilczur z wyjazdem do Czech, a jedno i drugie z człowiekiem, który na czworakach skrada się w nocy korytarzem? A już te twoje daty to największa mistyfikacja ze wszystkich.

Holmes uśmiechnął się i zatarł ręce. Dodam, że siedzieliśmy w starej bawialni równie starego zajazdu, a butelka słynnego wina, o którym wspominał Holmes, stała na stole pomiędzy nami.

- A więc zacznijmy od dat - rozpoczął Holmes zetknąwszy dłonie koniuszkami palców i mówiąc tak, jakby przemawiał do uczniów w szkole. - Z pedantycznych zapisów w notesie Bennetta wynika, że cała historia rozpoczęła się 2 lipca i że od tego czasu profesor miewał te swoje napady w regularnych, dziewięciodniowych odstępach. O ile pamiętam, był tylko jeden wyjątek od tej reguły. Tak więc ostatni napad wydarzył się w piątek 3 września, co też zgadza się z regułą, jak i zgadza się poprzedzający go atak z dnia 26 sierpnia. W tym nie ma żadnej przypadkowości.

Musiałem mu przyznać rację.

- Postawmy więc prowizoryczną teorię, że profesor co dziewięć dni zażywa jakiś środek, który wprawdzie po pewnym czasie przestaje działać, pozostawia jednak trwałe skutki. Rozdrażnia i tak już impetyczne usposobienie profesora. Przywykł do – tego środka w Pradze, a teraz otrzymuje go za pośrednictwem owego Czecha z Londynu.

- Dobrze, ale pies, twarz w szybie i człowiek na czworakach w korytarzu?

- Czekaj, na razie zrobiliśmy dopiero początek. Nie spodziewam się żadnych nowych odkryć przed najbliższym wtorkiem. Tymczasem możemy jedynie utrzymywać kontakt z miłym Bennettem i rozkoszować się rozrywkami, jakich nam dostarczy to urocze miasto.

Nazajutrz rano wpadł do nas Bennett z najnowszymi wiadomościami. Zgodnie z przypuszczeniem Holmesa, nie miał on teraz łatwego życia. Profesor wprawdzie nie zarzucał mu wprost sprowadzenia nas, ale traktował go niezwykle surowo, odzywał się szorstko i widać było, że czuł się mocno urażony. Tego dnia był sobą, wygłosił jeden ze swoich porywających wykładów przed pełną salą.

— Pomijając te dziwaczne napady - mówił Bennett - ma teraz więcej energii i żywotności w sobie niż kiedykolwiek; jego umysł nigdy jeszcze nie pracował tak jasno. A jednak - to nie on... nie ten sam człowiek, którego znałem.

— Sądzę, że przynajmniej przez tydzień - nie potrzebuje się pan niczego obawiać - uspokoił się Holmes. - Ja jestem bardzo zajęty, a doktor Watson ma swoich pacjentów, którzy na niego czekają. Umówmy się więc, że się spotkamy tutaj o tej samej godzinie w najbliższy wtorek i przyznam, że szczerze się zdziwię, jeżeli wtedy, przed ponownym rozstaniem, nie wyjaśnimy zagadki, a kto wie, czy nawet nie położymy kresu pańskim niepokojom. Gdyby zaś coś zaszło, niech pan zaraz telegrafuje.

Przez parę dni nie miałem żadnych wiadomości od mojego przyjaciela, ale w poniedziałek wieczorem przypomniał mi kartką, że mamy się spotkać w pociągu nazajutrz rano. Z tego, co mówił w drodze do Camford, dowiedziałem się, że wszystko tam było w porządku, żaden wypadek nie zakłócił spokoju w domu profesora, a on sam zachowywał się bez zarzutu. Potwierdził to Bennett, kiedy wieczorem wpadł do naszej dawnej kwatery w starym zajeździe.

- Dziś profesor otrzymał list od swego londyńskiego korespondenta. Równocześnie nadeszła też od niego paczuszka. Na każdej z tych przesyłek był krzyż pod znaczkami: ostrzeżenie, że nie wolno ich tykać. To by było wszystko.

- Zupełnie wystarczy jak na razie - posępnym tonem odrzekł Holmes. - Sądzę, panie Bennett, że dziś w nocy powinniśmy dojść do jakichś konkretnych wniosków. Jeżeli słusznie wydedukowałem, to będziemy mieli sposobność sprawę wyjaśnić do końca. Ale w tym celu nie wolno spuścić profesora z oka. Dlatego radziłbym nie kłaść się spać i czatować. Jeżeli usłyszysz pan, że ktoś przesunął się koło pańskich drzwi, niech go pan nie płoszy, tylko cichcem i niepostrzeżenie pójdzie za nim. Obaj z doktorem Watsonem będziemy w pobliżu. Alą ale, gdzie jest klucz od tego drewnianego pudełka?

— Profesor nosi go przy łańcuszku od zegarka.

— Sądzę, że całą uwagę powinniśmy skupić na tym pudełku. Cóż, biorąc pod uwagę nawet najgorsze, zameczek nie jest chyba mocny. Czy ma pan kogoś dość zręcznego i silnego w pobliżu?

— Jest stangret, Macphail.

— Gdzie sypia?

— Nad stajnią...

— Kto wie, czy nie będzie nam potrzebny. No, na razie to by było wszystko; zobaczymy, jak się wypadki rozwiną. Do widzenia... myślę jednak, że spotkamy się jeszcze przed rankiem.

Dochodziła północ, kiedy zajęliśmy nasz punkt obserwacyjny w krzakach na wprost wejścia do sieni domu profesora. Noc była piękna, choć tak chłodna, że z przyjemnością otulaliśmy się ciepłymi paltami. Dął lekki wietrzyk, po niebie sunęły chmury, od czasu do czasu przysłaniając sierp księżyca. Byłyby to przykre czaty, gdyby nie podniecające oczekiwanie, które nas podtrzymywało na duchu, oraz głęboka pewność Holmesa, że docieramy nareszcie do końca absorbującej nas od pewnego czasu, przedziwnej w swym

rozwoju tajemnicy.

- Jeżeli sprawdzi się dziewięciodniowa cykliczność, gotowiśmy przyłapać dziś profesora na jednym z tych paskudnych ataków

- rzekł Holmes. - To, że te dziwne symptomy zaczęły się pojawiać po bytności w Pradze, że w sekrecie koresponduje z pewnym czeskim kupcem w Londynie, który zapewne jest agentem jakiejś osoby z Pragi, i że otrzymał od niego dziś paczkę, wskazuje na słuszność mojego przypuszczenia. Ciągłe jeszcze nie wiemy, co to za preparat i po co go profesor zażywa, ale nie ulega już wątpliwości, że go przysyłają z Pragi. Bierze go, jak każe instrukcja, co dziewięć dni, i to właśnie zwróciło moją uwagę. Ale najciekawsze są zmiany, które ten lek wywołuje. Przyjrzałeś się knykciom profesora?

Musiałem przyznać, że nie.

- Tak zgrubiałe i zrogowaciałe, jakich jeszcze u nikogo nie spotkałem. Zawsze przede wszystkim spójrz na ręce. Potem na mankiety, spodnie na kolanach i na buciki. Bardzo interesujące knykcie. Można je sobie wytłumaczyć jedynie postępem, jaki obserwujemy... - Zamilkł i nagle uderzył się dłonią w czoło.

- Och, mój przyjacielu, co za dureń ze mnie! Niewiarygodne, a jednak chyba prawdziwe. Wszystko na to wskazuje. Jakże mogłem nie zauważyć tych powiązań? Knykcie... jak mogłem je przegapić? I pies, i bluszcz! Doprawdy, czas abym się już wycofał i zagrzebał na tej małej, wymarzonej farmie. Spójrz, oto gest! A więc przekonamy się na własne oczy!

Drzwi sieni uchyliły się z wolna i na tle lampy palącej się w głębi ujrzeliśmy postać profesora Presbury. Był w szlafroku. Stał wyprostowany z podanymi w przód obwisłymi ramionami, taki, jakim widzieliśmy go ostatnim razem.

Niebawem wszedł w aleję i dziwna zmiana w nim nastąpiła. Opadł na czworaki i począł biec na rękach i stopach, podskakując co chwila jakby w przyływie rozpierającej go

energii. Przebiegł wzdłuż domu i skrył się za rogiem. W tej samej chwili Bennett wynurzył się z sieni i pobiegł za nim na palcach.

- Biegnijmy, biegnijmy - szepnął mi Holmes i starając się biec jak najciszej, przedarliśmy się przez krzaki do miejsca, z którego można było obserwować tamtą stronę domu skąpaną w blasku księżyca. Wyraźnie widzieliśmy profesora na czworakach przed murem zarośniętym bluszczem. W naszych oczach zaczął się nagle piąć po nim niebywale zręcznie. Pewny chwytu rąk i czepliwości własnych stóp piął się coraz wyżej, z gałęzi na gałąź bez celu, najwidoczniej radując się tylko własną siłą i zwinnością. Z rozwianymi połami szlafroka, przyczepiony do ściany swojego domu, przypominał olbrzymiego nietoperza: ciemna plama na jasnym w księżycowej poświacie murze. Wreszcie znudziła mu się ta zabawa, toteż ześliznąwszy się po bluszczu, opadł na czworaki i ruszył ku stajni w dawny dziwny sposób. Pies wybiegł z budy i warczał znacznie groźniej niż zwykle, teraz warczał na widok swego pana. Rozżarty ze zjeżoną sierścią, szarpał się na łańcuchu. Profesor przykucnął tuż przed nim, ale w bezpiecznej odległości, i zaczął go drażnić. Zgarniał garściami żwir z alei i ciskał mu w pysk, dźgał kijem podniesionym z ziemi, wymachiwał rękami o parę cali od rozdziawionej paszczy, słowem, wszelkimi sposobami starał się jak najbardziej rozzłościć i tak już rozwścieczone zwierzę. Nie przypominam sobie, abym w jakiegokolwiek z naszych licznych przygód widział coś dziwniejszego niż ta bezmyślna, a jednak budząca respekt istota, która siedząc w kucki, niby jakaś olbrzymia ropucha, wszelkimi sposobami, z wyrachowanym okrucieństwem drażniła oszalałego z gniewu i wydzierającego się ku niej psa.

Aż nagle stało się! To nie łańcuch pękł, tylko przy jakimś ruchu psu zsunęła się za luźna obroża, przewidziana na gruby kark nowofundlandczyka. Usłyszeliśmy szczęk opadającego metalu i w następnej chwili pies i człowiek tarzali się po ziemi, pierwszy rycząc z gniewu, drugi dziwnie cienko

piszcząc z przerażenia. Jeszcze sekundę i byłoby po profesorze. Rozszalałe zwierzę chwyciło go za gardło i głęboko wbiło zęby w ciało. Omdlał, nim zdołaliśmy dobiec i odpędzić psa. Nie ustąpiłby tak łatwo, gdyby nie poznał Bennetta i nie usłuchał jego rozkazu. Stangret zbudził się na hałas. Zeszedł zaspany z pokoju nad stajnię.

- Wcale się nie dziwię, że się tak stało - rzekł kiwając głową. - Widziałem, jak go przedtem już drażnił. Czulem, że się tak skończy.

Przywiązaliśmy psa na nowo i zanieśliśmy profesora do mieszkania, gdzie z pomocą Bennetta, który ukończył medycynę, nałożyłem pierwszy opatrunek na rozdarte gardło. Ostre kły o mało nie przecięły arterii i pacjent krwawił obficie. Ale w pół godziny zażegnaliśmy niebezpieczeństwo. Zastrzyknąłem profesorowi morfinę i zasnął. Wtedy, dopiero wtedy mogliśmy nareszcie wymienić spojrzenia i zrobić jakiś przegląd wydarzeń.

— Sądzę, że powinien go zbadać jakiś słynny specjalista - powiedziałem.

— Na Boga, nie! - wykrzyknął Bennett. - Na razie tylko domownicy wiedzą o tym, co się stało. A my nie puścimy pary z ust, lecz niech jakaś wiadomość wydostanie się poza ściany domu, wszyscy zaczną o tym gadać. Nie zapominajcie panowie o stanowisku profesora na Uniwersytecie, o jego europejskiej sławie, no i o córce!

— Słusznie - rzekł Holmes. Sądzę, że uda nam się zachować tajemnicę i teraz, kiedy mamy już swobodę działania, zapobiec powtarzaniu się podobnych wypadków. Panie Bennett, niech pan odczepi kluczyk od łańcuszka. Macphail posiedzi przy chorym i da nam znać, gdyby zaszło coś nowego. Zobaczymy, co jest w tej tajemniczej skrzyneczce profesora.

Nie było tam wiele rzeczy, ale wystarczyło nam to, co było: pusta fiolka, inna ledwie napoczęta, strzykawka i kilka listów naskrobanych małym wyrobionym, obcym pismem. Po znaczkach i stemplach poznaliśmy, że to właśnie te, których nie



wolno było otwierać sekretarzowi. Wszystkie nosiły nagłówek *Commercial Road* i podpis *A. Dorak*. Przeważnie były to zawiadomienia o wysyłce nowej fiołki albo potwierdzenie odbioru zapłaty. Znaleźliśmy jednak jedną kopertę zaadresowaną bardziej wprawną ręką. Miała na sobie austriacką markę i stempel pocztowy Pragi.

- Oto czego szukamy! - krzyknął Holmes, wyjmując list z koperty.

*Wielce Szanowny Panie Kolego - czytaliśmy. - Po Pańskiej wizycie zastanowiłem się poważniej nad poruszoną przez Pana sprawą i choć w tym konkretnym przypadku istnieją ważne powody dla zastosowania kuracji, doradzałbym jednak ostrożność, bo jak wynika z doświadczeń, moja metoda nie jest jeszcze wolna od pewnego rodzaju niebezpieczeństwa.*

*Możliwe, że serum małp bardziej człekokształtnych dałoby lepsze wyniki. Używałem dotychczas, jak już Panu wyjaśniłem, czarnopyskiego langura, bo ten gatunek miałem pod ręką. Langur lubi się wspinać i porusza się na czworakach, podczas gdy małpy człekokształtne chodzą wyprostowane i pod każdym względem są nam bliższe.*

*Usilnie Pana proszę o ścisłe zachowanie tajemnicy, aby wyniki nie stały się przedwcześnie wiadome. W Anglii mam jeszcze jednego klienta, a Dorak jest moim agentem dla obu Panów.*

*Będę zobowiązany za nadsyłanie mi cotygodniowych sprawozdań i łączę wyrazy prawdziwego szacunku.*

*H. Lowenstein*

Lowenstein! To nazwisko natychmiast przypomniało mi, że w jakiejś gazecie czytałem małą notatkę o pewnym pseudo-uczonym, który rzekomo wynalazł środek odmładzający i eliksir życia. Lowenstein z Pragi! Lowenstein z jego cudownym, przysparzającym sił serum, bojkotowany przez swoich kolegów za to, że nie chciał zdradzić, skąd je bierze. W paru słowach podzieliłem się z moimi towarzyszami tym, co wiedziałem. Bennett zdjął podręcznik zoologii z półki.

— „Langur” - czytał - „wielka czarnopyska małpa ze stoków Himalajów, największa i najbardziej człekokształtna ze wszystkich czworonożnych małp...” I tu następują dalsze szczegóły - dodał. - No, panie Holmes, dzięki panu wykryliśmy źródło zła.

— Prawdziwego źródła - odparł Holmes - należy oczywiście szukać w tej niewczesnej miłości, która zasugerowała profesorowi myśl, że swoje marzenie może ziścić tylko wtedy, gdy się odmłodzi. Kiedy ktoś usiłuje wynieść się ponad prawa natury, najczęściej pada ich ofiarą. Najlepszy z ludzi gotów stać się zwierzęciem, gdy zboczy z prostej drogi przeznaczenia. - Przez chwilę w milczeniu przyglądał się jasnemu płynowi w fiołce. - Gdybym napisał do tego człowieka,

że oskarżę go o zbrodnię, bo rozpowszechnia trucizny, mielibyśmy pewnie spokój. Ale to znajdzie naśladowców. Inni mogą wpaść na lepsze sposoby. W tym tkwi wielkie niebezpieczeństwo... groźba dla ludzkości. Zważ, Watsonie, że to co pospolite, bezmyślne, przyziemne - przedłuży swój marny żywot, natomiast to co wzniosłe i szlachetne - pójdzie za głosem czegoś wyższego. Przeżyją najmniej warci. Jakimż cuchnącym śmietnikiem stanie się nasz świat? - Ale nagle wizjoner z fotela znikł, a zerwał się dawny Holmes, człowiek czynu. - Myślę, panie Bennett, że nasza rola skończona. Są wydarzenia, które nie mieszczą się w przyjętych schematach. Pies oczywiście prędzej dostrzegł zmianę niż pan. Węch mu dopomógł. Roy rzucał się na małpę, nie na profesora, tak jak małpa, nie profesor, drażniła Roya. Wdrapywanie się robiło wielką przyjemność małpie, toteż sądzę, że tylko chęć zabawy zawiodła ją pod okno panny Presbury. Watsonie, mamy rano pociąg do Londynu, lecz sądzę, że dobrze byłoby przed odjazdem napić się herbaty pod „Warcabami”.

*Przeł. Tadeusz Evert*

## WYBLAKŁE OBLICZE

Mój przyjaciel, Watson, nie miał wprawdzie zbyt dużo pomysłów, ale za to potrafił się przy nich upierać. Od dawna już suszył mi głowę, żebym opisał którąś z moich przygód. Być może, sam napytałem sobie tej biedy, bo często zarzucałem mu, że jego relacje są powierzchowne, że stosuje się do tanich gustów publiczności, zamiast ściśle trzymać się faktów i nic więcej. „Spróbuj więc sam!” - odpowiedział mi i muszę przyznać, że wzięwszy pióro do ręki zacząłem się przekonywać, iż należy tak pisać, aby zainteresować czytelnika. To, co teraz opowiem, niewątpliwie rozbudzi ciekawość, ponieważ należy do najdziwniejszych moich spraw, choć tak się złożyło, że me figuruje ona w notatkach Watsona. Skoro już mowa o moim starym przyjacielu i biografii, to pozwolę sobie przy okazji zauważyć, że jeżeli w moich różnych przygodach w ogóle obarczałem się towarzyszem, to nie przez kaprys czy sentyment dla Watsona, lecz dla wielkich jego zalet. Dla tych zalet, które sam przez skromność przemilcza, wynosząc jednocześnie pod niebiosa moje. Sojusznik, który wszelkimi siłami stara się narzucić własny pogląd i przeforsować swoją linię postępowania, zawsze jest niebezpiecznym sprzymierzeńcem, natomiast ktoś, kogo stale zaskakuje rozwój wypadków i dla kogo przyszłość jest zamkniętą księgą, jest naprawdę idealnym pomocnikiem.

Jak widzę z moich notatek, James M. Dodd, barczysty, krzepki, ogorzały, prosty jak świeca Brytyjczyk, przyszedł do mnie w styczniu 1903 roku, zaraz po zakończeniu wojny z Burami. Poczciwy druh, Watson, opuścił mnie właśnie, bo się ożenił. Był to jedyny samolubny czyn, który mógłbym mu zarzucić. Zostałem więc sam.

Mam zwyczaj siadania tyłem do okna, a klientów sadzam zawsze naprzeciwko siebie, tak aby światło padało na nich. Dodd jakby nie wiedział, od czego zacząć. Nie

próbowałem mu pomóc, bo przez to milczenie zyskiwałem na czasie i mogłem czynić pewne obserwacje. Zdawało mi się, że mądrzej zrobią dając mu od razu odczuć moją przewagę i dlatego nie ukrywałem pewnych wniosków, które wyciągnąłem z tych obserwacji.

- Widzę, że pan przyjeżdża z Afryki Południowej - rzekłem.

.- Tak jest, proszę pana - odparł z lekkim zdziwieniem.

— Z imperialnej kawalerii ochotniczej?

— Tak jest.

— Z pewnością służył pan w korpusie Middlesex, co?

- Tak. Prawdę jest chyba jasnowidzem?

Uśmiechnąłem się na widok jego zdumionej miny.

— Kiedy przychodzi do mnie ktoś o bardzo męskim wyglądzie, z twarzą tak opaloną, jak nigdy nie zdołałoby opalić jej nasze angielskie słońce, w dodatku noszący chustkę w rękawie zamiast w kieszeni, łatwo mi odgadnąć, kim jest ten mój gość. Brodę przystrzyga pan krótko, a zatem nie jest pan zaciężnym żołnierzem. Postawa zdradza kawalerzystę. A gdy chodzi o Middlesex, to z pańskiego biletu wizytowego wynika, że jest pan maklerem giełdowym z Throgmorton Street. Do jakiegoż więc pułku miałby pan wstąpić?

— Pan wszystko widzi!

— Tak jak i pan, tylko że ja wyćwiczyłem się w patrzeniu. Jednak chyba nie po to odwiedził mnie pan, abyśmy dyskutowali o sztuce obserwacji. Cóż się stało w Tuxbury Old Park?

— Panie Holmes!...

— Drogi, panie, toć to żadna sztuka. Pański list nosi ten nagłówek, a skoro prosił pan, żebym pana przyjął jak najprędzej, łatwo było odgadnąć, iż niespodziewanie zaszło coś bardzo pilnego.

— Tak, rzeczywiście. Ale list pisałem po południu i od tego czasu wydarzyło się już niejedno. Gdyby pułkownik Emsworth nie wywalił mnie za drzwi...

— Wywalił pana!

— Ano właśnie, ni mniej, ni więcej. Pułkownik Emsworth to twarda sztuka. Za jego czasów nie było w wojsku większego służbisty, a przecież wtedy też się z nikim nie cackano. Nie darowałbym tego pułkownikowi, gdyby nie chodziło o Godfreya.

Zapaliłem fajkę i odchyliłem się w fotelu.

- Niechże mi pan wszystko opowie od początku.

Mój klient uśmiechnął się trochę złośliwie.

- Zdawało mi się już, że pan wszystko wie bez opowiadania - rzekł. - Ale powiem panu, co zaszło, i mam nadzieję, że wyjaśni mi pan, o co tu chodzi. Przez całą noc łamałem sobie nad tym głowę, ale im więcej myślę, tym bardziej wszystko wydaje mi się niewiarygodne.

Kiedy w styczniu 1901 roku - akurat dwa lata temu - wstąpiłem do wojska, młody Godfrey Emsworth wstąpił do tego samego szwadronu. Był jedynym synem pułkownika Emswortha - tego, który dostał Krzyż Victorii za kampanię krymską - a w jego żyłach płynęła wojownicza krew. Nic więc dziwnego, że zgłosił się na ochotnika. W całym pułku nie miał równego sobie zucha. Zaprzyjaźniliśmy się. Łączyła nas ta przyjaźń, która łączy ludzi żyjących tym samym życiem i mających jednakże smutki i radości. Był moim najbliższym druhem, a w wojsku - to wiele mówi. Przez rok, który nam upłynął na krwawych walkach, bez zmrużenia oka znosiliśmy wszystkie trudy i znoje. Potem zaś, pod Diamond Hill, za Pretorią, Godfreya trafiła kula ze strzelby na słonie. Napisał do mnie ze szpitala w Cape Town, a później z Southampton. I od tego czasu ani słówka... Od pół roku z górą mój najlepszy przyjaciel nie odezwał się do mnie ani słówkiem.

Po skończonej wojnie, kiedy wróciliśmy do domu, napisałem do pułkownika Emswortha z zapytaniem o Godfreya. Nie odpowiedział. Po jakimś czasie napisałem znowu. Tym razem odpowiedział, krótko i nieuprzejmie: Godfrey udał się w podróż naokoło świata i wróci nie wcześniej niż za rok. I na tym

koniec.

Ale to mnie nie zadowoliło. Wydało mi się diabelnie nienaturalne. Godfrey był porządnym chłopem i nie opuściłby przyjaciela bez pożegnania. To nie było do niego podobne. Potem znów dowiedziałem się, że miał odziedziczyć kupę pieniędzy, i że nie zawsze zgadzał się z ojcem, który bywał despotyczny, a Godfrey znowu miał za dużo charakteru, żeby to znosić. Nie, nie byłem zadowolony z tego wyjaśnienia i postanowiłem dojść prawdy. Ale wpierw musiałem uregulować moje własne interesy, porządnie zabagnione dwuletnią nieobecnością; toteż dopiero w tym tygodniu mogłem się zabrać do sprawy Godfreya. Skoro jednak już raz do tego się wziąłem, poniecham wszystkiego, a tę rzecz wyjaśnię.

James M. Dodd najwidoczniej należał do ludzi, których lepiej zaliczać do przyjaciół niż do wrogów. Jego niebieskie oczy spoglądały surowo, a kwadratowa szczęka zaciskała się mocno przy każdym słowie.

— No i co pan zrobił? - zapytałem”

— Przede wszystkim postanowiłem pojechać do jego domu, do Tuxbury Old Park niedaleko Bedford, żeby samemu zasięgnąć języka. Napisałem do matki Godfreya - zirytowała mnie ta korespondencja z jego grubiańskim ojcem - i zaatakowałem frontalnie: Godfrey był moim najlepszym przyjacielem i mógłbym jej sporo opowiedzieć o naszych wspólnych przeżyciach. Będę przejazdem w pobliżu, więc gdyby... i tak dalej. Odpowiedziała mi bardzo uprzejmie i nawet zaproponowała nocleg w ich domu. Udałem się tam w poniedziałek.

Do Tuxbury Old Park niełatwo się dostać; pięć mil – skąd nie liczyć. Na stacji żadnej bryczki, musiałem więc maszerować piechotą z walizką w ręku. Na miejsce doszedłem już o zmroku. To obszerny, jakby zabłąkany dom w rozległym parku. Złożyły się na niego chyba wszystkie style, począwszy od półdrewnianej, elżbietańskiej podbudowy, a na wiktoriańskich portykach skończywszy. Wewnątrz - same

boazerie, tapety i stare, pociemniałe obrazy. Słowem dom tajemnic i cieni. Był tam też lokaj, Ralf, chyba tak stary jak ów dom, oraz jego żona, bodaj jeszcze starsza. Nianczyła Godfrey'a, który opowiadał o niej niemal z taką czułością jak o matce, nic więc dziwnego, że wzbudziła we mnie sympatię mimo niepociągającego wyglądu. Matka Godfrey'a też mi się podobała: miła, drobniutka jak myszka i siwa staruszcza. Tylko pułkownik wcale mi nie przypadł do gustu.

Starliśmy się od razu, na samym początku i wróciłbym na stację, gdybym nie czuł, że o to mu właśnie chodziło. Wprowadzono mnie wprost do jego gabinetu: siedział przy biurku zawalonym papierami, wielki, przygarbiony, ogorzały i z siwą, zmierzwioną brodą. Jego pocięty czerwonymi żyłkami nos wystawał niby dziób sępa, a dwoje pałających, szarych oczu - patrzyło ku mnie spod krzaczastych brwi. Zrozumiałem teraz, czemu Godfrey rzadko kiedy mówił o swoim ojcu.

- Chciałbym, mój panie - rzekł skrzekliwie - dowiedzieć się prawdziwego celu pańskiej wizyty.

Odpowiedziałem, że wyjaśniłem to w liście do jego żony.

— Tak, tak, pisał pan, że znał pan Godfrey'a w Afryce. Ale skąd możemy wiedzieć, czy to prawda.

— Mam jego listy w kieszeni.

— Proszę mi je łaskawie pokazać.

Spojrzał na listy, które mu - podałem i odrzucił mi oba.

— No więc? - zapytał.

— Bardzo lubiłem pańskiego syna. Łączy nas wiele wspomnień i więzów. Jasne więc, że zdziwiło mnie jego nagłe milczenie i że chciałem wiedzieć, co się z nim dzieje.

— Przypominam sobie, że korespondowaliśmy w tej sprawie. Zdaje się, że napisałem panu, co robi. Udał się w podróż dookoła świata. Wojna w Afryce bardzo nadszarpięła jego zdrowie i oboje z żoną byliśmy zdania, że przydałby mu się kompletny wypoczynek i jakaś zmiana. Może pan zechce przekazać tę wiadomość wszystkim przyjaciołom Godfrey'a,



którzy mogliby się interesować jego losem.

- Oczywiście, że przekażę - odparłem. - Ale może pan poda mi łaskawie nazwę linii okrętowej i parowca, na którym Godfrey podróżuje, a również i datę odjazdu. Myślą, że wtedy będę mógł nawiązać z nim kontakt.

Moje żądanie jakby zaniepokoiło i rozgniewało pułkownika. Niecierpliwie zaczął bębnić palcami po biurku, a i mocno zmarszczył gęste, krzaczaste brwi. Spojrzał wreszcie na mnie wzrokiem gracza, który widzi, że jego przeciwnik zrobił niebezpieczny ruch na szachownicy i decyduje się go odparować.

—Wiele ludzi, panie Dodd - rzekł - czułoby się dotkniętymi pańskim naleganiem i przyszłoby nawet do wniosku, że ten upór graniczy z impertynencją.

—Proszę przypisać go mojemu przywiązaniu do pańskiego syna, panie pułkowniku.

—Tak jest. I z tej racji zniosłem już dość wiele. Muszę jednak prosić pana o poniechanie dalszych pytań w tej materii. Każda rodzina ma jakieś własne sekrety i własne motywy, którymi się kieruje i które nie zawsze może zdradzić obcemu, nawet gdy działa on w najszlachetniejszych intencjach. Moja żona pragnęłaby bardzo dowiedzieć się czegoś z przeżyć Godfrey'a w Afryce, a pan może zaspokoić tę jej ciekawość. Proszę jednak, aby pan się nie - interesował ani terażniejszością, ani przyszłością mojego syna. Takie dopytywania się, do niczego nie doprowadzają, a stawiają nas tylko w drażliwej sytuacji.

—Tak więc, panie Holmes, znalazłem się przed wysokim murem. Ani rusz się przez niego przebić. Mogłem tylko pogodzić się z rzeczywistością, przysięgając sobie w duchu, że nie spocznę, dopóki nie wyjaśnię, co się stało z moim przyjacielem. Wieczór był bardzo przykry. Spokojnie zjedliśmy kolację we trójkę w ponurej, zszarzałej z wiekiem starej jadalni. Pani Emsworth zasypywała mnie pytaniami o syna, ale pułkownik siedział posepny i przybity. Tak mnie to znużyło, że

przy pierwszej okazji powiedziałem dobranoc i wycofałem się do swojej sypialni. Był to duży, pusty pokój na parterze, równie ponury jak reszta domu, ale po roku sypiania na stepie, panie Holmes, człowiek nie jest już taki wybredny, gdy chodzi o kwatere. Odśloniłem okna i wyrząłem na ogród. Noc była piękna, a księżyc świecił jasno. Potem siadłem przy ogniu trzaskającym na kominku, obok lampy stojącej na stole i próbowałem czytać, aby rozproszyć dręczące mnie myśli. Przerwał mi jednak Ralf, stary sługa, który przyniósł nowy zapas węgla.

— Bałem się, że może panu zabraknąć go w nocy. Zimno jest, a te pokoje są chłodne.

Zwlekał z wyjściem i kiedy się obejrzałem, wciąż jeszcze stał, przyglądając mi się ze smętnym wyrazem na swej pomarszczonej twarzy.

- Bardzo pana przepraszam, ale mimo woli słyszałem, co pan opowiadał przy kolacji o paniczu Godfreyu. Nie wiem, czy panu wiadomo, że moja żona wyniańczyła panicza, mogę zatem o sobie powiedzieć, że jestem jakby jego przyrodnim ojcem. Nic więc dziwnego, że mnie to zaciekawiło. Mówił pan, że panicz sprawował się dzielnie?

- Był najdzielniejszym żołnierzem w całym pułku, Gdyby mnie jednego razu nie wyciągnął spod ognia Burów, nie siedziałbym teraz w tym pokoju.

Stary lokaj zatarł wychudłe ręce.

- Tak, tak, proszę pana, w tym jest cały panicz Godfrey. Zawsze był odważny. Nie ma takiego drzewa w parku, na które by nie wlaźł. Niczego się nie uląkł. O tak, proszę pana, to był dobry chłopiec. To był dzielny mężczyzna.

Zerwałem się na równe nogi.

- Zaraz, zaraz! - krzyknąłem.. - Jak to „był”? Czyżby umarł? Co to wszystko znaczy? Co się stało z Godfreyem?

I schwyciłem starca za ramiona, ale mi się wymknął z uścisku.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Niech pan zapyta

starszego pana o panicza. On wie. Ja się w to nie mogę wtrącać.

Chciał wyjść z pokoju, przytrzymałem go jednak.

- Proszę posłuchać - powiedziałem z naciskiem. - Muszę dostać odpowiedź na jedno pytanie, choćbyśmy tu mieli całą noc spędzić we dwóch. Czy Godfrey nie żyje?

Unikał mojego wzroku. Był jakby zahipnotyzowany. Z trudem zdobył się na odpowiedź: straszną i nieoczekiwaną.

- Lepiej by było, żeby nie żył! - wykrzyknął i wyrwawszy mi się wybiegł z pokoju..

Rozumie pan chyba, że nie w wesołym nastroju wróciłem na fotel przy kominku. Słowa starego sługi miały dla mnie tylko jedno znaczenie. Najwidoczniej mój biedny przyjaciel uwikłał się w jakieś przestępstwo, albo co najmniej w jakąś hańbiącą dla rodziny aferę finansową. A ten surowy starzec cichcem wysłał syna gdzieś z dala od świata, by ukryć skandal. Godfrey był lekkomyślny. Łatwo ulegał wpływom otoczenia. Niewątpliwie dostał się w złe towarzystwo, które zrujnowało mu życie. Jeżeli tak, to sprawa była przykra, ale nawet i wtedy - myślałem - powinienem go odszukać i zobaczyć, czy nie mogę mu jakoś pomóc. Medytowałem nad tym, gdy uniósłszy nagle wzrok, ujrzałem Godfreya Emswortha przed sobą.

Dodd zamilkł jakby pod wpływem silnego wzruszenia.

— Niech pan mówi dalej - powiedziałem. - Ta historia wygląda niezwykle ciekawie.

— A więc stał za oknem, panie Holmes. Przycisnął twarz do szyby. Powiedziałem już panu, że odsunąłem kotary, by wyjrzeć na dwór. Zostawiłem je rozsunięte. Godfrey stał w tym otworze niby w ramie. Okno sięgało aż do posadzki, widziałem więc całą postać, lecz moją uwagę przykuła twarz. Godfrey był śmiertelnie blady... pierwszy **raz** w życiu widziałem kogoś równie bladego. Duch chyba tak wygląda, **nie** lepiej - przyszło rni na myśl, ale nasze spojrzenia skrzyżowały się **i** zrozumiałem, że mam przed sobą żywego człowieka. A kiedy zobaczył, że patrzę na niego, odskoczył i znikł w

ciemnościach.

W jego wyglądzie, panie Holmes, było coś wstrząsającego. Nie chodzi tylko o twarz odcinającą się od mroku niby kawał kredy. Chodzi o coś znacznie subtelniejszego, jakąś tajemniczość, nieśmiałość... coś zupełnie obcego temu zawsze szczeremu i męskiemu chłopcu, którego znałem. Ten widok przeraził mnie nie na żarty. Ale gdy się przez rok czy dwa bawiło w wojenkę z braćmi Burami, potrafi się trzymać nerwy na wodzy i atakować szybko. Godfrey nie zdążył jeszcze zniknąć mi z oczu, gdy już stałem przed oknem. Zamek przy nim był trochę wymyślny, toteż minęło parę minut, nim się z nim uporałem. Hycnąłem przez okno i pobiegłem aleją, jak mi się zdawało - w ślad za Godfreyem.

Aleja była długa, a noc ciemna. Niemniej jednak zdawało mi się, że coś się tam rusza przede mną. Biegiem więc i wołałem Godfreya, niestety daremnie. Kiedy zaś dobiegłem do końca alei, znalazłem się przed paroma odnogami, wiodącymi do różnych zabudowań. Przystanąłem, żeby się namyślić, i wtedy usłyszałem trzask zamykanych drzwi. Ale nie za mną, we dworze, lecz gdzieś przede mną, w ciemności. To do reszty przekonało mnie, że nie padłem ofiarą żadnego przywidzenia. Godfrey biegł przede mną i teraz zatrzaskał drzwi. Byłbym przysiągł.

Cóż mogłem więcej zrobić? Noc spędziłem bezsennie, zastanawiając się nad tym, co widziałem i szukając rozwiązania zagadki. Nazajutrz pułkownik był jakoś przystępniejszy, a gdy jego małżonka wspomniała, że w okolicy są rzeczy warte widzenia, skorzystałem z tego i zapytałem, czy nie zrobię zbytniego kłopotu, jeżeli zostanę na jeszcze jedną noc. Wraz z mrukliwą zgodą gospodarza zyskałem cały dzień na dalsze poszukiwania. Byłem przekonany, że Godfrey jest gdzieś ukryty w pobliżu, musiałem więc wyjaśnić gdzie i po co.

Dwór był tak wielki i rozległy, że cały pułk zdołałby się w nim ukryć bezpiecznie. Na tym terenie trudno by mi było odszukać Godfreya. Ale drzwi, które trzasnęły w parku przede

mną, na pewno nie wiodły do jakiejś części dworu. Należało więc zbadać park i zobaczyć, do czego to mnie doprowadzi. Łatwo mi z tym poszło, bo starsi państwo mieli swoje sprawy i pozostawili mnie samemu sobie.

W parku było sporo budynków gospodarczych, ale przy jego końcu stał większy i samotny domeczek... dość duży, by w nim mieszkał ogrodnik lub gajowy. Czyżby to stąd doszedł mnie trzask zamykanych drzwi? Niedbale podszedłem bliżej, tak jakbym chodził bez celu. W tym momencie drzwi domku otworzyły się i wyszedł z nich jakiś niski, ruchliwy i brodaty człowiek w czarnym palcie i w meloniku, wcale nie wyglądający na ogrodnika. Zdziwiłem się, że zamknął drzwi, a klucz wsunął do kieszeni. Potem, spojrzał na mnie i też się - zdziwił.

- Czy pan jest gościem ze dworu? – zapytał Wyjaśniłem, że tak i że w dodatku jestem przyjacielem Godfrey'a.

— Jaka szkoda - zakończyłem - że wyjechał w podróż, bo z pewnością uradowałaby go moja wizyta.

— Z pewnością, z pewnością - rzekł i zrobił taką minę, jakby coś przeszkrobał. - Może jednak przyjedzie pan znowu w odpowiedniejszym czasie.

Poszedł sobie, ale kiedy się obejrzałem, spostrzegłem, że obserwuje mnie z oddali spoza laurowych krzaków.

Mijając ten domek mogłem mu się dobrze przyjrzeć. Okna miał zasłonięte i sprawiał wrażenie opuszczonego. Czulem, że wciąż jestem obserwowany, zepsułbym więc wszystko albo i naraziłbym się na wyrzucenie z parku, gdybym działał zbyt natarczywie. Odszedłem zatem i postanowiłem czekać nocy. A kiedy już zrobiło się ciemno i wszyscy poszli spać, wyszedłem przez okno i cicho przemknąłem się do tego tajemniczego pawilonu.

Powiedziałem już, że jego okna były szczelnie zasłonięte, a teraz stwierdziłem, że są też zamknięte na okiennice. Ale przez szparę w jednej z nich przebijało światło. Skierowałem się w tamtą stronę. Miałem szczęście, bo zasłony

były rozchylone i przez szparę w okiennicy mogłem zajrzeć do środka. Wyglądało tam wcale przyjemnie: lampa świeciła jasno, na kominku wesoło płonął ogień. Na wprost siebie ujrzałem tego niepozornego jegomościa, z którym rozmawiałem rano. Palił fajkę i czytał gazetę.

- Jaką? - zapytałem.

Mój klient najwidoczniej poczuł się urażony, że mu przerywam.

— Jakież to ma znaczenie? - zapytał z kolei.

— Bardzo duże.

— Nie przyglądałem się.

— Może pan jednak zauważył, czy to była wielka płachta dziennika, czy też jakiś mniejszy format, taki jak przy tygodnikach?

— Teraz, kiedy pan o tym mówi, wydaje mi się, że coś mniejszego. Może więc „Spectator”. Mało mnie jednak wtedy zajmowały takie szczegóły, bo zobaczyłem kogoś innego, kto siedział tyłem do okna i dałbym sobie głowę uciąć, że to był Godfrey. Nie widziałem twarzy, ale doskonale przecież poznałem linię karku. Łokcie oparł na stole i jak posąg boleści siedział zwrócony do ognia. Zastanawiałem się, co zrobić, kiedy ktoś z całej siły szarpnął mnie za ramię. Odwróciłem się i ujrzałem tuż przy sobie pułkownika Emswortha.

— Proszę za mną! - rzekł ściszym głosem. W milczeniu poprowadził mnie do domu, do mojej sypialni. Po drodze zabrał rozkład jazdy z sieni.

— Pociąg do Londynu odchodzi o 8.30 - rzekł. O 8 będzie na pana czekała bryczka przed drzwiami.

Był blady z gniewu, a ja też czułem się bardzo niezręcznie. Zdołałem więc tylko coś tam wybąkać na swego usprawiedliwienie, tłumacząc się przywiązaniem do Godfreya.

- Niech pan lepiej milczy - przerwał mi gwałtownie. - Wdarł się pan niecznie w nasze rodzinne sprawy. Przybył pan jako gość, a zachował się jak szpieg. Nie mam nic więcej do dodania, prócz tego, że życzyłbym sobie nigdy już pana nie

ogłądać.

Wtedy nerwy mnie poniosły, panie Holmes, i nie panując nad sobą zacząłem:

- Widziałem pańskiego syna i jestem przekonany, że dla jakichś własnych celów trzyma go pan pod kluczem. Nie wiem po co, ale z pewnością jest pańskim więźniem. I zapewniam pana, że dopóki się nie przekonam, że mu nic nie grozi i że jest mu dobrze, nie poniecham wysiłków, by dojść prawdy. A żadne pańskie słowa czy też czyny nie odwiodą mnie od tego.

W starego jakby szatan wstąpił. Wspomniałem już, że to krzepki, wysoki, zapalczywy stary olbrzym i choć sam nie jestem ułomkiem, z trudem bym mu stawił czoło. Jednakże rzuciwszy rai długie, wściekle spojrzenie, obrócił się na pięcie i wyszedł. Ja zaś wsiadłem rano w ten pociąg, o którym wspomniał, i postanowiłem sobie, że wprost z dworca pojedę do pana z prośbą o radę i pomoc. Oto dlaczego prosiłem, żeby pan mnie przyjął.

Taką to zagadkę zadał mi mój gość. Uważny czytelnik pewnie dostrzegł, że nie była trudna, bo w założeniu miała niewiele alternatyw, lecz choć dość prosta, „zawierała ciekawe elementy i pewne nowe cechy, które skłoniły mnie do umieszczenia jej w moich wspomnieniach. Zacząłem więc, używając swojej zwykłej metody logicznej selekcji, stopniowo ograniczać ilość możliwych rozwiązań.

— Służba. Ile było jej w domu? - zapytałem.

— Jak przypuszczam, tylko stary lokaj i jego żona. Pułkownikostwo żyją skromnie.

— A więc i w tamtym domku nie było żadnego służącego?

— Nie, chyba że ten mały brodacz. Ale wyglądał na kogoś lepszego.

— To daje do myślenia. Czy nie zauważył pan, aby noszono jedzenie z dworu do tego domku?

— Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, przypominam sobie, że widziałem Ralfa idącego z koszykiem w tamtą stronę,

ale wtedy nie przyszło mi na myśl, że mógłby nieść jedzenie.

— Czy wypytywał pan ludzi w okolicy?

— Tak. Staralem się wybadać zawiadowcę stacji i właściciela zajazdu w miasteczku. Zapytałem po prostu, czy nic nie wiedzą o moim starym przyjacielu Godfreyu Emsworth. Obaj zapewniali, że prawie zaraz po powrocie do domu udał się w podróż dookoła świata. Najwidoczniej wszyscy w to uwierzyli.

— Nie zdradził się pan ze swoimi podejrzeniami?

— Nie, skąd znowu!

— To bardzo rozsądnie. Trzeba zbadać tę sprawę. Pojadę z panem do Tuxbury Old Park.

— Czy dziś?

Tak się złożyło, że akurat w tym czasie zajęty byłem sprawą, którą mój przyjaciel, Watson, opisał pod tytułem „Zdarzenie w szkole doktora Huxtable’a” i w której tak bardzo zamieszany był książę Greyminster. Również sułtan turecki zlecił mi wtedy coś niezwykle pilnego; coś, czego nie mogłem żadną miarą zaniedbać pod groźbą bardzo poważnych komplikacji. Tak więc, jak wynika z moich notatek, dopiero w następnym tygodniu wyruszyłem wraz z Doddem do Bedfordshire. Po drodze do Euston zajechaliśmy po statecznego i milczącego pana o posępnym wyglądzie, z którym poprzednio już wszystko omówiłem.

- To mój stary przyjaciel - powiedziałem Doddowi. - Może się nam przydać, a kto wie, czy jego obecność nie będzie nawet miała zasadniczych skutków. Niech to panu na razie wystarczy.

Watson w swych opowiadaniach przyzwyczał już czytelników, że, nie lubię mówić za dużo ani zdradzać się z myślami, kiedy się do czegoś zabieram. Dodd zdziwił się, jak widziałem, ale nic nie powiedział i już dalej jechaliśmy we trzech. W pociągu zadałem Doddowi parę pytań, takich które mogły zaciekawiać naszego nowego towarzysza.

— A więc wyraźnie widział pan twarz swojego



przyjaciela w oknie, tak wyraźnie, że nie może być pomyłki co do osoby?

— Wykluczam pomyłkę. Rozpłaszczył nos o szybę. Światło lampy padało wprost na niego.

— A może to był ktoś tylko podobny? - Nie, nie, to był on.

— Mówił pan jednak, że bardzo się zmienił.

— Tylko kolor cery mu się zmienił. Jego twarz była... hm, jakże to opisać?... Biała jak rybi brzuch. Całkiem wyblakła.

— Jednakowo blada na całej powierzchni?

— Chyba nie. Najwyraźniej z całego oblicza widziałem czoło przyciśnięte do szyby.

— Czy pan zawołał na niego?

— W pierwszej chwili oniemiałem ze zdziwienia i przerażenia. Potem pobiegłem za nim, jak to już panu opowiadałem, ale mi uciekł.

Właściwie wiedziałem już, o co chodzi, brakowało mi tylko małego szczegółu do zamknięcia ogólnego obrazu. Kiedy po dość długiej jeździe przybyliśmy przed rozległy dwór, tak dobrze opisany przez mojego klienta, wyszedł nam na spotkanie Ralf, stary sługa. Poprosiłem mojego poważnego towarzysza podróży aby zaczekał w powozie, który wynająłem na cały dzień. Ralf, zwiędły, pomarszczony starzec, ubrany był, jak zwykle lokaje, w szare spodnie i czarny żakiet, z jednym tylko interesującym wyjątkiem: na rękach miał brązowe skórzane rękawiczki. Ujrawszy nas natychmiast je zdjął i w przejściu położył na stoliku w, sieni. Jak Watson już zauważył, mam niebywale wyrobiony węch, toteż od razu wyczułem jakiś słaby, lecz przenikliwy zapach. Zdawał się koncentrować przy stole w sieni. Odwróciłem się, położyłem kapelusz na blacie i strąciwszy go zaraz, niby niechący, schyliłem się, żeby go podnieść. Przy tym ruchu mój nos znalazł się o stopę od rękawiczek. Tak, to one wydzielają ów dziwny zapach dziegiu. Teraz już, zmierzając do gabinetu, wiedziałem wszystko. Jaka szkoda, że zdradziłem czytelnikowi moją tajemnicę! Watson do

ostatniej chwili ukrywa łączące ogniwo i przez to osiąga te efektowne zakończenia.

Pułkownika Emswortha nie było w pokoju, ale zjawił się zaraz, gdy Ralf nas zameldował. Słyszeliśmy jego szybkie, mocne kroki w korytarzu. Gwałtownie otworzył drzwi i wpadł z rozwianą brodą i wykrzywionym z gniewu obliczem. Nigdy jeszcze nie widziałem tak złego starca. W rękach niósł nasze bilety wizytowe. Przedarł je, rzucił na ziemię i podeptał.

- Czy już raz nie zabroniłem panu, przeklęty intruzie, pokazywać się tutaj! Po co pan znów przyjechał! Skoro wpakował się pan bez zaproszenia, mam pełne prawo wyrzucić pana za kark. Wyrzucę pana! Przysięgam, że wyrzucę. A i panu też - zwrócił się do mnie - zabraniam wstępu do mego domu. Wiem, jakim to hańbiącym zawodem się pan trudni, ale niech pan swoje słynne talenty wypróbuj na kimś innym. Tu nie ma pan nic do roboty.

- Nie odejdę - spokojnie rzekł mój klient - dopóki z własnych ust Godfreya nie dowiem się, że nie jest więziony.

Nasz gospodarz - powinienem go nazwać „gospodarzem mimo woli” - zadzwonił po lokaja.

- Ralfie - rzekł - zatelefonuj, żeby przysłano dwóch policjantów. Powiedz, że mamy tu włamywaczy w domu.

— Chwileczkę - wtrąciłem się. - Panie Dodd, musi pan zdać sobie sprawę, że pułkownik Emsworth ma rację i że my nie mamy najmniejszego prawa do przebywania w jego domu. Ale pułkownik powinien też zrozumieć, że panem kieruje jedynie troska o jego syna. Sądzę, że gdybym mógł przez pięć minut spokojnie pomówić z panem - zwróciłem się do pułkownika - wpłynęłoby to na zmianę pańskiego stanowiska.

— Niełatwo mnie przekonać - odparł ten stary wojak - Ralf, proszę robić, co powiedziałem. Na co, u diabła czekasz! Telefonuj po policję!

— W żadnym wypadku - powiedziałem, opierając się plecami o drzwi. - Ingerencja policji wywoła tylko tę katastrofę, której pan stara się uniknąć. - Wyjąłem notes i na luźnej kartce

skreśliłem tylko jedno słowo. - Oto co - powiedziałem, podając ją pułkownikowi - nas tu sprowadza.

Popatrzył na kartkę, a twarz jego wyrażała teraz jedynie zdumienie, nic więcej.

— Skąd pan wie? - westchnął i ciężko opadł na fotel.

— Wiedzieć, to mój zawód. To moja sprawa.

Siedział pogrążony w zadumie. Suchą ze starości ręką szarpał kosmatą brodę. A potem rzekł z gestem rezygnacji:

- Dobrze, jeżeli się przy tym tak upieracie, zobaczycie panowie Godfrey. Zmusiliście mnie do tego. Ralf, proszę zawiadomić panicza i pana Kenta, że za pięć minut tam będziemy.

Po pięciu minutach przeszliśmy aleję i stanęliśmy przed tajemniczym pawilonem. Mały, brodaty mężczyzna, wielce zdziwiony, czekał na nas przed drzwiami.

— To całkiem niespodziewane, panie pułkowniku. Pokieruje nam plany - rzekł.

— Trudna rada, panie Kent. Nie miałem wyboru. Czy Godfrey może się z nami widzieć?

— Tak, czeka wewnątrz domu.

Odwrócił się i zaprowadził nas do dużego, kompletnie umeblowanego pokoju od frontu, gdzie przed kominkiem plecami do ognia stał jakiś mężczyzna. Dodd spojrzął na niego i z wyciągniętą ręką wysunął się naprzód. -

- Godfrey, stary druhu, jakże się cieszę!

Ale Godfrey powstrzymał go ostrzegawczym ruchem.

- Nie dotykaj mnie, Jimmie. Stój z daleka. Tak, przyjrzyj się dobrze. To już nie ten sam dziarski kapral Emsworth ze szwadronu B, prawda?

Trzeba przyznać, że wyglądał dziwacznie. Kiedyś z pewnością był przystojnym mężczyzną. Rysy miał regularne, ale jego śniadą twarz, ogorzałą od afrykańskiego słońca, pokrywały dziwnego rodzaju białawe plamy, które odbarwiły skórę.

- Oto czemu nie chcę przyjmować żadnych wizyt -

rzeł.

- Nie mam ci za złe, Jimmie, tego coś zrobił, lecz poradziłbym sobie bez ciebie. Z pewnością z dobrych pobudek, ale zjawiasz się w najmniej odpowiedniej dla mnie chwili.

— Chciałem się przekonać, że ci nic nie grozi. Widziałem cię, kiedyś zaglądał do mnie przez okno, i musiałem wyjaśnić sprawę do końca, bo nie miałbym spokoju.

— Poczciwy Ralf powiedział mi o twojej wizycie i nie mogłem się powstrzymać, aby na ciebie nie spojrzeć. Myślałem, że mnie nie zobaczysz, a kiedy usłyszałem, że otwierasz okno, uciekłem co prędzej do swojej nory.

— Ale o co chodzi, u Boga Ojca?

— To niedługa historia - odparł Godfrey zapalając papierosa. - Przypominasz sobie tę raną potyczkę pod Buffejsspruit za Pretorią, przy wschodniej linii kolejowej? Słyszałeś, że raniono mnie tam?

— Tak, słyszałem, ale nie mogłem dowiedzieć się szczegółów.

— Trzech nas odbiło się od oddziału. Pamiętasz chyba, że kraj był górzysty. A więc było nas trzech: Simpson, którego zważyliśmy Łysek, Anderson i ja. Polowaliśmy na Bura, ale on z zasadzki powyrzelał nas jak kaczki. Tamtych dwóch zabił, a mnie trafił w ramię kulą na słonia. Przywarłem koniowi do karku i galopowałem parę mil, aż w końcu zemdlałem i spadłem z siodła.

Przytomność wróciła mi dopiero o zmroku. Wstałem słaby i chory. Na szczęście obok dostrzegłem spory dom z dużą werandą i wieloma oknami. Było diabelnie zimno. Pamiętasz ten przejmujący chłód, który nadchodził wraz ze zmrokiem? Nie zdrowy i mroźny, lecz jakiś chorobliwy. Przemarłem do szpiku kości, a ten dom był całą moją nadzieją. Chwiejąc się na nogach, na pół przytomny powlokłem się ku niemu. Jak przez sen przypominam sobie, że wdrapałem się po stopniach na ganek i przez szeroko otwarte drzwi wszedłem do dużego pokoju z kilkoma łózkami. Westchnąwszy z zadowoleniem padłem na jedno z nich, nie posłane, ale mało mnie to wówczas

obchodziło. Naciągnąłem kołdrę na dygocące ciało i po chwili już spałem.

Obudziłem się rano i zdawało mi się, że miałem dostać się w jakiś normalny świat, dostałem się w koszmary. Jasne promienie afrykańskiego słońca wpadały przez wielkie, odsłonięte okna i każdy szczegół w tym dużym, pustym, wybielonym pokoju występował nadzwyczaj wyraźnie. Przed sobą ujrzałem jakiegoś karłowatego człowieka z wielką, baniastą głową, który z ożywieniem paplał coś po holendersku, gestykulując przy tym okropnymi rękami, które przypominały odrażające brązowe gąbki. Za nim stała grupka innych ludzi, najwidoczniej doskonale bawiących się tą sceną, ale przyjrawszy im się uważniej zadrzałem z przerażenia. Każdy bowiem był powykręcany i opuchnięty w ohydny sposób. Na ich śmiech włosy na głowie stawały z przerażenia. Żaden nie mówił po angielsku, ale jakoś trzeba było wyjaśnić sytuację, bo ten osobnik z łbem jak bania rozgniewał się na dobre. Krzycząc przeraźliwie złapał mnie swoimi zdeformowanymi łapskami i wyciągnął z łóżka, choć rana zaczęła mi krwawić na nowo. Ten mały szatan był silny jak byk i nie wiem, co by mi jeszcze zrobił, gdyby rejdach nie ściągnął kogoś, kto wydawał się przełożonym tej bandy. Rozkazującym tonem rzucił kilka słów po holendersku i mój oprawca puścił mnie. A potem ów nieznajomy wielce zdumiony zwrócił się do mnie.

- Jakim cudem pan się tu znalazł? - pytał. - Zaraz, zaraz, widzę, że pan jest śmiertelnie zmęczony i trzeba panu opatrzyć zranione ramię. Jestem lekarzem, opatrzę je za chwilę, Ale, człowieku, grozi panu o wiele większe niebezpieczeństwo, niż gdyby pan był w bitwie! Trafił pan do szpitala dla trędowatych i spał w łóżku trędowatego!

Chyba to ci wystarczy, Jimmie? Wobec zbliżającej się bitwy, widocznie w przeddzień, wyewakuowano tych biedaków do jakiegoś bezpieczniejszego miejsca. A potem, gdy nasze wojska poszły naprzód, lekarz wrócił z chorymi do szpitala. Powiedział mi, że choć sam nie obawia się zarazić, nigdy w

życiu nie odważyłby się spać w łóżku trędowatego. Zabrał mnie do siebie, zaopiekował się mną i po jakimś tygodniu znalazłem się w szpitalu w Pretorii. Teraz już znasz mój dramat. Łudziłem się wbrew rozumowi, bo te straszliwe oznaki choroby, które widzisz na mojej twarzy i które wystąpiły dopiero po powrocie do domu, dowiodły, że nie unikałem zarazy. Cóż miałem robić? Byłem w naszej odludnej posiadłości. Mamy tu dwoje służby, ludzi pewnych i zaufanych. No i jest ten domeczek, w którym mogę mieszkać. Doktor Kent zgodził się mnie pielęgnować i solennie obiecał dotrzymać tajemnicy. Wydawało się więc, że to jest najprostsze wyjście. Inaczej bowiem czekałby mnie straszny los: do końca życia odosobnienie wśród obcych mi ludzi, bez cienia nadziei. Za wszelką cenę należało jednak zachować tajemnicę, bo gdyby dowiedziano się o mojej chorobie, nawet w tym spokojnym zakątku podniósłby się krzyk i nie unikałbym straszego losu trędowatych. Nawet tobie, Jimmie, nawet tobie nie można było powiedzieć prawdy. Jakim cudem mój ojciec teraz odstąpił od tej zasady - nie mogę pojąć.

Pułkownik Emsworth wskazał na mnie. Ot, kto mnie zmusił do tego. - i rozwinął kartkę papieru, na której napisałem słowo „Trąd”. - Sądziłem, że skoro pan Holmes już tyle wie, bezpieczniej będzie, jeżeli się dowie i reszty.

- I słusznie - powiedziałem. - Może coś dobrego z tego wyniknie. Jak zrozumiałem, tylko doktor Kent opiekuje się pacjentem. Niechże mi wolno będzie spytać pana, czy zna się pan na tej chorobie, która, o ile wiem, w swoim założeniu jest pochodzenia tropikalnego lub podtropikalnego?

— Tyle, ile każdy lekarz - odparł Kent z chłodną godnością.

— Ani chwili nie wątpię o pańskiej znajomości medycyny, ale chyba zgodzi się pan ze mną, że w podobnych wypadkach warto by zasięgnąć jeszcze jednej opinii. Rozumiem, że państwo tego unikali z obawy przed przymusowym wysłaniem chorego do kolonii trędowatych.

— Tak jest - odparł pułkownik Emsworth.

— Przewidziałem to - ciągnąłem - i przywiozłem ze sobą kogoś, komu całkowicie można zaufać. Wyświadczyłem mu kiedyś zawodową usługę, toteż gotów jest teraz wystąpić nie tyle w roli specjalisty, co przyjaciela. To sir James Saunders.

Zwykły podporucznik tak by się nie zdziwił i nie ucieszył na wiadomość, że czeka go rozmowa z lordem Robertsem, jak ucieszył się i rozpromienił doktor Kent.

— To nie lada zaszczyt dla mnie - wybąkał.

— A więc poproszę tu sir Jamesa. Czekaj w powozie przed domem. A tymczasem, panie pułkowniku, może przejdziemy do pańskiego gabinetu, gdzie udzielę panom dalszych wyjaśnień.

W tym miejscu brak mi mojego Watsona. Chytrymi pytaniami i okrzykami zdumienia, potrafi on mojej prostej sztuce, polegającej na systematycznym i logicznym rozumowaniu, nadać charakter cudu. Kiedy sam opowiadam swoje przygody, nie potrafię im dodać tego kolorytu. Przedstawię jednak bieg moich myśli, tak jak go przedstawiłem w gabinecie pułkownika małemu gronu słuchaczy, powiększonemu tym razem o matkę Godfreyę.

- Swoje rozważania - mówiłem - zaczynam zawsze od tego, że eliminuję wszystko co niemożliwe, bo uważam, że to, co wtedy zostanie, musi być prawdziwe, choćby się nawet wydawało nieprawdopodobne. Może się zdarzyć, że pozostanie wówczas kilka wytłumaczeń. Wtedy nie ma innej rady, tylko trzeba sprawdzać jedno po drugim, aż wreszcie natrafimy na najbardziej prawdopodobne. Spróbujmy zastosować tę metodę w konkretnym wypadku. Na pierwszy rzut oka trzy powody odseparowania lub uwięzienia młodego pana Emswortha w tym odludnym domeczku, w posiadłości jego ojca, wydały mi się możliwe. A więc: ukrywanie się po jakimś przestępstwie, obłąkanie, które rodzina pragnęła ukryć, aby uniknąć obowiązku oddania chorego do domu wariatów i wreszcie



choroba wymagająca izolacji. Nie nasuwało mi się żadne inne rozwiązanie. Trzeba więc było kolejno rozważyć te trzy ewentualności.

Domniemanie przestępstwa odpadało. W tym okręgu nie zanotowano żadnego nie wykrytego przestępstwa. Tego byłem pewien. A jeżeli nikt na to przestępstwo nie wpadł, to rodzina wolałaby uwolnić się od zbrodniarza i raczej wysłać go gdzieś, niż trzymać w domowym ukryciu. Każde inne postępowanie trudno byłoby wytłumaczyć.

Obłąd był bardziej prawdopodobny. Obecność drugiej osoby w domeczku nasuwała myśl o pielęgniarzu. Fakt, że ta osoba wychodząc zamykała drzwi na klucz, jeszcze, bardziej potwierdzał domniemanie przymusowego odosobnienia. Z drugiej strony jednak to odosobnienie nie było takie rygorystyczne, bo inaczej chory nie mógłby przyjść pod dwór, żeby spojrzeć na przyjaciela. Przypomina pan sobie, panie Dodd, jak starałem się uchwycić jakiś punkt zaczepienia pytając na przykład, jakie to pismo czytał Kent. Gdyby to był „Lancet” czy „British Medical Journal”, dałoby mi to pewną wskazówkę. Trzymanie obłąkanego w domu pod warunkiem, że pozostaje on pod opieką wykwalifikowanego pielęgniarza i że odpowiednie władze o tym wiedzą, nie sprzeciwia się jednak prawu. Skąd więc to rozpaczliwe gonienie za tajnością? I znów założenie nie pasowało do faktów.

Pozostawała zatem trzecia supozycja, wprowadzie byłby to wypadek rzadko spotykany i mało prawdopodobny, ale odpowiadający faktom. Wypadki trądu zdarzają się w Afryce Południowej. Godfrey jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności mógł się zarazić. Wtedy jego rodzina znalazłaby się w trudnej sytuacji, bo chciałyby go uchronić od wysłania do kolonii trędowatych. W tym celu musiałyby się zatroszczyć o jak największą tajemnicę, aby władze o niczym się nie dowiedziały. Za dobrą opłatą łatwo byłoby znaleźć jakiegoś zaufanego lekarza, który podjąłby się opieki nad chorym. Nie byłoby też powodu, aby chory nie wychodził sam na

przechadzkę późnym wieczorem. Z wyblakłością skóry spotykamy się przy trądzie. Wszystko zatem wydało mi się logiczne, tak logiczne, że postanowiłem działać, jakby było zupełnie pewne. A resztki wątpliwości rozwiały mi się, kiedy po przyjeździe tutaj stwierdziłem, że Ralf, który nosi jedzenie do małego domku, używa rękawiczek nasyconych środkiem dezynfekcyjnym. Jedno jedyne słówko dowiodło panu, panie pułkowniku, że znam tajemnicę. A to, że je napisałem zamiast głośno wymówić, miało wskazać że potrafię ją zachować.

Skończyłem właśnie ten wywód, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju z całą powagą wkroczył nasz słynny dermatolog. Ale tym razem jego sfinksowe oblicze promieniało, a w oczach ukazał się prawdziwie ludzki błysk. Podszedł do pułkownika i uścisnął mu rękę.

— Znacznie częściej zwiastuję złe wiadomości niż dobre - rzekł - lecz tym razem wszystko układa się pomyślnie. To nie trąd.

— Co?!

— Wyraźny wypadek pseudotrądu, jak my to nazywamy: *ichtyosis*. Łuszczyca, choroba skóry, odrażająca, uparta, przeważnie uleczalna i z pewnością niezaraźliwa. Tak, panie Holmes, zadziwiający zbieg okoliczności. Ale czy zbieg? Czy nie działają tu te subtelne siły, o których prawie nic nie wiemy? Czy możemy być pewni, że straszliwa obawa, którą niewątpliwie przeżywał ten młodzieniec od chwili, gdy się dowiedział, że mógł się zarazić, nie wywołała fizycznych objawów podobnych od trądu? W każdym razie całym moim autorytetem ręczę... Ale pani zemdlą! Panie Kent, niechże pan zostanie przy pani, dopóki nie odzyska przytomności po tym radosnym wstrząsie.

## „LWIA GRZYWA”

Dziwna to rzecz, że z najbardziej zawiłym i niezwykłym, problemem z całej mojej długiej kariery zetknąłem się dopiero, gdy porzuciłem już pracę. „Stało się to pod samymi moimi drzwiami.

W tym czasie mieszkałem w małym domku w Sussex i całkowicie oddawałem się kojącemu współzyciu z przyrodą, o którym marzyłem tak często podczas długich lat spędzonych w mrokach miasta. Poczywy Watson niemal zniknął mi z oczu. Widywałem go jedynie z okazji sporadycznych weekendów i wizyt. Dlatego też muszę być własnym kronikarzem. O, gdyby był ze mną, jakież opowiadanie byłby zrobił z tej zadziwiającej sprawy i z mego triumfu odniesionego wbrew wszelkim trudnościom! Z konieczności muszę jednak opowiedzieć całe zdarzenie sam, w swój własny, prosty sposób, odmalowując każdy krok na trudnej ścieżce, po której szedłem ku rozwiązaniu tajemnicy „lwiej grzywy”.

Dom mój stoi na południowym stoku Downs i widać z niego wielki szmat Kanału. W tym miejscu brzeg zbudowany jest z kredowych skał, z których można zejść tylko jedną, długą, krętą ścieżką, stromą i śliską. U stóp skał, na przestrzeni około stu jardów, rozpościera się teren kamienisty i zwirowaty, którego nie zakrywa nawet przypływ morza. Tu i ówdzie tworzą się wgłębienia i zatoczki, mogące służyć jako doskonałe baseny pływackie, przy każdym przypływie napełniane świeżą wodą. Ta wspaniała plaża ciągnie się na parę mil w obie strony i tylko w jednym miejscu przerywa ją zatoka i miasteczko Fulworth.

Mój dom stoi samotnie. Ja stara służąca i pszczoły mamy tę całą posiadłość tylko dla siebie. O pół mili dalej znajduje się znana szkoła Harolda Stackhursta w Gables, dużej posiadłości, w której kilkudziesięciu młodych ludzi pod kierunkiem paru profesorów przygotowuje się do różnych zawodów. Sam Stackhurst był za młodu znanym wioślarzem w uniwersyteckiej drużynie i wszechstronnym naukowcem. Żyję z nim w przyjaźni od dnia przybycia na wybrzeże i jest on jedynym człowiekiem, z którym

łączą mnie na tyle dobre stosunki, że odwiedzamy się wieczorami bez uprzedniego zaproszenia.

W końcu lipca 1907 roku mieliśmy silną burzę; wiatr, który wiał od Kanału, wznosił tak wielkie fale, że sięgały podnóża skał, a po odpływie pozostawiły na plaży liczne zalewy. Potem wichura ustała i świat wyglądał wymyty i świeży. Trudno było pracować tak pięknego ranka, toteż przed śniadaniem wybrałem się na przechadzkę, by odetchnąć cudownym powietrzem. Poszedłem wzdłuż skał ścieżką prowadzącą do stromego zejścia na plażę. Idąc usłyszałem, że ktoś mnie woła; był to Harold Stackhurst, który w serdecznym powitaniu kiwał ku mnie ręką.

— Co za ranek, panie Holmes! Spodziewałem się, że pana spotkam.

— Widzę, że idzie pan popływać!

— Jak zwykle zdradza pan niebywałą przenikliwość - zaśmiał się Stackhurst” uderzając dłonią po wypchanej kieszeni. - Tak. McPherson wyruszył wcześniej, sądzę, iż go tam spotkam.

Fitzroy McPherson był magistrem nauk przyrodniczych i przystojnym, dobrze zbudowanym młodym człowiekiem, któremu niedomagania serca, spowodowane gościeniem, zatruwały życie. Był jednak urodzonym sportowcem i celował we wszystkich dyscyplinach nie wymagających dużego wysiłku fizycznego. Pływał latem i zimą, a że i ja jestem niezłym pływakiem, często kąpaliśmy się razem.

W tej chwili ujrzeliśmy McPhersona. Jego głowa ukazała się nad brzegiem skały, w miejscu gdzie kończy się ścieżka. Potem wyłonił się cały i dostrześliśmy, że zatacza się, jakby był pijany. Nagle podniósł ręce w górę i ze strasznym krzykiem upadł na twarz. Stackhurst i ja pobiegliśmy do niego - musieliśmy przebiec z pięćdziesiąt jardów - i odwróciliśmy go na wznak. Nie ulegało wątpliwości: konał. Szkliste, wpadnięte oczy i przerażająco sine policzki nie mogły oznaczać nic innego. Iskra życia ożywiła na chwilę jego twarz, wyrzucił z siebie parę słów, jakby chcąc nas przed czymś ostrzec. Bełkotał i połykał wyrazy, ale ostatni okrzyk, który wyrwał mu się z ust, zabrzmiał w moim uchu jak „lwia

grzywa”. Nie miał zupełnie sensu, jednak tak właśnie go zrozumiałem. Potem McPherson uniósł się z ziemi, wyciągnął ręce i opadł na bok. Nie żył.

Ta okropna scena sparaliżowała mego towarzysza, ja za to, jak łatwo się domyślić, napiąłem uwagę. Zorientowałem się od razu, że mamy do czynienia z nadzwyczajnym wypadkiem. McPherson ubrany był tylko w płaszcz burberry, spodnie i nie zasnurowane płócienne pantofle. Gdy upadł, płaszcz zsunął się, odsłaniając plecy. Patrzyliśmy na nie zdumieni. Były całe pokryte ciemnoczerwonymi pręgami, tak jakby go silnie wychłostano biczem z cienkiego drutu. Narzędzie tej strasznej tortury musiało być giętkie, bo zaognione pręgi okalały ramiona i żebra. Z wargi zagryzionej w paroksyzmie, bólu krew ściekała aż na brodę. Twarz skurczona i wykrzywiona mówiła, jak strasznie musiał cierpieć.

Kłęczałem jeszcze nad trupem, a Stackhurst stał przy mnie, gdy padł na nas czyjś cień i ujrzelśmy Lewisa Gryffa, nauczyciela matematyki w szkole Stackhursta. Był to wysoki, śniady i szczupły mężczyzna, wielki odludek i milczek. Nie miał chyba żadnych przyjaciół. Wydawało się, że wiecznie przebywa w oderwanej krainie liczb i hiperboli i że nic nie łączy go z życiem. Studenci uważali - go za dziwaka i pewnie zrobiliby sobie z niego kozła ofiarnego, gdyby nie to, iż w żyłach miał obcą krew, przejawiającą się nie tylko w czarnych jak węgiel oczach i śniadej cerze, ale i w wybuchach nieokiełznanego gniewu, które czyniły go zupełnie dzikim. Raz rozżłościwszy się na psa McPhersona, schwycił biedne zwierzę i cisnął nim w lustrzaną szybę okna Stackhurst niechybnie zwolniłby go za to z pracy, gdyby Gryff nie był tak dobrym wykładowcą. Ten właśnie dziwny człowiek zjawiał się teraz obok nas. Wydawał się szczerze wstrząśnięty widokiem, który miał przed sobą, chociaż sądząc po zdarzeniu z psem, nie było między nim a zmarłym wielkiej sympatii.

— Biedaczysko! Biedaczysko! Co robić? Czy można coś pomóc?

— Był pan z nim? Co mu się stało?

— Nie, nie byłem. Wstałem dziś późno. W ogóle nie byłem

na plaży. Przyszedłem z Gables, Co mogę zrobić?

— Niech pan idzie na posterunek w Fulworth i niech ich pan zawiadomi o wypadku.

Pobiegł co tchu bez słowa, ja zaś zabrałem się do śledztwa. Wstrząśnięty Stackhurst nie odchodził od ciała.

Przede wszystkim sprawdziłem, kto był na plaży. Ze szczytu ścieżki mogłem objąć wzrokiem całą jej połąć. Była zupełnie pusta, tylko daleko, daleko, widać było dwie czy trzy ciemne sylwetki, zdążające ku Fulworth. Ustaliwszy to, zeszedłem powoli ścieżką w dół. Grunt był gliniasto-margłowy z domieszką kredy. Tu i tam widziałem ślady stóp wiodące w górę i w dół. Tylko McPherson chodził dziś tędy. W jednym miejscu zauważyłem ślad dłoni, przy czym palce zwrócone były ku górze. Mogło to tylko oznaczać, iż biedny McPherson upadł w czasie wchodzenia. Także parę okrągłych wgłębień wskazywało, że chwilami posuwał się na czworakach. U stóp ścieżki pozostał spory zalew po odpływie. Tutaj McPherson rozbierał się, bo na kamieniu leżał ręcznik. Był starannie złożony i zupełnie suchy, wyglądało więc, jakby nieszczęśliwy McPherson wcale nie był w wodzie. Badając starannie kamienistą plażę kolo zalewu, natknąłem się kilka razy na wysepki piasku, w których widniały odcisnięte ślady płóciennych pantofli, a także bosych stóp, co świadczyło, że McPherson przygotował się całkowicie do kąpieli, chociaż sądząc z ręcznika, do wody nie wszedł.

Tak wyglądała ta sprawa - najdziwniejsza ze wszystkich, z jakimi miałem do czynienia. Zmarły przebywał na plaży najwyżej kwadrans; co do tego nie było wątpliwości, bo Stackhurst o tyle później wyszedł za nim z Gables. Jak wskazywały odciski bosych stóp, McPherson rozebrał się, a potem nagle narzucił na siebie odzienie i nie zapinając się ani nie sznurowując butów, zawrócił. Stało się tak dlatego, że został zбитy w okrutny, nieludzki sposób, skatowany tak, że pogryzł sobie z bólu wargi. Miał tylko tyle sił, ile trzeba, aby wyczołgać się z plaży, i zaraz skonał. Kto dopuścił się tej zbrodni? W skałach było wiele pieczar i grot, ale nisko stojące słońce oświetlało je doskonale, tak że nikt nie mógłby się w nich

ukryć. Na plaży widziałem wprawdzie ludzi, lecz byli za daleko, by mieć coś wspólnego ze zbrodnią. Poza tym rozpościerający się u stóp skał szeroki zalew, właśnie ten, w którym McPherson chciał się kąpać, oddzielał ich od niego. Po morzu, niedaleko brzegu, płynęło kilka łodzi rybackich. Rybaków można było, naturalnie, przesłuchać. Było wiele dróg, po których mogło toczyć się śledztwo, ale żadna nie prowadziła do wyraźnego celu.

Kiedy powróciłem wreszcie do ciała, zebrała się już koło niego grupka gapiów. Stackhurst był tam także, a Lewis Gryff nadszedł właśnie z Andersonem, miejscowym policjantem, wielkim mężczyzną o rudych wąsach, powolnym i solidnym, z gatunku tych mieszkańców Sussex, którzy pod ospałym, spokojnym wyglądem ukrywają wiele zdrowego rozsądku. Wysłuchał on wszystkiego, zanotował nasze słowa i wreszcie odciągnął mnie na bok.

- Prosiłbym, żeby mi pan radził, jak mam postępować, panie Holmes. To dla mnie poważna sprawa, a jak narobię głupstw, to się nasłucham od inspektora.

Poradziłem mu, aby wezwał swego bezpośredniego przełożonego oraz lekarza, a także, aby nie pozwolił niczego ruszać i aby przed przybyciem władz zdjął wszystkie odciski stóp, póki są świeże. Ja sam przeszukałem kieszenie zmarłego. Znalazłem chustkę, duży nóż i portfelik, z którego wystawał kawałek papieru. Rozwinąłem go i podałem policjantowi. Było na nim napisane niewyraźnym kobiecym pismem: *Możesz być pewny, że przyjdę - Maudie*. To wyglądało na sprawy sercowe i na jakieś rendez-vous, chociaż gdzie i kiedy miało się ono odbyć, pozostawało niewiadome. Policjant włożył z powrotem list do portfeliku i wraz z innymi rzeczami wsunął go do kieszeni płaszcza zmarłego. Ponieważ nic więcej nie przychodziło mi już na myśl, wróciłem do domu na śniadanie, zarządziwszy tylko, żeby dokładnie przeszukano okoliczne skały.

Po jakimś czasie przyszedł do mnie Stackhurst, by mi powiedzieć, że ciało zabrano do Gables, gdzie będzie prowadzone śledztwo. Przyniósł mi także kilka ważnych i dokładnych wiadomości. Tak jak się spodziewałem, w małych pieczarach pod

skalami nic nie znaleziono. Za to w papierach McPhersona Stackhurst natrafił na parę listów świadczących o zażyłej korespondencji z niejaką panną Maud Bellamy z Fulworth. A więc zidentyfikowaliśmy autorkę kartki.

— Policja zabrała listy - wyjaśniał Stackhurst - nie mogłem więc ich przynieść. Ale niewątpliwie nie była to przelotna miłośćka. Chyba jednak nie miała związku z wypadkiem, tyle że panna Bellamy wyznaczyła mu spotkanie.

— Ale przecież nie przy zalewie, w którym wszyscy się kąpiecie - zauważyłem.

— Tak, to tylko przypadek, że McPherson nie był w towarzystwie studentów.

— Czy to aby przypadek?

Stackhurst w zamyśleniu zmarszczył brwi.

— Zatrzymał ich Lewis Gryff - powiedział. - Uparł się, by przed śniadaniem zrobić wykład z algebry. Biedny chłop, strasznie go to wzięło.

— Przecież nie byli przyjaciółmi.

— Kiedyś nie. Ale mniej więcej od roku Graff żył tak blisko z McPhersonem, jak mu na to pozwalało jego dzikie usposobienie. Nie jest z natury zbyt towarzyski.

— Tak mi się zdawało. Przypominam sobie, że kiedyś opowiadał mi pan o kłótni między nimi o jakiegoś psa.

— To stara historia.

— Mogła pozostać chęć zemsty.

— Nie, nie; jestem pewien, że byli naprawdę przyjaciółmi.

— No dobrze; musimy wyjaśnić sprawę dziewczyny. Czy pan ją zna?

— Wszyscy ją znają. Jest tutejszą pięknoscią, zresztą prawdziwą pięknoscią, która wszędzie zwróciłaby uwagę. Wiedziałem, że podobała się McPhersonowi, ale nie wyobrażałem sobie, że sprawy zaszły tak daleko, jak to wynika z tych listów.

— A kim ona jest?

— Jest córką starego Toma Bellamy, właściciela wszystkich łodzi i budek kąpielowych w Fulworth. Bellamy zaczął kiedyś od



zwykłego rybaka, teraz jest dość zamożnym człowiekiem. Prowadzi interes z synem Williamem.

— Pójdziemy do Fulworth zobaczyć się z nimi?

— Pod jakim pretekstem?

— Och, trzeba znaleźć jakiś pretekst. Ostatecznie ten biedak nie pokaleczył się sam w tak okropny sposób. Ktoś trzymał rączkę bicia, oczywiście, jeśli te rany pochodzą od bicia. W tym odludnym miejscu McPherson musiał mieć niewielkie kółko znajomych. Zbadajmy je dokładnie, a na pewno znajdziemy motyw, który z kolei doprowadzi nas do zbrodniarza.

Spacer poprzez pachnące macierzanką pola Downs byłby naprawdę uroczy, gdyby nie nasze myśli zatrute tragedią, której staliśmy się świadkami. Miasteczko Fulworth leży w wygiętym łuku nad zatoką. Na stokach wzgórz, za starą rybacką wioską, wybudowano parę nowoczesnych domów. Stackhurst skierował się do jednego z nich.

- To jest „Przystań”, jak nazwał go Bellamy. Ten z narożną wieżyczką i łupkowym dachem. Nieźle jak na człowieka, który zaczął jedynie od... Na Boga, niech pan patrzy!

Furtka ogrodu „Przystani” otworzyła się i wyszedł z niej mężczyzna. Trudno było się mylić co do tej wysokiej, kanciastej, błędnej postaci. To był matematyk Lewis Gryff. W chwilę później staliśmy z nim na drodze oko w oko.

- Halo! - zawołał Stackhurst. Gryff skinął głową, spojrzał na nas z ukosa swymi dziwnymi „czarnymi oczami i byłby nas minął, gdyby go nie zatrzymał jego przełożony.

- Co pan tu robi? - zapytał.

Gryff zaczerwienił się ze złości.

- Pod pańskim dachem jestem pańskim podwładnym. Nie, zdaje mi się jednak, abym miał się panu tłumaczyć z moich prywatnych spraw.

Nerwy Stackhursta były napięte do ostatnich granic po tym, co przeszedł, gdyby nie to, byłby się pewnie powstrzymał. Teraz jednak zupełnie stracił panowanie nad sobą.

— W tych warunkach pańska odpowiedź jest po prostu

impertynencją, panie Gryff.

— Pańskie pytanie podpada pod ten sam nagłówek.

— Nie pierwszy to raz muszę być pobłażliwy dla pańskich wyskoków, ale za to ostatni. Proszę łaskawie postarać się o nową pracę, i to jak najszybciej.

— Właśnie chciałem to zrobić. Straciłem dziś jedyne go człowieka, który umożliwiał mi życie w Gables.

Odszedł wielkimi krokami, Stackhurst zaś stał i patrzył za nim gniewnym wzrokiem.

- To jest niemożliwy człowiek) nie do wytrzymania! - wykrzyknął..

Zaczęła prześladować mnie uporczywa myśl, że Lewis Gryff chwycił się lada pretekstu, by utorować sobie drogę ucieczki z miejsca zbrodni. Podejrzenie, zrazu mgliste i niejasne, teraz przybierało wyraźne kształty. Być może, wizyta u Bellamych rzuci dodatkowe światło na tę sprawę. Stackhurst uspokoił się wreszcie i ruszyliśmy w stronę domu.

Bellamy, mężczyzna w średnim wieku, z płomiennorudą brodą, był chyba w bardzo złym humorze, bo twarz miał prawie tak czerwoną jak włosy.

- Nie życzę sobie żadnej rozmowy na ten temat. Mój syn... - tu wskazał na krzepkiego młodzieńca o twarzy tępej i odpychającej, który siedział w rogu bawialni - podziela moje zdanie, iż McPherson miał niecne zamiary w stosunku do Maud. Tak, słowo „małżeństwo” nigdy nie padło między nimi, a jednak wymieniali listy, spotykali się i byli w zażyłości, z którą żaden z nas nie mógł się pogodzić. Maud nie ma matki i my jesteśmy jedynymi jej opiekunami. Jesteśmy zdecydowani...

Wejście samej panny Bellamy przerwało ten monolog. Trudno było zaprzeczyć, że jej osoba dodałaby blasku każdemu, najświetniejszemu nawet towarzystwu. Kto by przypuścił, że na takiej glebie i w takiej atmosferze może wyrosnąć równie rzadki kwiat? Kobiety na ogół nie robiły na mnie wrażenia, gdyż mój umysł, panował zawsze nad sercem, lecz patrząc na jej doskonale wyrzeźbioną twarz, zawierającą w swym pastelowym kolorycie całą miękka świeżość Downs, zdawałem sobie sprawę, iż żaden mężczyzną nie przejdzie obok niej obojętnie. Otworzyła teraz drzwi i stała przez Stackhurstem z szeroko otwartymi oczami i skupionym spojrzeniem.

— Już wiem,- że Fitzroy nie żyje - powiedziała. - Nie lękajcie się opowiedzieć mi szczegółów.

— Ten twój drugi facet przyniósł nam wiadomość - wyjaśnił jej ojciec.

— Nie widzę powodu, dla którego miesza się moją siostrę w

tę całą sprawę - warknął młodzieniec.

Dziewczyna rzuciła mu krótkie, ostre spojrzenie.

- To moja rzecz, Williamie. Pozwól łaskawie, że ją sama załatwię. Zdaje mi się, iż popełniono tu zbrodnię. Jeśli tylko będę mogła pomóc w wykryciu zabójcy, będzie to najmniejsza rzecz, jaką mogę uczynić dla zmarłego.

Wysłuchiwała krótkiego sprawozdania Stackhursta w spokojnym skupieniu, które dowiodło mi, że przy wielkiej piękności posiadała także silny charakter. Maud Bellamy pozostanie na zawsze w mej pamięci jako najdoskonalsza z kobiet. Musiała znać mnie z widzenia, bo przy końcu opowiadania zwróciła się do mnie.

- Niech pan odda złoczyńców w ręce sprawiedliwości, panie Holmes. Może pan być pewny, że panu pomogę niezależnie od tego, kim by mieli być.

Zdawało mi się, że przy tych słowach spojrzała zaczepnie na ojca i brata.

— Dziękuję pani - rzekłem. - W tego rodzaju okolicznościach doceniam instynkt kobiecy. Powiedziała pani „oni”. Czy pani przypuszcza, że zamieszana jest w to więcej niż jedna osoba?

— Dość dobrze poznałam pana McPhersona i wiem, że był silny i odważny. Nie wyobrażam sobie, by jeden człowiek mógł go tak pokaleczyć.

— Czy mógłbym zamienić z panią parę słów na osobności?

— Proszę cię, Maud, nie mieszaj się w tę sprawę - ze złością krzyknął jej ojciec.

Spojrzała na mnie bezradnie.

— Co mam zrobić?

— I tak tajemnica wyjdzie niebawem na jaw, nie zaszkodzi więc, jeśli pomówimy tutaj:- odrzekłem. - Wolałbym wprawdzie rozmawiać z panią w cztery oczy, skoro jednak pani ojciec sprzeciwia się temu, będziemy musieli dopuścić go do narady. - I powiedziałem o liściku, który znaleziono w kieszeni zmarłego. - Na pewno wyda się to na śledztwie. Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie sprawy tego liściku, oczywiście, jeśli pani może?

— Nie ma tu nic do ukrywania. Byliśmy zaręczeni, a trzymaliśmy to w tajemnicy jedynie dlatego, że wuj Fitzroya, stary już i bliski śmierci, mógłby go wydziedziczyć, gdybyśmy się pobrali wbrew jego woli.. To był jedyny powód.

— Mogłaś nam była powiedzieć - mruknął pan Bellamy,

— Powiedziałabym, ojcze, gdybyś mu okazywał więcej życzliwości.

— Nie życzę sobie, by moja córka przestawała z ludźmi z innego środowiska.

— Tylko twoje uprzedzenie do niego powstrzymywało nas od szczerości. Co do spotkania... - poszperała w fałdach sukni i wyciągnęła zmięty bilecik - wyznaczyłam je w odpowiedzi na to.

— „Najmilsza” - przeczytałem - „we wtorek na plaży, na zwykłym miejscu, zaraz po zachodzie słońca. Wcześniej nie będę wolny, F. M.”

— Wtorek to dziś; miałam się z nim spotkać wieczorem. Odwróciłem papier.

— List nie przyszedł pocztą. Jak pani go dostała?

- Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie. To naprawdę nie ma nic wspólnego ze sprawą, którą pan bada. Ale chętnie odpowiem na wszystko, co może jej dotyczyć.

Dotrzymała słowa, nie powiedziała jednak już nic, co mogłoby nam pomóc. Nie przypuszczała - przynajmniej nic na to nie wskazywało - aby jej narzeczony miał ukrytego wroga, przyznała jednak, że ona miała wielu gorących wielbicieli.

- Pozwoli pani zapytać, czy pan Lewis Gryff był jednym z nich?

Zaczerwieniła się i wyglądała na zmieszaną.

- Był czas, kiedy myślałam, że tak. Ale to się zmieniło, odkąd się dowiedział o stosunkach łączących mnie z Fitzroyem.

I znowu cień spoczywający na tym dziwnym człowieku zaczął w mych oczach przybierać bardziej konkretne kształty. Trzeba zbadać jego przeszłość - myślałem - dyskretnie przeszukać jego mieszkanie. Stackhurst chętnie mi pomoże, bo i w jego umyśle powstały podejrzenia. Wracaliśmy z naszej wizyty przekonani, że już trzymamy w rękach jeden koniec nici,

Minał tydzień. Śledztwo nie rzuciło żadnego światła na sprawę i zostało odłożone do czasu uzyskania dalszych poszlak. Stackhurst przeprowadził dyskretny wywiad o swoim podwładnym; przeszukano też pobieżnie jego mieszkanie, lecz bez rezultatu. Jeśli chodzi o mnie, obszedłem raz jeszcze miejsce zbrodni i przemyślałem wszystko od nowa - także bez rezultatu. W całej kronice moich przygód czytelnik nie znajdzie drugiej sprawy, wobec której czułbym się aż tak bezradny. Nawet moja wyobraźnia nie mogła mi podsunąć rozwiązania tajemnicy. Wtedy zaszedł wypadek z psem.

Pierwsza dowiedziała się o tym moja stara gospodyni, owymi dziwnymi drogami, jakimi ludzie tego pokroju dowiadują się o wszystkich wydarzeniach w okolicy.

- Smutna historia z tym psem pana McPhersona - powiedziała pewnego wieczoru.

Zazwyczaj nie podtrzymuję takich rozmówek, ale jej słowa przykuły moją uwagę.

— Co się stało z psem pana McPhersona?

— Zdechł. Zdechł z żalu za swoim panem.

— Kto pani o tym powiedział?

— Jak to kto? Wszyscy o tym mówią. Strasznie rozpacział, nie jadł nic przez tydzień. A dziś dwóch młodych panów z Gables znalazło go zdechłego - tam na plaży, na tym samym miejscu, gdzie zginął jego pan.

„Na tym samym miejscu”. Słowa te utkwily mi w mózgu.

Doznałem jakiegoś mglistego wrażenia, że ten fakt ma kapitalne znaczenie. To, że pies zdechł, było zgodne z piękną, wierną psią naturą. Ale „na tym samym miejscu”! Dlaczego samotna plaża pod Gables miałyby być dla niego fatalna? Czy to możliwe, żeby on także miał paść ofiarą jakiejś okrutnej zemsty? Czy to możliwe...? Tak, wrażenie było mgliste, ale coś już zaczynało kiełkować w moim mózgu. Parę minut później spieszyłem do Gables. Stackhursta zastałem w gabinecie. Na moją prośbę posłał po Sudburyego i Blounta, dwóch studentów, którzy znaleźli psa.

- Tak, leżał na brzegu zalewu - powiedział jeden z nich.

- Musiał pobiec po śladach swego zmarłego pana.

Obejrzałem wierne zwierzę, airdaleterriera, leżącego na chodniku w holu. Był zimny i sztywny, oczy miał wytrzeszczone, łapy wykręcone w skurczu. Z całej postaci wyzierał ból.

Z Gables poszedłem nad zalew. Słońce stało nisko i cień wielkiej skały na połyskującej matowo wodzie kładł się czarno jak ołowiana płyta. Na plaży nie było żywego ducha, tylko dwie mewy kołowały piszcząc nad moją głową. W gasnącym świetle z trudnością rozróżniałem niewielkie ślady psich łap na piasku obok glazu, na którym jego pan kiedyś położył ręcznik. Przez długi czas stałem głęboko zamyślony, a cienie wokół mnie gęstniały coraz bardziej. Myśli jedna za drugą przebiegały mi przez głowę. Znacie to koszmarnie uczucie, kiedy się wie, że coś niesłychanie ważne, czego się szuka, - jest tuż, tuż, lecz nie

można tego uchwycić. To właśnie czułem, gdy stałem samotnie w miejscu tragedii. Wreszcie zawróciłem i powoli poszedłem do domu.

Byłem akurat na szczycie ścieżki, kiedy olśniła mnie pewna myśl. Nagle uświadomiłem sobie to, czego tak żarliwie i bezskutecznie szukałem. Jeśli Watson nie pisał swej kroniki nadaremnie, to moim czytelnikom wiadomo chyba, że posiadam ogromny zasób różnych wiadomości, zupełnie nie usystematyzowanych, lecz jakże przydatnych w mojej pracy. Mój umysł przypomina szafę biblioteczną, zapchaną bez ładu i składu różnymi foliałami

- jest ich tyle, że mam słabe tylko pojęcie o tym, co zawierają. Czułem przez cały czas, iż tkwi tam coś, co ma związek ze sprawą. Nie miałem jeszcze wyjaśnienia, ale już wiedziałem, gdzie go szukać. Koncepcja była monstualna i niewiarygodna, jednak mimo wszystko możliwa. Czułem, że będę ją musiał dokładnie przeanalizować.

W moim małym domu jest wielka mansarda zapchana książkami. Poszedłem tam i szperałem przez godzinę. W końcu wynurzyłem się z czekoladowo-srebrnym tomikiem w ręku. Gorączkowo przerzucałem rozdział, którego treść niejasno pamiętałem. Tak, rzeczywiście, moje przypuszczenie było arcyśmiała i nieprawdopodobne, nie spocznię jednak,- póki się nie przekonam, czy nie jest prawdziwe. Położyłem się późno, mając myśli zajęte pracą, która mnie rano czekała.

Niestety, przeszkodzono mi w przykry sposób. Ledwie bowiem zdążyłem przełknąć poranną filiżankę herbaty i właśnie wybierałem się na plażę, gdy zjawił się inspektor Bardl z policji w Sussex - spokojny, solidny, powolny człowiek o myślących oczach. Patrzył dziś na mnie z głębokim zakłopotaniem.

— Wiem, że pan ma wielkie doświadczenie - powiedział. - Moja wizyta jest zupełnie nieoficjalna i wolałbym, aby pozostała w tajemnicy. Ale mam poważne trudności ze sprawą McPhersona. Nie wiem czy aresztować, czy nie.

— Myśli pan o Gryffie?



— Tak, sir. Nie ma nikogo innego, kogo można by posądzić. To są plusy tego pustkowiec; poszukiwania prowadzą się do bardzo małego kręgu osób. Jeśli on tego nie zrobił, to kto?

— Jakże ma pan dowody przeciwko niemu?

Okazało się, że Bardl błędził po tych samych bezdrożach, po których błędziłem i ja. A więc: charakter Gryffa i tajemnica, która zdawała się go otaczać, jego wybuchy wściekłości, które wyszły na jaw po incydencie z psem, fakt, że kiedyś kłócił się z McPhersonem i że mógł mieć do niego żal z powodu powodzenia u panny Bellamy. Bardl miał wszystkie moje dane, nie przyniósł jednak nic nowego poza wiadomością, iż Gryff szykuje się do wyjazdu.

— Jak ja będę wyglądał, jeśli pozwolę mu się wymknąć, gdy na nim ciążyą wszystkie poszlaki? - Tęgi, flegmatyczny mężczyzna tracił równowagę ducha.

— Niech się pan zastanowi - powiedziałem - nad wszystkimi lukami w pańskim rozumowaniu. Na ów ranek Gryff ma niezbite alibi. Do ostatniej chwili był ze studentami i nadszedł ku nam od strony Gables w parę minut po „znalezieniu” McPhersona. Niech pan też weźmie pod uwagę, że jest rzeczą zupełnie niemożliwą, aby Gryff sam jeden mógł tak poranić mężczyznę równie silnego. Pozostaje jeszcze kwestia narzędzia, którym zadano rany.

— To musiał być bicz albo jakaś giętka szpicruta.

— Czy dokładnie obejrzał pan ślady? - spytałem.

— Widziałem je Doktor też.

— Ale ja obejrzałem je bardzo dokładnie przez szkło powiększające. To nie są normalne ślady razów..

— Dlaczego, panie Holmes?

Podszedłem do biurka i wyciągnąłem powiększoną fotografię.

— To jest moja metoda w tego rodzaju sprawach - wyjaśniłem.

— Pracuje pan nadzwyczaj skrupulatnie, panie Holmes.

- Nie byłbym tym, kim jestem, gdybym tego nie robił. Przyjrzyjmy się teraz tej prędze, która biegnie wokół prawego barku. Czy nie widzi pan nic szczególnego?

— Chyba nie.

— Wyraźnie widać, że głębokość przecięcia nie jest jednakowa. Tutaj mamy większą plamę krwi. I tu też. Ta druga rana, tu niżej” wygląda tak samo. Co to może znaczyć?

— Nie mam pojęcia. Czy pan wie?

— Może wiem, a może nie wiem. Niedługo będę mógł więcej na ten temat powiedzieć. Jeśli będziemy wiedzieli, co pozostawiło te ślady, będziemy już blisko zbrodniarza.

— To jest oczywiście głupi pomysł - powiedział policjant - ale gdyby przycisnąć do pleców rozgrzaną do czerwoności siatkę, to te głębiej rozranione miejsca wypadłyby na skrzyżowaniu drutów.

— Doskonale porównanie. Albo, na przykład, bardzo sztywna dziewięciopalczysta dyscyplina z ostrymi węzłkami?

— Na Boga, sir. Myślę, że pan trafił!

— Ale to również może być zupełnie coś innego, panie Bardl. W każdym razie pańskie poszlaki są za słabe, aby zdecydować się na aresztowanie. Poza tym ostatnie słowa - „lwia grzywa”.

— Zastanawiałem się, czy Lewis Gry...

— Tak, ja też brałem to pod uwagę. Gdyby pierwszy wyraz wykazywał choć trochę podobieństwa do „Lewis”. Ale nie. On to prawie krzyczał. Jestem pewien, że powiedział „lwia”.

— Czy ma pan inną koncepcję, panie Holmes?

— Może mam. Ale nie chcę jej omawiać, póki nie zdobędę pełnego materiału.

— Kiedy to nastąpi?

— Za godzinę, może wcześniej.

Bardl potarł podbródek i spojrzał na mnie niepewnie.

— Chciałbym wiedzieć, o czym pan myśli, panie Holmes. Czy to chodzi o te rybackie łodzie?,

— Nie, nie Były za daleko.

— No, dobrze, więc może Bellamy i ten jego krzepki synalek? Nie bardzo kochali pana McPhersona Mogli mu zrobić krzywdę.

— Nie, nie. Nic pan ze mnie nie wyciągnie, dopóki nie będę gotów - powiedziałem z uśmiechem - A teraz, panie inspektorze, każdy z nas ma swoją robotę. Cdyby pan chciał spotkać się tu ze mną w południe...?

W tym momencie zaszedł wstrząsający wypadek, który był początkiem końca.

Drzwi wejściowe mojego domu rozwarły się gwałtownie. Z - korytarza doleciały nas chwiejne kroki i Lewis Gryff, blady, rozczochrany, w rozchełstany odzieniu, wtoczył się do pokoju, czepiając się mebli kościstymi rękami, aby nie upaść,

- Koniaku! Koniaku! - wyszeptał i z jękiem runął na sofę.

Nie przyszedł sam. Za nim wbiegł Stackhurst, bez kapelusza, zadyszany i prawie tak roztrzęsiony jak tamten.

- Tak, tak, koniaku! - wykrzyknął. - On ledwie żyje. Z trudem go tu przyprowadziłem. Dwa razy zemdlął mi w drodze.

Pół szklaneczki czystego spirytusu dało zadziwiający efekt. Gryff uniósł się na jednej ręce i zsunął marynarkę z ramion.

- Na miłość boską! Oliwy, opium, morfiny! - wołał. - Dajcie mi coś, co uspokoi ten ból!

Inspektor i ja krzyknęliśmy głośno. Na nagim ramieniu Gryffa krzyżowały się zaognione pręgi, tworząc ten sam czerwony wzór, który był śmiertelnym piętnem Fitzroya McPhersona.

Ból musiał być straszny, i to nie tylko poranionej skóry, bo nieszczęśnik na chwilę przestał oddychać, twarz mu szerniała, a potem głośno chwytając powietrze złapał się ręką za serce. Z czoła spływały mu krople potu. Lada chwila mógł skonać. Laliśmy mu w gardło coraz więcej koniaku, a każda

porcja wracała mu siły. Tampony waty zmoczonej w oliwie uśmierzały ból dziwnych ran. W końcu głowa Gryffa opadła ciężko na poduszkę. Wyczerpany organizm szukał schronienia w życiodajnym śnie. Był to pół sen, pół omdlenie, ale przynajmniej stanowił ucieczkę od cierpienia.

Nie można było pytać go o nic, więc gdy tylko uspokoił się co do jego stanu, Stackhurst zwrócił się do mnie.

- Boże! Co to znaczy, Holmes? Co to znaczy?

- Gdzie go pan znalazł?

— Na plaży. Dokładnie tam, gdzie zginął biedny McPherson. Gdyby Gryff miał tak słabe serce jak McPherson, nie byłby teraz tutaj. Parę razy myślałem, że już po nim, gdy go tu prowadziłem. Przyszedłem do pana, bo do Gables jest dalej

— Spostrzegł go pan na plaży?

— Szedłem ścieżką po skałach i nagle usłyszałem, że ktoś krzyczy. Gryff stał nad brzegiem chwiejąc się jak pijany. Zbiegłem na dół, okryłem go, jak się dało i przywlokłem tutaj. Na miłość boską, Holmes, niech pan użyje wszystkich swoich sił i nie szczędzi trudu, ale niech pan zdejmie klątwę z tej okolicy, bo życie tutaj stało się już niemożliwe. Czyż pan, sławny na cały świat, nie może nic dla nas zrobić?

— Myślę, że mogę. Chodźcie ze mną! Pan, inspektorze, też! Zobaczmy, czy nam się uda oddać zbrodniarza w pańskie ręce.

Zostawiwszy nieprzytomnego Gryffa pod opieką mojej gospodyni poszliśmy we trójkę do fatalnego zalewu. Na żwirze plaży leżała kupka odzieży i ręczników pozostawionych przez biednego Gryffa. Powoli szedłem nad brzegiem wody, a moi towarzysze kroczyli za mną gęsiego. Większa część zalewu była zupełnie płytka, tylko pod skałą, tam gdzie woda podmyła brzeg, dno schodziło głębiej. Oczywiście, tam musiał kierować się każdy pływak, przyciągnięty czystą jak kryształ, zielonkawą i przezroczystą wodą. Obrzeżały ją wielkie głazy spoczywające u podnóża skał. Poszedłem wzdłuż nich, uważnie wpatrując się w

głębiej pode mną. Doszedłem do najgłębszej i najspokojniejszej części zalewu, aż wreszcie ujrzałem to, czego szukałem, i wtedy krzyknąłem tryumfalnie.

- Cyanea, cyanea! Patrzcie na lwią grzywę!

Dziwna rzecz, którą wskazywałem, wyglądała rzeczywiście jak masa splątanych kudłów wydartych z grzywy lwa. Leżała na półce skalnej, jakieś trzy stopy pod wodą; niesamowity, falujący, włochaty stwór z pasmami srebra wśród żółtych kosmyków. Pulsował w wolnych, ospałych kurczach i rozkurczach.

- Dość złego zrobił. Teraz już koniec! - wołałem. – Niech mi pan pomoże. Stackhurst! Skończymy na zawsze z mordercą!

Akurat nad podwodną półką leżał wielki głaz. Pchaliśmy go dopóty, dopóki ze strasznym pluskiem nie wpadł do wody. Kiedy fale wreszcie się uspokoily, zobaczyliśmy, że trafił w półkę. Jeden brzeg trzepoczącej się, żółtej błony wskazywał, że nasza ofiara spoczęła pod nim. Gęsta, oleista piana, sącząc się spod głazu i plamiąc wodę, powoli wypływała na powierzchnię.

— A to dopiero! - zawołał inspektor. - Co to było, panie Holmes? Urodziłem się w tych stronach i wychowałem tutaj, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego. To nie jest z Sussex.

— Tym lepiej dla Sussex - zauważyłem. - Pewnie, ten południowo-wschodni wiatr ją przygnał. Chodźcie obaj do mnie, a przeczytam wam wspomnienia człowieka, który ma powody, aby przez całe życie pamiętać spotkanie z tym postrachem mórz.

Gdy powróciliśmy do mego gabinetu, Gryff czuł się na tyle dobrze, że mógł już siedzieć. Był jednak jeszcze ciągle oszołomiony i od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz bólu. Urywanymi słowami wyjaśnił, iż nie wie, co się z nim stało. Nagle chwyciły go straszne bóle i potrzebował całego hartu ducha żeby się wydostać na brzeg.

— Tutaj macie książkę - powiedziałem, biorąc mały

tomik - która pierwsza rzuciła światło na to, co mogło na zawsze pozostać tajemnicą. To są „Dalekie strony”, napisane przez znanego badacza J. G. Wooda. Wood sam omal nie zginął przy spotkaniu z tą bestią, tak że pisał z całkowitą znajomością rzeczy. *Cyanea capillata* - tak brzmi nazwa potwora. Spotkanie z nim jest równie niebezpieczne, jak ukąszenie kobry, a przy tym dużo boleśniesz. Pozwólcie mi przeczytać wyjątek.

— „Jeśli pływak ujrzy okrągłą, luźną masę brązowych błon i włókien, coś, co przypomina pęk kudłów z lwiej grzywy oraz ścinki srebrnego papieru, niech się strzeże, bo to jest straszna, parząca *cyaneą capillata*”. Czy można lepiej opisać naszą złowrogą znajomą?

— Dalej Wood opowiada swe własne spotkanie z *cyaneą*, gdy wypłynął daleko, kąpiąc się przy brzegach Kentu. Stwierdził, że rozpościera ona prawie niewidzialne nitki w promieniu pięćdziesięciu stóp i że każdy, kto znajduje się w tej odległości od samego stworzenia jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Właśnie przy tej odległości Wood omal nie zginął spotkawszy się z potworem. Wskutek zetknięcia się z licznymi nitkami, na skórze występują jasnoczerwone pręgi. Dokładne badania wykazały, że składają się one z maleńkich plamek, z których każda zawiera czerwoną igielkę wnikającą w głąb ciała.

— Ból zranionych miejsc jest, jak wyjaśnia Wood, najmniejszym jeszcze cierpieniem. „Bóle przesywające pierś sprawiły, że upadłem jak trafiony kulą. Gdy kurcze minęły, serce uderzyło mi ciężko sześć czy siedem razy, jakby chciało wyskoczyć z piersi”. Omal go tonie zabiło, choć spotkał się z *cyaneą* na sfalowanych wodach oceanu, a nie w spokojnym, ciasnym zalewie. Opowiada, że potem z trudem poznał sam siebie, tak bladą, wykrzywioną i pomarszczoną miał twarz. Pił koniak, całą butelkę, i to, zdaje się, uratowało mu życie. Proszę, inspektorze, oto książka. Niech ją pan przejrzy, a stwierdzi pan, że zawiera pełne wyjaśnienie tragedii biednego McPhersona.

— A przy okazji oczyszcza mnie - zauważył Gryff z

kwaśnym uśmiechem. - Nie mam pretensji do pana, inspektorze, ani do pana, panie Holmes; wasze podejrzenia były uzasadnione. Czuję, że w przeddzień aresztowania oczyściłem się z podejrzeń tylko przez to, że częściowo podzieliłem los mego biednego przyjaciela.

— Nie, panie Gryff. Wpadłem już na ślad i gdybym wyszedł tak wcześnie, jak zamierzałem, pewnie bym pana uchronił przed tą przykrą przygodą.

— Ale jak pan się domyślił?

- Jestem wszytkożernym czytelnikiem i mam pamięć wrażliwą na szczegóły. Ten okrzyk: „lwia grzywa” prześladował mnie. Wiedziałem, że gdzieś czytałem takie słowa, w jakimś niezwykłym zestawieniu. Zauważyliście, że pasują one do wyglądu stworzenia. Jestem pewny, że potwór unosił się na wodzie, gdy go McPherson zobaczył, i że słowami „lwia grzywa” chciał przestrzec nas przed bestią, która go zabiła.

- Tak więc, ostatecznie, jestem oczyszczony z podejrzeń - powiedział Gryff, wstając powoli. - Winienem jeszcze małe wyjaśnienie, bowiem, w którą stronę kierowaliście swe poszukiwania. - To prawda, że kochałem pannę Bellamy, ale od dnia, w którym wybrała McPhersona, myślałem tylko o ich szczęściu. Byłem zadowolony; że mogłem stać z boku i pośredniczyć im, Często prznosiłem listy. Byłem ich powiernikiem, a ponieważ ona była mi bardzo droga, pobiegłem zawiadomić ją o śmierci McPhersona”, aby kto inny nie zrobił tego w sposób mniej oględny. Maud nie powiedziała panu o naszych stosunkach bojąc się, że je pan źle oceni, a ja będę cierpiał. Jeśli pan pozwoli, spróbuję wrócić do Gables, bo chętnie położyłbym się do łóżka. Stackhurst wyciągnął do niego rękę.

- Nasze nerwy były napięte do ostateczności - powiedział. - Niech pan zapomni o tym, co było, Gryff. W przyszłości będziemy się wzajem lepiej rozumieć.

Wyszli razem, przyjacielsko trzymając się pod rękę.

Inspektor pozostał, patrząc na mnie w milczeniu cielecym wzrokiem.

- No, tak, rozwiązał pan zagadkę! - zawołał wreszcie. -  
Czytałem o panu, ale nie wierzyłem. To było wspaniałe!

Musiałem potrząsnąć głową. Przyjęcie takiej pochwały byłoby obniżeniem własnego poziomu.

- Byłem zbyt powolny, karygodnie powolny. Gdyby ciało znaleziono, w wodzie, od razu wpadłbym na właściwy pomysł. To ręcznik mnie zmylił. Biedak nie myślał nawet, aby się wytrzeć, a” ja dlatego sądziłem, że w ogóle nie był w wodzie. Jakże więc mogłem przypuszczać, że zaatakowało go stworzenie wodne? W tym miejscu zbłądziłem. Tak, tak, inspektorze, ośmielałem się często kpić z panów z policji i oto *cyanea capillata* omal nie pomściła Scotland Yardu.

*Przeł Tadeusz Evert*



## NAKRAPIANA

### PRZEPASKA NIESIE ŚMIERĆ

Przeoglądałam swe notatki, obejmujące siedemdziesiąt jakże oryginalnych wypadków, - w których toku na przestrzeni ubiegłych ośmiu lat przestudiowałam metody działania mego przyjaciela Sherlocka Holmesa! Znalazłem tam wiele spraw tragicznych, kilka nie pozbawionych aspektu humorystycznego, wreszcie sporą ilość zasługujących jedynie na miano dziwaczych, lecz ani jednej banalnej. Holmes bowiem powodował się w swej pracy umiłowaniem dla sztuki, a nie chęcią zdobycia bogactw. Dlatego też nigdy nie chciał zajmować się dochodzeniami, które by nie dotyczyły czegoś niezwykłego czy też wręcz fantastycznego. Wśród wszystkich jednak tych przeróżnych przypadków nie pomnę bardziej osobliwego niż sprawa wiążąca się z dobrze znaną w Surrey rodziną Roylott ze Stoke Moran. Akcja sprawy rozegrała się w początkowym stadium mojej przyjaźni z Holmesem, kiedy jako kawalerowie zajmowaliśmy wspólne mieszkanie na Baker Street. Niewykluczone, iż mógłbym ją wcześniej umieścić w swym zbiorze, lecz w owym czasie zobowiązałem się zachować wszystko w tajemnicy. Zwolniła mnie od tego dopiero w ostatnim miesiącu przedwczesna śmierć owej lady, której właśnie złożyłem to przyrzeczenie. Obecnie sprawa ujrzy światło dzienne. I chyba dobrze się stanie. Jak się bowiem okazało, odnośnie do śmierci dr. Grimesby Roylotta szerzyły się pogłoski przedstawiające zdarzenie w o wiele straszniejszych barwach, niż było to w rzeczywistości.

Zdarzyło się to w kwietniu 1883 roku. Obudziłem się bardzo wcześnie rano i spostrzegłem Sherlocka Holmesa zupełnie już ubranego stojącego obok mego łóżka. Z reguły wstawał on późno, a tymczasem, jak wskazywał zegar stojący na gzymsie kominka, było dopiero kwadrans po siódmej. Mrużąc oczy, spojrzałem nań ze zdumieniem, a nawet może trochę z niechęcią, ponieważ lubiłem się trzymać swoich obyczajów.

- Bardzo mi przykro, Watsonie, że cię obudziłem - rzekł -

lecz dziś nam wszystkim przypadło to w udziale. Najpierw ktoś obudził panią Hudson, ona z kolei mnie, a ja ciebie.

— Co się stało? Pali się?

— Nie! To klient. Młoda dama. Przybyła, jak mi się zdaje, w stanie największego wzburzenia, które zmusiło ją do znalezienia mnie. Teraz czeka w pokoju bawialnym. No cóż! Gdy młode damy rankiem o takiej godzinie przyjeżdżają do stolicy i wyciągają z łóżek śpiących ludzi, to najprawdopodobniej mają do zakomunikowania coś bardzo pilnego. Gdyby sprawa ta okazała się ciekawym przypadkiem, pragnąłbym śledzić tok wydarzeń od początku. W każdym razie sądziłem, że powinienem cię obudzić i dać ci okazję.

— Drogi przyjacielu! Za nic nie chciałbym jej stracić!

Cóż było dla mnie przyjemniejszego, jak towarzyszyć Holmesowi w jego zawodowych dochodzeniach i podziwiać bystry dedukcyjny sposób jego rozumowania, tak lotny i zarazem intuicyjnie wyczulony. Wnioski jednak zawsze opierały się na rzetelnej logice, przy pomocy której rozwiązywał zawile zagadki, jakie mu przedkładano.

W pośpiechu chwyciłem ubranie i po kilku minutach byłem już gotów towarzyszyć memu przyjacielowi. Zeszliśmy na dół do bawialni. Przy oknie siedziała dama w czarnej sukni, mocno zawoalowana. Skoro tylko weszliśmy, wstała.

- Dzień dobry pani! - rzekł Holmes pogodnie. – Nazywam się Sherlock Holmes. A oto mój zaufany przyjaciel i współnik, dr Watson, wobec którego może pani mówić tak swobodnie jak wobec mnie. O, bardzo mnie cieszy, że pani Hudson wpadła na myśl, by napalić w kominku. Proszę przysunąć się do niego, a ja każę pani podać filiżankę gorącej kawy. Widzę bowiem, że pani drży.

- Drzę nie z powodu zimna! - odrzekła cicho kobieta, zmieniając miejsce stosownie do rady Holmesa.

— Az jakiej przyczyny?

— Ze strachu, Mr. Holmes! Z przerażenia! - Mówiąc te słowa, zerwała woalkę. Mogliśmy naocznie przekonać się, iż rzeczywiście znajdowała się w politowania godnym stanie wzburzenia. Poszarzała, skurczona twarz o niespokojnych,

przerażonych oczach, podobnych do oczu szczonego zwierzęcia. Rysy twarzy i figura kobiety trzydziestoletniej, lecz włosy przedwcześnie szpakowate, a ruchy nieopanowane i zmęczone. Sherlock Holmes zbliżył się, obrzucając ją jednym ze swych szybkich, wszystko obejmujących spojrzeń.

— Proszę się nie obawiać! - powiedział łagodnie, pochylając się do przodu, gładząc lekko jej ramię. - Wkrótce uporządkujemy sprawy i wszystko, będzie dobrze. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Pani, jak widzę, przyjechała pociągiem.

— A więc pan mnie zna?

- Nie! Lecz zauważyłem drugą połowę powrotnego biletu, zatknęta za pani lewą rękawiczką. Musiała pani wcześniej wyjechać z domu i odbyć długą jazdę dwukołową bryczką po okropnych drogach, zanim dotarła pani na stację.

Kobieta poruszyła się gwałtownie i kompletnie zmieszana wlepiła w mego przyjaciela zdumiony wzrok.

- To nie czary, droga pani! - dodał Holmes ze śmiechem. - Lewy rękaw pani żakietu jest zabrudzony błotem co najmniej w siedmiu miejscach. Plamy są zupełnie świeże. Spośród wszystkich pojazdów konnych jedynie w dwukołowej bryczce można się w ten sposób pobrudzić, i to tylko wtedy, gdy siądzie pani z lewej strony obok woźnicy.

- Jakiekolwiek były pana przesłanki, odtworzył pan wszystko tak, jak było - przytaknęła. - Wyruszyłam z domu przed szóstą, dotarłam do Leatherhead dwadzieścia po szóstej. I przyjechałam pociągiem do Waterloo. Proszę pana, ja nie zniosę dłużej tego napięcia! Oszaleję, jeśli to potrwa dłużej! Nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić w tej sprawie, z wyjątkiem jednego człowieka, który troszczy się o mnie Ale on biedaczysko, niewiele może mi pomóc. Słyszałam o panu, Mr. Holmes. Słyszałam o panu od Mrs. Farintosh, której pan pomógł, gdy ona znalazła się niegdyś w okropnej sytuacji. Właśnie od niej mam pański adres. Och, proszę pana! Jak pan sądzi, czy mógłby mi pan pomóc i rzucić w końcu choćby nikły promień światła w gęste ciemności, jakie mnie otaczają? Obecnie byłoby ponad moje siły próbować wynagrodzić

pańskie usługi. Lecz w ciągu miesiąca lub dwu wyjdę za mąż i otrzymam wiano, zachowując kontrolę swych dochodów. Wówczas przekona się pan, że nie jestem niewdzięczna.

Holmes odwrócił się do biurka. Otworzył je i wyjął mały notatnik, którego rady często zasięgał.

— Farintosh - rzekł. - Ach tak! Pamiętam ten przypadek. Łączył się z tiarą z opali. To było chyba, zanim zaczęliśmy współpracować, Watsonie. Mogę tylko powiedzieć, proszę pani, że z radością poświęcę pani sprawie tyle samo starań co jej przyjaciółce. Co do wynagrodzenia, to samo wykonywanie mego zawodu stanowi dostateczne wynagrodzenie. Lecz naturalnie pozostawiam pani pełną swobodę pokrycia w czasie dla niej najbardziej odpowiednim ewentualnych wydatków, które bym poczynił. A teraz proszę opowiedzieć nam wszystko, co mogłoby pomóc w wyrobieniu sobie jasnego pojęcia o sprawie.

— Niestety! - odparł nasz gość. - Moje obawy są mgliste, a podejrzenia opierają się na całkowicie kruchych przesłankach, które osobom postronnym mogą wydawać się nieistotne. Toteż nawet ten spośród wszystkich, którego pomocy i rady mam prawo się spodziewać, uważa wszystko, co mu opowiadam na temat tej sprawy, za urojenia wrażliwej nerwowo kobiety. Nie mówi tego. Lecz myśl mogę wyczytać z łagodnych odpowiedzi i umykających spojrzeń. Otóż na tym polega cała groza mej sytuacji. Lecz słyszałam, Mr. Holmes, że pan potrafi zgłębić liczne tajniki i zło ludzkich serc. Pan mi zapewne poradzi, jak poruszać się wśród niebezpieczeństw, które mnie zewsząd otaczają.

— Słucham panią z największą uwagą!

— Nazywam się Helena Stoner. Mieszkam wraz z ojczymem, jedynym pozostałym przy życiu potomkiem jednej z najstarszych saksońskich rodzin w Anglii, Royslott ze Stoke Moran, na zachodnich rubieżach hrabstwa, Surrey.

Holmes skinął głową.

— Nazwisko nie jest mi obce - rzekł.

— Niegdyś ród ten należał do najbogatszych w Anglii. A włości rozciągały się poza granice w kierunku Serkshire na północy

i Hampshire na zachodzie. Jednak w ostatnim stuleciu czterech kolejnych dziedziców fortuny odznaczało się rozpustnym i utracjuszowskim trybem życia. A karciarz spowodował zupełny upadek w czasach regencji. Nic nie ocalało z wyjątkiem kilku akrów ziemi i starego, dwustuletniego domu, który zresztą jest obciążony hipotecznie do granic możliwości. Zamieszkał w nim ostatni dziedzic, wiodąc żałosny żywot biednego arystokraty. Jednak jego jedyny syn, a mój ojczym, zrozumiał, że musi się przystosować do nowych warunków. Dzięki radzie i pomocy krewnego został lekarzem i wyjechał do Kalkuty. Umiejętności zawodowe i siła charakteru pozwoliły mu na rozwinięcie tam rozległej praktyki. Ale w napadzie gniewu spowodowanego kradzieżą, jaka wydarzyła się w domu, zabił swego służącego tubylca i ledwo uniknął wyroku śmierci. W każdym razie skazano go na długoletnie więzienie. A po odbyciu kary wrócił od Anglii jako załamany i zrzedzący człowiek.

Będąc jeszcze w Indiach, dr Royslott ożenił się z moją matką, panią Stoner, młodą wdową po generale-majorze Stoner z Bengalskiej Artylerii. Moja bliźniacza siostra Julia i ja miałyśmy zaledwie po dwa lata, gdy mama wyszła powtórnie za mąż. Posiadała pokaźny kapitał, przynoszący co najmniej tysiąc funtów szterlingów rocznego dochodu, i w całości zapisała go w spadku dr. Royslottowi do chwili, gdy będziemy mieszkały wraz z nim, z zastrzeżeniem, iż każdej z nas w, wypadku małżeństwa przyznana zostanie pewna określona kwota rocznego dochodu.

Krótko po naszym powrocie do Anglii matka moja umarła. Zginęła osiem lat temu w wypadku kolejowym nie opodał Crewe. Dr Royslott poniechał prób rozwinięcia praktyki lekarskiej w Londynie i skłonił nas do zamieszkania z nim w starej rezydencji rodzinnej w Stoke Moran. Pieniądze pozostawione przez matkę wystarczały na wszelkie nasze potrzeby i wydawało się, że naszego szczęścia nic nie jest w stanie zakłócić!

W owym czasie jednak ojczym strasznie się zmienił. Zamiast nawiązywać przyjaźnie i wymieniać wizyty z sąsiadami, którzy zrazu cieszyli się, widząc znów Royslotta ze Stoke Moran w starej siedzibie rodowej, zamknął się w swym domostwie i rzadko zeń

wychodził. A gdy już to czynił, wywoływał gwałtowne kłótnie z każdym, kto stanął mu na drodze. Gwałtowne usposobienie graniczące z manią dziedziczyli wszyscy mieszkańcy tego rodu. U mojego ojczyrna cechy te występowały ze zwiększoną siłą prawdopodobnie wskutek długotrwałej bytności w tropikach. Dochodziło do wielu awantur, z których dwie zakończyły się na posterunku policji. W końcu stał się postrachem wioski i ludzie uciekali na sam jego widok. Był bowiem człowiekiem o niespotykanej sile i zupełnie nie umiał hamować swego gniewu.

W ubiegłym tygodniu rzucił miejscowego kowala przez poręcz mostu do rzeki. I jedynie dzięki odszkodowaniu, na które poszły wszystkie pieniądze, jakie tylko mogłam zebrać, udało się zapobiec dalszym nieprzyjemnościom. Zupełnie nie ma przyjaciół z wyjątkiem wędrownych Cyganów. Pozwala tym włóczęgom rozbijać obóz na kilku akrach ziemi pokrytej jeżynami i cierniami, stanowiącej pozostałość włości rodowych. A w zamian przyjmuje gościnę pod ich namiotami i wędruje czasem z nimi całymi, tygodniami. Znajduje również upodobanie w indyjskich zwierzętach, które specjalnie sprowadził. Obecnie trzyma geparda azjatyckiego i pawiana, chodzą one swobodnie po jego gruntach i stanowią postrach okolicznych chłopów, podobnie zresztą jak ich właściciel.

Z tego, co powiedziałam, może pan sobie wyobrazić, że ani moja siostra Julia, ani ja nie miałyśmy zbyt przyjemnego życia. Nikt ze służby nie mógł u nas wytrzymać i przez długi czas musiałyśmy same wykonywać wszelkie roboty domowe. Siostra liczyła w chwili śmierci trzydzieści lat, a już włosy poczęły jej siwieć, podobnie jak moje.

— A więc siostra pani nie żyje?

— Zmarła przed dwoma laty. I właśnie o jej śmierci pragnęłam mówić z panem. Jak się pan zorientował, prowadząc tego rodzaju tryb życia, nie miałyśmy właściwie żadnej okazji widywania jakichkolwiek rówieśników o równym nam poziomie. Mamy jednak ciotkę, niezamężną siostrę mojej matki, pannę Honorię Westpail. Mieszka ona nie opodal Harrow i czasami otrzymywałyśmy pozwolenie na krótkie odwiedziny w domostwie tej damy. Julia

wybrała się tam dwa lata temu na święta Bożego Narodzenia i poznała majora piechoty morskiej, w którym zakochała się. Ojczym dowiedział się o tym po jej powrocie do domu. Nie stawiał jednak żadnych przeszkód na drodze do małżeństwa. Lecz na dwa tygodnie przed ustaloną datą ślubu zdarzył się straszny wypadek, w następstwie którego utraciłam mą jedyną siostrę.

Dotychczas Sherlock Holmes spoczywał wygodnie w fotelu, mając oczy przymknięte i głowę wspartą na poduszczyku. Teraz jednak, na wpół otwierając powieki, przeszył gościa przenikliwym spojrzeniem.

— Proszę dokładnie opowiedzieć wszystko ze szczegółami - rzekł.

— Nie sprawi mi to trudności, gdyż wszelkie okoliczności, jakie miały wtedy miejsce, głęboko wryły mi się w pamięć. Dwór, jak już wspomniałam, jest bardzo stary i obecnie zamieszkujemy tylko jedno jego skrzydło. Sypialnie umieszczone są w tym skrzydle na parterze, a pokoje bawialne znajdują się w centralnym bloku kompleksu budynków. Pierwszy z pokoi sypialnych należy do dr. Roylotta, drugi należał do mojej siostry, a trzeci do mnie. Wszystkie wychodzą na ten sam korytarz, lecz między sobą nie mają żadnych połączeń. Czy opisuję to w zrozumiały sposób?

— Najzupełniej.

— Pod oknami wszystkich trzech pokoi rozciągał się trawnik. Owej nieszczęsnej nocy dr Roylott udał się wcześniej do sypialni. Wiedziałyśmy jednak, że nie poszedł spać, gdyż siostra poczuła przykry dla niej dym niezwykle mocnych cygar indyjskich, jakie miał zwyczaj palić. Dlatego właśnie opuściła swój pokój i przyszła do mnie. Przez jakiś czas siedziałyśmy, gawędząc o jej nadchodzącym ślubie. O jedenastej godzinie zamierzała mnie opuścić, lecz odwracając się przy drzwiach, przystanęła.

— Powiedz, Heleno - rzekła - czy nigdy nie dochodziły cię wśród głębokiej ciszy nocnej jakieś gwizdy?

— Nigdy - odparłam.

- Nie sądzę, żebyś to ty gwizdała przez sen?

— Na pewno nie! Lecz dlaczego o to pytasz?

— Ponieważ w ciągu ostatnich kilku nocy około trzeciej godziny zawsze słyszałam cichy wyraźny gwizd. Odgłos ten budził mnie, gdyż mam lekki sen. Nie mam pojęcia, skąd dochodził: może z sąsiedniego pokoju albo też od strony trawnika. Właśnie chciałam cię spytać, jeży ty niczego nie słyszałaś.

— Nie, nie słyszałam. Zapewne to ci nikczemni Cyganie z obozu..

— Bardzo możliwe. Jeśli jednak odgłosy pochodziły od strony trawnika, dziwię się, że ty nic nie słyszałaś.

- Ach, przecież śpię znacznie mocniej niż ty.

- No dobrze! Ostatecznie nie ma to większego znaczenia - uśmiechnęła się do mnie, zamykając drzwi, a w chwilę potem usłyszałam odgłos przekręcanego przez nią klucza w zamku.



- Być może - rzekł Holmes. - Czy panie miały zwyczaj zawsze zamykać się na noc na klucz.

- Zawsze.

— A dlaczego?

— Zdaje się, wspomniałam panu, że doktor trzymał geparda i pawiana. Nie czułyśmy się bezpiecznie, dopóki drzwi nie były zamknięte na klucz.

— Oczywiście. Proszę, niech pani opowiada dalej.

— Owej nocy nie mogłam zasnąć. Przytłaczało mnie nieokreślone uczucie nadchodzącego nieszczęścia. Siostra i ja, jak pan wie, byłyśmy bliźniaczkami. Zapewne zna pan również subtelne więzy łączące dwie dusze tak mocno ze sobą zjednoczone. Straszna to była noc. Wiatr wył na dworze, a deszcz zacinał, rozbryzgując się o szyby. Nagle wśród szumu i wycia wichru rozległ się rozdzierający krzyk przerażonej kobiety. Poznałam głos mojej siostry. Wskoczyłam z łóżka, owinęłam się szalem i wybiegłam na korytarz. W chwili gdy otwierałam drzwi mego pokoju, wydało mi się, że słyszę cichy gwizd podobny do tego, jaki opisała moja siostra. A po chwili rozległ się głośny łoskot, jakby zwała się jakaś sterta żelastwa. Kiedy jednak, dotarłam do pokoju siostry, drzwi okazały się nie zamknięte na klucz i łatwo otworzyły się. Moim zdumionym oczom ukazała się wstrząsająca scena. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co począć. Otóż w świetle lampy korytarzowej na pierwszym planie ujrzałam rnoją siostrę z twarzą pobladłą wskutek okropnego przerażenia. Jej ręce niepewnie, jakby po omacku szukały pomocy. Chwiała się przy tym na wszystkie strony podobnie jak człowiek zamroczony alkoholem. Skoczyłam ku niej, chwyciłam ją w ramiona. Lecz w tej samej chwili ugięły się pod nią kolana i upadła bezwładnie na podłogę. Poczęła się więc jak ktoś, kogo chwyciły okropne bóleści, a kończyny jej drgały w budzących grozę konwulsjach. Początkowo myślałam, że nie poznała mnie. Gdy jednak schyliłam się nad nią, nagle krzyknęła głosem, którego nie zapomnę: „O mój Boże! Heleno! To była przepaska Nakrapiana

przepaska!” Chciała jeszcze coś powiedzieć i już wskazywała palcem w kierunku pokoju doktora, gdy chwycił ją nowy atak konwulsji, dławiąc jej słowa. Zerwałam się z podłogi, głośno wołając ojczyma. Natknęłam się na niego wybiegającego pośpiesznie w szlafroku ze swej sypialni. Dobiegł do mojej siostry, lecz stanął bezradnie. I chociaż wlał jej do gardła nieco brandy, a następnie posłał do wsi po pomoc lekarską, wszelkie wysiłki okazały się daremne. Stopniowo opadała z sił i zmarła, nie odzyskawszy przytomności. Taka oto straszna śmierć dotknęła moją ukochaną siostrę.

— Chwileczkę - wtrącił Holmes. - Czy jest pani pewna

g	podcza
wizdu i	s
metalic	przesłu
znego	chania.
odgłos	Mam
u? Czy	nieodp
mogłab	arte
y pani	wrażen
przysią	ie, że
c na tę	słyszał
okolicz	am, i
ność?	to coś
— O	pomied
to	zy
samo	szume
właśni	m
e pytał	poryw
mnie	u
okręgo	wichru
wy	i
sędzia	trzeszc
śledczy	zeniem
corone	starego
r	domu.

Lecz  
może  
się  
mylę.

— C

zy pani  
siostra  
była  
ubrana  
?

— N

ie.  
Miała  
na  
sobie  
strój  
nocny.  
W jej  
prawej  
dłoni  
znalezi  
ono  
wypalo  
ną  
zapałk  
ę, a w  
lewej  
całe  
pudełk  
o  
zapale  
k.

— Ś

wiadcz  
y to o

tym, że  
zapalił  
a  
światło  
i  
rozgląd  
ała się  
dokoła,  
gdy  
powsta  
ł hałas.  
To jest  
ważne.  
A do  
jakich  
wniosk  
ów  
doszed  
ł  
sędzia  
śledczy  
?

— B

adał  
sprawę  
bardzo  
starann  
ie,  
albowi  
em  
tryb  
życia i  
prowad  
zenie  
się dr.

Roylot  
ta były  
szerok  
o  
znane  
w całej  
okolicy  
. Sędzia  
śledczy  
nie  
mógł  
jednak  
podać  
żadneg  
o  
zadow  
alające  
go  
powod  
u  
śmierci  
. Moje  
zeznan  
ia  
wskazy  
wały,  
że  
drzwi  
były  
zamkni  
ęte od  
wewną  
trz, a  
okna

zabezp  
ieczon  
e  
starom  
odnym  
i  
okienni  
cami z  
szeroki  
mi  
żelazn  
ymi  
sztaba  
mi,  
które  
zawsze  
zakład  
ano na  
noc.  
Dokład  
nie  
zbadan  
o  
wszyst  
kie  
ściany,  
lecz  
okazał  
y się  
bardzo  
solidne  
. Równi  
e  
szczeg

ólowo  
sprawd  
zono  
posadz  
ki - z  
takim  
samym  
rezultat  
em.  
Komin  
ek jest  
szeroki  
, lecz  
zakrato  
wany  
cztere  
ma  
masyw  
nymi  
prętami  
i z  
klamrami.  
Stąd  
właśnie  
e  
płynęła  
pewno  
ścisłość, że  
moja  
siostra  
była  
zupełnie  
sama,  
gdy

spotkał  
a ją  
śmierć.  
— A  
czy  
była  
mowa  
o  
truciznie?  
— L  
ekarze  
badali  
ją pod  
tym  
kątem,  
lecz  
bez  
skutku.  
— A  
więc  
jak  
pani  
sądzi,  
od  
czego  
zginęła  
ta  
nieszczęsną  
kobietę  
?  
— M  
oim  
zdanie

m  
umarła  
po  
prostu  
ze  
strachu  
i szoku  
nerwo  
wego.  
Chocia  
ż nie  
mogę  
sobie  
wyobra  
zić, co  
właści  
wie ją  
tak  
okropn  
ie  
przeraz  
iło.  
— C  
zy w  
owym  
czasie  
znajdo  
wali  
się na  
plantac  
ji  
Cygani  
e?  
— T  
ak!

Oni  
zawsze  
przeby  
wają tu  
gdzieś  
w  
poblizu  
.  
— A  
ha! A  
jakie  
wniosk  
i  
wyciąg  
a pani  
z aluzji  
na  
temat  
przepa  
ski,  
nakrapi  
anej  
przepa  
ski?  
— C  
hwilam  
i  
myślał  
am, że  
było to  
jedynie  
majacz  
enie  
nieprzy  
tomnej

, a  
chwila  
mi  
znów,  
że  
odnosił  
o się  
do  
jakiejś  
bandy,  
może  
do tych  
Cygan  
ów z  
plantac  
ji. Nie  
wiem,  
czy  
nakrapi  
ane  
poplam  
ione  
chustki  
,  
jakimi  
wielu z  
nich  
przewi  
ązuje  
sobie  
głowy,  
mogły  
jej  
nasuną  
ć

dziwne  
określe  
nie,  
jakiego  
przed  
śmierci  
ą  
użyła.  
H  
olmes  
potrzęs  
nął  
głową,  
jak  
człowi  
ek  
bardzo  
daleki  
od  
zadow  
olenia  
z  
uzyska  
nego  
wyniku  
.  
-  
Niezw  
ykle  
zagmat  
wana  
sprawa  
!  
-  
rzekł. -

Proszę,  
niech  
pani  
opowia  
da  
dalej.



— Od tego czasu minęły dwa lata. Życie moje stało się jeszcze bardziej samotne niż kiedykolwiek przedtem. Atoli przed miesiącem drogi przyjaciel, którego znam od wielu lat, oświadczył mi się, zdecydowany mnie poślubić. Nazywa się Armitage, Percy Armitage, to drugi syn pana Armitage z Crane Water, nie opodal Reading. Mój ojczym nie czynił żadnych sprzeciwów co do tego małżeństwa. I na wiosnę mamy się pobrać. Tymczasem przed dwoma dniami wynikła konieczność pewnych remontów w zachodnim, skrzydle domostwa i przebito ścianę mojej sypialni. W rezultacie musiałam przenieść się do pokoju, w którym zmarła siostra i spać w tym samym łóżku co ona. Niech pan jednak wyobrazi sobie okropny strach, jaki mnie ogarnął ostatniej nocy, gdy leżałam nie śpiąc i rozmyślając o strasznym przeznaczeniu, które dotknęło siostrę - i nagle usłyszałam wśród ciszy nocnej lekki gwizd, zupełnie taki sam jak ten, co stał się zwiastunem właśnie jej śmierci. Wyskoczyłam z łóżka i zapaliłam lampę. Lecz w pokoju nie ujrzałam niczego szczególnego. Byłam jednak zbyt wstrząśnięta, by pójść do łóżka. Ubrałam się więc i gdy tylko nastał świt, wymknęłam się. Wzięłam dwukołową bryczkę z sąsiedniej gospody „Korona” i pojechałam do Leatherhead, skąd przyjechałam dziś rano ożywiona jedną myślą: ujrzeć pana i prosić o radę.

— Mądrze pani uczyniła - rzekł mój przyjaciel. - Lecz czy powiedziała mi pani wszystko?

— Tak, wszystko!

— Nie, miss Stoner, nie wszystko! Pani osłania ojczyma.

— Jak to? Co pan przez to rozumie?

W odpowiedzi Holmes odchylił żabot” czarnej koronki, w której tonęła ręka spoczywająca na kolanach naszego gościa. Pięć małych sinych pręg, znaków po czterech palcach i kciuku, było odcisniętych na białej skórze przegubu dłoni.

- Potraktowano panią okrutnie - rzekł Holmes.

Kobieta mocno się zarumieniła i skryła posiniaczony

przegub ręki. - On jest twardym człowiekiem - odpowiedziała. - I być może nie zdaje sobie dostatecznie sprawy ze swej siły.

Zapanowała długa cisza, podczas której Holmes z podbródkiem wspartym na rękach wpatrywał się w buzujący na kominku ogień.

— To bardzo zagmatwana sprawa - rzekł w końcu. - W grę wchodzi z tysiąc szczegółów, które pragnąłbym poznać, zanim zdecyduję się obrać kierunek działania. Wszelako nie mamy ani chwili do stracenia. Jeśli zatem pojechalibyśmy dziś jeszcze do Stoke Moran, to czy byłoby możliwe, abyśmy obejrzeli interesujące nas pokoje bez wiedzy pani ojczyma?

— Owszem, albowiem wspomniał on, iż dzisiaj właśnie musi się wybrać do miasta w pewnej niezmiernie ważnej sprawie. Prawdopodobnie więc będzie nieobecny w domu przez cały dzień i nic tam panu nie stanie na przeszkodzie. Co prawda obecnie mamy gospozię. Ale to zniedołężniała staruszka. Bez trudu będzie można się jej pozbyć na ten czas.

— Wyśmienicie. Nie masz nic przeciwko takiej wyprawie, Watsonie?

— Naturalnie, że nie.

— W takim razie przyjedziemy obaj. Czy ma pani coś do załatwienia w mieście?

— Jedną lub dwie sprawy, które chciałabym załatwić przy okazji pobytu w stolicy. Lecz powrócę południowym pociągiem o godzinie dwunastej, ażeby przybyć do domu na czas, zanim panowie przyjadą.

— Może się pani nas spodziewać wczesnym popołudniem. Pragnę osobiście doglądać kilku drobnych spraw. A teraz jeśli pani się nie śpieszy, zapraszam na śniadanie.

— Nie, dziękuję. Muszę już iść. Spadł mi kamień z serca, gdy zwierzyłam się panu ze swych trosk. Będę oczekiwała z niecierpliwością pańskiego przyjazdu, aby znów pana ujrzeć po południu.

Opuściła na twarz gęstą czarną woalkę i wyszła z pokoju.

— No i cóż myślisz o tej całej historii, Watsonie? - spytał Sherlock Holmes, wyciągając się wygodnie w swym fotelu.

Moim zdaniem to niedobra i ciemna sprawa.

- W takim samym stopniu ciemna co niedobra!

— Skoro jednak ta pani mówiła prawdę, że pęśadzki i ściany zostały dokładnie zbadane, a przez drzwi, okno i kominek nie można było przejść, to jej siostra niewątpliwie znajdowała się w pokoju sama w chwili, gdy spotkała ją tajemnicza śmierć.

— Cóż więc oznaczają owe nocne świsty, a cóż nader osobliwe słowa umierającej kobiety?

— Nie mam pojęcia...

— Jeśli skojarzysz wrażenia świstów nocnych, obecność bandy Cyganów, będącej w zażyłych stosunkach ze starym doktorem, fakt, że posiadamy poważne podstawy, by przyjąć zainteresowanie doktora w niedopuszczeniu do ślubu pasierbicy, słów umierającej na temat przepaski, a w końcu okoliczność, iż Miss Helena Stoner słyszała metaliczny dźwięk, który mogły wywołać żelazne sztaby zabezpieczające okiennice, obsuwając się na swoje miejsce - to nasuwa się myśl, że całą tę tajemniczą sprawę można wyjaśnić, trzymając się przedstawionych przesłanek.

— Cóż jednak mają do tego Cyganie?

— Nie mam pojęcia.

— Teoria ta budzi we mnie szereg zastrzeżeń.

- We mnie także. Dlatego też jedziemy dziś do Stoke Moran. Zobaczymy, czy zastrzeżenia nasze ugruntują się, czy też rozwieją. Ale cóż to takiego, u diabła?!

Mój przyjaciel zaklął, gdyż nagle drzwi rozwarły się z trzaskiem i wpadł przez nie ogromny mężczyzna odziany w dziwaczną mieszankę miejskiego stroju z wiejskim: czarny cylinder, długi surdut i wysokie getry. A trzymana w ręku szpicruta uzupełniała jego sylwetkę. Był tak wysoki, że cylinder jego sięgał górnej futryny drzwi. Wydawało się, jakby każdy

oddech przekrzywił go to w tę, to w tamtą stronę. Szeroką twarz, opaloną słońcem na brąz, pokrywało mnóstwo zmarszczek. Rysowały się na niej wszelkie złe skłonności. Gdy tak spoglądał raz na jednego, raz na drugiego z nas, wówczas jego głęboko osadzone, złowrogie oczy i wąski suchy nos upodabniały go do starego drapieżnego ptaka.

— Który z was jest Holmesem? - zapytało to dziwadło.

— Tak się nazywam, sir. Lecz właściwie pan powinien się pierwszy przedstawić - odparł ze spokojem mój przyjaciel.

— Jestem dr Grimesby Roylott ze Stoke Moran.

— A więc, doktorze - odezwał się Holmes uprzejmie - proszę zająć miejsce.

— Ani mi w głowie. Tu była moja pasierbica. Śledziłem ją. Cóż ona panu naopowiadała?

— Jest trochę zimno jak na tę porę roku... - rzekł Holmes.

— Cóż ona panu naopowiadała?! - wrzasnął wściekle starzec.

— ...lecz słyszałem, że krokusy zapowiadają się dobrze - ciągnął mój przyjaciel niewzruszenie.

— Ha! Pan mnie chce zbyć! Może nie?! - wykrztusił nasz nowy gość, postępując krok naprzód i potrząsając swą dziwną szpicrutą. - Znam cię, ty szelmo! Już przedtem słyszałem o tobie. Jesteś Holmes, który wtrąca się do nieswoich spraw.

Przyjaciel mój uśmiechnął się.

- Holmes wścibski!

Uśmiech zaznaczył się jeszcze wyraźniej.

- Holmes służalec Scotland Yardu!

Holmes roześmiał się serdecznie.

— Sposób prowadzenia rozmowy przez pana jest bardzo interesujący - odparł. - Skoro pan wyjdzie, proszę zamknąć drzwi, ponieważ tu wyraźnie wieje.

— Wyjdę wówczas, gdy skończę to, co mam do powiedzenia. Nie waż się pan wtrącać do moich spraw! Wiem,

że miss Stoner tu była. Śledziłem ją. Jestem zbyt groźnym człowiekiem, by ze mną zadzierać. Popatrz tylko! - Chwył pogrzbacz i zgiął go w pałąk swymi ogromnymi opalonymi na brąz rękami.”

— Uważaj, żebym nie zrobił tego samego z tobą! - warknął.

Rzucił zgięty pogrzebacz na palenisko kominka i wielkimi krokami opuścił pokój.

— On wygląda na bardzo miłą osobą, co? - rzekł Holmes, śmiejąc się. - Nie jestem tak masywny, lecz jeśliby pozostał nieco dłużej, pokazałbym mu, że mój chwyt nie tak znów bardzo jest słabszy niż jego. - Mówiąc te słowa, chwycił stalowy pogrzebacz i szybkim ruchem na powrót go wyprostował.

— Cóż to za bzdura! W toku bezczelnego najścia pomylił mnie z urzędowym detektywem. Ten incydent przydaje jednak dodatkowego posmaku naszym dochodzeniom. I nasza mała przyjaciółka, mam nadzieję, nie ucierpi wskutek swej nieostrożności. Przecież nawet nie zorientowała się, że ten brutal ją śledził. A teraz, Watsonie, poprosimy o śniadanie i potem udam się do gmachu Kolegium Cywilistów, gdzie, w rejestrach spadkowych, majątkowych i małżeńskich mam nadzieję uzyskać pewne dane, które mogą nam pomóc w naszej sprawie.

Dochodziła już pierwsza godzina, gdy Sherlock Holmes powrócił ze swej wycieczki. W ręku trzymał arkusz niebieskiego papieru, cały pokryty notatkami i rysunkami.

- Widziałem testament zmarłej wdowy - rzekł. - Aby dokładnie określić jego znaczenie, byłem zmuszony przeliczyć na obecne ceny lokaty kapitałowe, których dotyczył testament. Całkowity dochód, który w okresie śmierci wdowy wynosił niemal 1100 funtów szterlingów, obecnie nie przekracza 750 funtów szterlingów wskutek spadku cen w rolnictwie. Każda z córek ma prawo domagać się dochodu w wysokości 250 funtów w wypadku małżeństwa. Dlatego jest zupełnie oczywiste, że jeśliby obie panny wyszły za mąż, to z tego majątku pozostałaby mu zaledwie niewielka część. A obecnie druga pasierbica chce ograniczyć go w poważnym stopniu przez swoje zamążpójście. Moja ranna praca nie była więc daremna, od czasu jak okazało się, że on ma bardzo poważne motywy, aby przeszkadzać wszelkim tego rodzaju zamiarom. A teraz, Watsonie, sprawy

nabrały zbyt poważnego obrotu, aby tracić czas. Zwłaszcza że stary został przestrzeżony o naszym zainteresowaniu jego sprawami. Jeśliś więc gotów, wezwiemy dorożkę i pojedziemy na dworzec Waterloo. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś wziął rewolwer. Eley's nr 2 może stanowić doskonały argument w dyskusji z dżentelmenem zwijającym w pałąki stalowe pogrzebacze. To oraz szczotka do zębów - to wszystko, co moim zdaniem będzie nam potrzebne.

Na dworcu Waterloo szczęśliwie złapaliśmy pociąg do Leatherhead. Tam w gospodzie dworcowej wynajęliśmy dwukołową bryczkę i przejechaliśmy nią cztery do pięciu mil wśród uroczych dróg hrabstwa Surrey. Dzień był wspaniały. Słońce świeciło jasno, a na niebie błąkało się jedynie kilka wełnistych obłoków. Drzewa i przydrożne żywopłoty wypuściły właśnie pierwsze zielone pędy, a powietrze przenikał miły zapach wilgotnej ziemi. Dla mnie stanowiło to co najmniej dziwaczny kontrast pomiędzy słodką zapowiedzią wiosny a nieszczęsną sprawą, w którą zaangażowaliśmy się. Mój przyjaciel siadł na przodzie bryczki. Skrzyżował ręce, kapelusz zsunął mu się na oczy, spuścił głowę. Trwał tak pogrążony w głębokim zamyśleniu. Ale oto nagle zerwał się, klepnął mnie w ramię i wskazał w kierunku łąk.

- Popatrz tam! - powiedział.

Gęsto zadrzewiony park roztaczał się na łagodnej pochyłości, gęstniejąc stopniowo i przechodząc nieco wyżej w lasek. Spośród gałęzi drzew wyłaniały się szare szczyty dachów i wysokie drewniane sklepienia prastarego dworzyszczca.

— Czy to Stoke Moran? - zagadnął.

— Tak, sir, to dom dr. Grimesby Roylotta - zauważył woźnica.

— Przeprowadza się tam prace budowlane - rzekł Holmes - właśnie w tej sprawie przyjechaliśmy.

— Tu jest wioska - odparł woźnica, wskazując na skupisko dachów, rozciągające się w pewnej odległości po lewej stronie - lecz jeśli panowie chcą iść do dworku, krótsza droga

prowadzi tamtymi oto schodkami, a następnie ścieżką przez pola. To właśnie tam, którądy idzie pani.

— Tą panią, wydaje mi się, jest miss Stoner! - zauważył Holmes, przysłaniając dłonią oczy. - Tak! Myślę, że najlepiej uczynimy, idąc za twą radą.

Wysiedliśmy, płacąc za przejazd i bryczka turkocząc odjechała z powrotem do Leatherhead.

- Uważam za wskazane - napomknął Holmes, gdy wspinaliśmy się po schodkach - aby ten pocziwiec nabrał przekonania, że przybyliśmy tu jako architekci lub w jakimś określonym interesie. To może powstrzymać go od plotek. Dzień dobry, Miss Stoner. Widzi pani, że dotrzyaliśmy słowa...

Nasza ranna klientka podbiegła na spotkanie z radosnym wyrazem twarzy.

- Czekałam na panów niecierpliwie - zawołała, gorąco ściskając nam dłonie. - Wszystko wspaniale się odmieniło. Dr. Roylott pojechał do stolicy i jest mało prawdopodobne, aby wrócił przed wieczorem.



- Mieliśmy przyjemność poznać doktora - rzekł Holmes w krótkich słowach opowiedział, co się wydarzyło.

Gdy to usłyszała Miss Stoner, pobladła jak ściana.

— Wielkie nieba! - zawołała. - A więc on mnie śledził!

— Na to wygląda.

— On jest taki przebiegły, że nigdy nie wiem, czy jestem przed nim bezpieczna. Co on powie, gdy powróci?

— Niechże się strzeże, bo może się przekonać, że na jego tropie jest ktoś przebieglejszy niż on sam. Musi się pani zabezpieczyć przed nim na noc. Jeśli jest gwałtowny, wyślemy panią do ciotki w Harrow. No, a teraz musimy jak najlepiej wykorzystać czas. Niech pani będzie uprzejma zaprowadzić nas od razu do pokojów, które mamy zbadać.

Domostwo zbudowane było z szarej omszałej skały. Ze środkowej, wyższej jego części po obu stronach wyrastały dwa zaokrąglone skrzydła, okna były potłuczone i zabite deskami, a dach podziurawiony. Istny obraz ruiny! Część środkowa znajdowała się w nieco lepszym stanie. Natomiast prawe skrzydło wyglądało stosunkowo nowocześniej. Firanki w oknach i smugi niebieskiego dymu unoszące się z kominów wskazywały, że właśnie tu zamieszkała rodzina. Naprzeciw szczytowej ściany ustawione było rusztowanie i rozpoczęte roboty kamieniarskie. Lecz w chwili naszego przybycia nie widać było ani śladu jakichkolwiek robotników. Holmes przeszedł wolno w górę i w dół poprzez źle utrzymany trawnik i zbadał bardzo uważnie wszystkie okna z zewnątrz.

Małe boczne drzwi wiodły do pobielonego korytarza, z którego prowadziły drzwi do wszystkich trzech pokoi sypialnych. Holmes zaniechał badania trzeciego pokoju, więc od razu przeszliśmy do drugiego, w którym siostra naszej klientki znalazła swe tragiczne przeznaczenie. Był to przytulny mały pokój o niskim suficie i otwartym kominku na wzór starych wiejskich dworców. W jednym kącie stała brązowa komoda, w drugim wąskie, na biało zasłane łóżko, a na lewo od okna gotownia. Meble te wraz z dwoma małymi wyplatany

krzesłami stanowiły całe urządzenie pokoju, pośrodku którego leżał kwadratowy dywan z Wilton. Zaokrąglone deski i okładziny ścian zrobione z brązowej, stoczonej przez robaki dębiny były tak stare i wyblakłe, że można było sądzić, iż pochodziły chyba z czasów, gdy wznoszono to domostwo. Holmes przesunął jedno z krzeseł do kąta i usiadł w milczeniu, jednocześnie lustrując całe pomieszczenie wzdłuż i wszerz oraz z dołu do góry, nie pomijając nawet najmniejszego szczegółu.

— Dzwonek łączy się z pokojem gospodyni.

— Czyż nie wygląda on na nowszy niż inne przedmioty?

— Tak! Założono go dopiero kilka lat temu.

— Prawdopodobnie na prośbę pani siostry?

— Nie! Nigdy nie słyszałam, by go używała. Zawsze brałyśmy same, co potrzebowaliśmy.

— Istotnie, wydaje się niepotrzebne założenie tak ładnego sznura do dzwonka. A teraz, jeśli pani pozwoli, to w ciągu kilku minut przebadam jeszcze posadzkę. - Przypadł niemal twarzą do ziemi, trzymając lupę w ręku. Czołgał się szybko to w tę, to w tamtą stronę, badając dokładnie szczeliny pomiędzy deskami. To samo uczynił z drewnianymi okładzinami pokrywającymi ściany apartamentu.

W końcu przysunął się do łóżka, przez pewien czas wpatrywał się w nie uważnie, lustrując okiem ścianę od dołu do góry. Wreszcie chwycił sznur dzwonka i mocno zań pociągnął.

— Ale co to? On milczy? - zdziwił się. - Dlaczego nie dzwoni? Nie! On nawet nie jest połączony linką! Nadzwyczajne, interesujące! Teraz może pani przekonać się, że sznur jest umocowany do haka akurat ponad małym otworem wentylatora.

— Ależ to zupełny absurd! Nigdy tego przedtem nie zauważyłam!

— Bardzo dziwne! Bardzo! - mruknął Holmes, pociągając za sznur. - W tym pokoju jest jedno, a raczej dwa bardzo osobliwe miejsca. Na przykład, cóż to musiał być za głupiec z budowniczego, aby otwór wentylatora przeprowadzać do sąsiedniego pokoju, podczas gdy przy takim samym nakładzie

pracy i kosztów mógł on połączyć go ze świeżym powietrzem z zewnątrz.

— To także jest zupełnie nowe - odrzekła panna Stoner.

— Wykonane w tym samym czasie co instalacja dzwonka? - zauważył Holmes.

— Tak! W owym czasie przeprowadzono kilka niewielkich zmian...

— ...które mają nadzwyczaj interesujący charakter: nie działające sznury dzwonek, wentylatory, które nie dają dopływu powietrza. Jeśli pani pozwoli, miss Stoner, to może przeniesiemy nasze poszukiwania do innych pomieszczeń.

Pokój dr. Grimesby Roylotta był większy niż pokój jego pasierbicy, lecz prościej umeblowany. Łóżko polowe, mała drewniana półka wypełniona książkami, przeważnie technicznego rodzaju, gładkie drewniane krzesło przy ścianie, okrągły stół i duży żelazny schowek szafkowy stanowiły zasadnicze przedmioty, jakie zauważyliśmy. Holmes obszedł dokoła cały pokój i zbadał wszystkie meble z największym zainteresowaniem.

Wyszliśmy wszyscy przed dom.

- To okno, którego dotykam, należy do pokoju, w którym - zwykła pani sypiać, to środkowe natomiast, do pokoju pani siostry, a następne, w głównym budynku, do pokoju dr. Roylotta?

— Dokładnie tak. Lecz obecnie sypiam w środkowym pokoju...

— W wyniku zmian, jeśli dobrze zrozumiałem. Ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by istniała gwałtowna konieczność napraw szczytowej ściany.

— Zupełnie nie! Moim zdaniem to tylko pretekst do przeniesienia mme z mojego pokoju.

— Ach! To bardzo prawdopodobne! Ale cóż dalej? Po drugiej stronie tego ciasnego skrzydła ciągnie się korytarz, na który wychodzą wszystkie trzy, pary drzwi interesujących nas pokoi. Oczywiście, posiada on okna?

— Tak, lecz bardzo małe. Zbyt wąskie, aby ktoś mógł się przez nie przecisnąć.

- Skoro panie obie zamykały swe drzwi na noc, to wasze pokoje były niedostępne z tej strony. A teraz niech pani będzie tak uprzejma pójść do swego pokoju i zamknąć okiennice.

Miss Stoner uczyniła to.

I Holmes, po starannym badaniu, poprzez otwarte okno usiłował różnymi sposobami otworzyć okiennicę. Wszystko nadaremnie! Nie można było natrafić na najmniejszą nawet szczelinę, przez którą prześliznąłby się nóż, by podważyć sztabę, zamykającą okiennicę. Teraz przy pomocy lupy zbadał zawiasy. Były one zbudowane z mocnego żelaza.

— Hm. - rzekł, drapiąc się po brodzie. - Moja teoria napotyka pewne luki. Nikt nie mógł przejść przez okiennice, jeśli były one zamknięte. No, dobrze, zobaczymy więc, czy oględziny wnętrza nie rzucą nieco światła na tę sprawę...

— A cóż tu jest? - zapytał, z lekka uderzając w schowek szafkowy, kiedy już znajdowaliśmy się w pokoju Roylotta.

— Papiery handlowe ojczyma.

— Och! A więc pani zaglądała do wnętrza?

— Tylko raz przed kilku laty. Pamiętam, że schowek pełen był papierów.

— Czy tu nie było na przykład kota?

— Nie! Cóż za dziwny pomysł?

— Dobrze! Niech więc pani spojrzy na to! - podniósł małą miseczkę z mlekiem, która stała na szczycie żelaznego schowka.

— Nie! My nie mamy kota. Mamy natomiast geparda indyjskiego, zwanego „Czita”, i pawiana...

— Ach tak! Oczywiście! Zgadza się! Gepard jest, właśnie dużym kotem, toby się mogło zgadzać, że miseczka przeznaczona jest dla niego.

— Oto jeden punkt, który chciałem ustalić. - Przycupnął przed drewnianym krzesłem i badał jego siedzenie z największą uwagą. - Dziękuję pani! To wszystko! - rzekł, podnosząc się i chowając lupę do kieszeni. - Halo! O, tu jest coś interesującego!

Przedmiot, który zauważył, był małą smyczą dla psa, wiszącą w rogu łóżka. Smycz tak była jednak pozakręcana i powiązana w węzły, jakby miała służyć za batog i kaganiec zarazem.

— Do czego byś tego użył, Watsonie?

— To jest całkiem zwyczajna smycz. Lecz nie wiem, dlaczego ją tak powiązano w pętle.

— Nie jest tak zupełnie zwyczajna! Cóż myślisz? Świat nasz jest zepsuty. I gdy mądry człowiek wysiła rozum, aby popełnić zbrodnię, bywa to zazwyczaj zbrodnia straszna. Zdaje się, że już dosyć tu zobaczyłem, Miss Stoner. I jeśli pani pozwoli, przespacerujemy się po trawniku.

Nigdy nie widziałem twarzy mego przyjaciela tak ponurej, a czoła tak zasepionego jak wówczas, gdy opuszczaliśmy miejsce, w którym właśnie prowadziliśmy dochodzenie. Kilkakrotnie przemierzaliśmy wzdłuż i wszerz - trawnik. Ani jednak Miss Stoner, ani ja nie ośmieliliśmy się przerwać mu rozmyślań, dopóki sam nie ocknął się z głębszej zadumy.

— Nader ważne jest, panno Stoner - rzekł wreszcie - aby pani pod każdym względem zastosowała się do moich wskazówek.

— Z całą pewnością tak uczynię.

— Sprawa wygląda zbyt poważnie, aby pozwolić sobie na jakiegokolwiek wahania. Życie pani może zależeć od tego, czy pani będzie posłuszna moim radom.

— Obiecuję uczynić wszystko, co tylko pan zarządzi.

— A więc po pierwsze, obaj z moim przyjacielem musimy spędzić noc w pani pokoju.

Miss Stoner i ja jednocześnie wlepiliśmy w Holmesa zdumiony wzrok.

— Tak! - dodał. – W taki właśnie sposób musi się to odbyć! Pozwólcie mi to wyjaśnić. Zapewne znajduje się tu wiejski zajazd?

— Owszem, nazywa się „Korona”.

— Doskonale! Czy z niego widać wasze okna?

— Na pewno!

— Gdy powróci ojczym, musi się pani zamknąć w swym pokoju pod pozorem bólu głowy. A gdy tylko usłyszy pani nocą, że udaje się on na spoczynek, musi pani niezwłocznie otworzyć okiennice okna swego obecnego pokoju, odsunąć rygiel, postawić lampę jako sygnał dla nas, a następnie odejść, zabierając z sobą niezbędne rzeczy, do pokoju poprzednio przez panią zajmowanego. Niewątpliwie pomimo pewnych kłopotów może pani to zorganizować na jedną noc.

— Och tak! Bardzo łatwo!

— Resztę niech pani pozostawi w naszych rękach!

— Lecz cóż panowie uczynicie?

— Spędzimy noc w pani pokoju i postaramy się wykryć powód hałasu, który panią zaniepokoił.

— Wydaje mi się, Mr. Holmes, że pan już dotarł do sedna sprawy.

— Być może dotarłem!

— A więc, przez litość, niech pan powie, co spowodowało śmierć mojej siostry?

— Wolałbym posiadać wyraźniejsze dowody, zanim cokolwiek powiem.

— Niech mi pan przynajmniej powie, czy moje własne przypuszczenia są słuszne i czy ona zmarła wskutek gwałtownego przerażenia?

— Nie! Myślę, że nie z tego powodu! Najprawdopodobniej musiała to być jakaś bardziej namacalna przyczyna. A teraz, Miss Stoner, musimy panią opuścić. Gdyby dr. Roylott powrócił i ujrzał nas razem, to cała nasza wyprawa poszłaby na marne.

Ani Sherlock Holmes, ani ja nie mieliśmy najmniejszych trudności z wynajęciem sypialni z salonikiem w gospodzie „Korona”. Znajdowały się one na górnym piętrze i z naszych okien mieliśmy widok na aleję prowadzącą do bramy i na nie zamieszkane skrzydło dworu Stoke Moran.

O zmierzchu ujrzelśmy wreszcie nadjeżdżającego dr. Grimesby Roylotta, jego ogromną sylwetkę wyłaniającą się obok małej postaci wiozącego go chłopca stajennego. Chłopak miał trochę kłopotu z otwarciem ciężkiej żelaznej bramy. Usłyszeliśmy ochrypy wrzask doktora i dostrzegliśmy, jak z wściekłością wymachiwał nad nim zaciśniętymi pięściami. Wreszcie bryczka odjechała, a po kilku minutach, pomiędzy drzwiami rozbłysło nagle światło, jakby zapalono lampę w jednym z pokoi bawialnych.

— Wiesz co, Watsonie? - rzekł Holmes, gdy obaj siedzieliśmy w gęstniejących stopniowo ciemnościach. - Mam naprawdę wątpliwości, czy zabrać cię ze sobą tej nocy. To bardzo niebezpieczna gra.

— Czy mógłbym ci jednak towarzyszyć?

— Twoja obecność może okazać się nieoceniona!

— A więc koniecznie muszę pójść z tobą!

— To bardzo ładnie z twojej strony.

— Wspomniałeś o niebezpieczeństwie. Prawdopodobnie więc zauważyłeś w tamtych pokojach coś więcej niż ja...

— Nie! Lecz wydaje mi się, że mógłbym wydedukować nieco więcej. Widziałeś chyba wszystko, co robiłem?

— Nie spostrzegłem nic szczególnego z wyjątkiem przewodu dzwonka. Ale jakiemu właściwie celowi ma on służyć, przyznam, że nie mam najmniejszego pojęcia.

— Wentylator jednak widziałeś? Co?

— Tak! Nie mogę jednak powiedzieć, żeby istnienie tego rodzaju małego otworu pomiędzy dwoma pokojami było jakąś zupełnie niezwykłą rzeczą. Zresztą jest on tak mały, że nawet szczur z trudem się przezeń przecisnie.

— Zanim jeszcze w ogóle przybyliśmy do Stoke Moran, wiedziałem, że natrafimy chyba na wentylator.

— Ależ mój drogi Holmesie!...

— Och, tak! Wiedziałem! Przypomnij sobie, jak ona w swej opowieści wspomniała, że siostra poczuła u siebie dym cygar dr. Roylotta. To oczywiście od razu nasuwa przypuszczenie o istnieniu połączenia między obu pokojami. Naturalnie mógł to być jedynie mały otwór. Ale powinna być o tym wzmianka w dochodzeniu przeprowadzonym przez sędziego śledczego. W ten sposób, drogą dedukcji, doszedłem do wentylatora!

— Ale cóż złego oznacza wentylator?

— Otóż tak! W końcu mamy tu do czynienia z niezwykłą zbieżnością dat. Wykonano wentylator, zawieszono linkę i kobieta umarła. Czy to cię nie uderzyło?

— Jak dotychczas, nie mogę się tu dopatrzeć żadnego związku.

— Czy nie podpadło ci nic specjalnego w tym łóżku?

— Nie!



— Było ono przymocowane do podłogi. Czy kiedykolwiek przedtem widziałeś w ten sposób przytwierdzone łóżko?

— Nie! Raczej nie!

— Ta kobieta nie mogła przesunąć tego łóżka. Ono zawsze musiało znajdować się w takiej samej pozycji wobec wentylatora i wobec sznura, który tylko tak możemy nazwać, skoro na pewno nigdy nie był pomyślany jako linka do dzwonka.

— Holmesie! - wyrwał mi się okrzyk. -; Wydaje mi się, że jakby przez mgłę przypominam sobie twoje aluzje na ten temat. Ależ to już najwyższy czas, byśmy zapobiegli jakiejś misternie przygotowanej, a okropnej zbrodni.

— W takim samym stopniu misternej co okropnej! Gdy lekarz staje się przestępcą, to jest on asem wśród kryminalistów. Ma bowiem wiedzę. Na przykład Falmar i Pritchard należeli do wybitnych w swoim fachu. Ten człowiek uderza celnie. Lecz my, Watsonie, chyba jednak będziemy w stanie uderzyć jeszcze celniej. A jednak przeżyjemy sporo zgrozy i okropności, zanim przemienie dzisiejsza noc. Więc ze względu na dobro sprawy spokojnie zapalmy fajkę i przez kilka godzin starajmy się skierować myśli na jakiś pogodniejszy temat.

Około godziny dziewiątej światło dochodzące poprzez gałęzie drzew zgasło i wokół dworzyszczka zapanowały ciemności. Minęły dwie długie godziny. Aż tu nagle, właśnie gdy była jedenasta, zabłysło na wprost nas jasne, samotne światło.

- Oto nasz umówiony znak! - oznajmił Holmes, zrywając się gwałtownie. - Pochodzi ze środkowego okna.

Gdy wyszliśmy, Holmes zamienił kilka słów z karczmarzem, wyjaśniając, że udajemy się na późną wizytę do znajomych i, być może, spędzimy tam resztę nocy. W chwilę potem znaleźliśmy się już na ciemnej drodze, gdzie chłodny wiatr dał nam w twarz. Jedynie żółte światło, mrugające akurat na wprost nas poprzez mrok prowadziło do miejsca, gdzie czekało smutne zadanie do wypełnienia.

Nie mieliśmy trudności z przedostaniem się w obręb posiadłości, gdyż nie naprawione wyrwy w starym murze ułatwiały wejście na teren parku. Przemykając wśród drzew, dotarliśmy do trawnika. Przeszliśmy przezeń i właśnie zabieraliśmy się do wejścia przez okno, gdy nagle spośród kępy krzaków wawrzynu wyskoczyło coś, co wyglądało na grymaszące i wykrzywiające się dziecko, które rzuciło się na murawę, wierzgając rękoma i nogami. Po chwili to „coś” chyżo pomknęło poprzez trawnik, ginąc w ciemnościach.

- O Boże! - wyszeptałem. - Widziałeś?

Holmes przez chwilę był tak wstrząśnięty jak ja. Wskutek podniecenia dłoń jego niczym obręcz zacisnęła się wokół przegubu mej ręki. Potem zaśmiał się z cicha i zbliżając usta do mego ucha, wyszeptał:

- Ładnych tu mają domowników, co? To przecież pawian! Zapomniałem o strasznych ulubieńcach doktora. Równie dobrze moglibyśmy spotkać geparda! Może w każdej chwili skoczyć nam na kark!

Idąc za przykładem Holmesa, zdjąłem buty, by łatwiej dostać się do wnętrza domostwa. I przyznam szczerze, że dopiero wówczas poczułem się rażniej, gdy znalazłem się już w sypialni. Mój przyjaciel bezszelestnie zamknął okiennicę, postawił lampę na stole i rozglądnął się dokoła po całym pokoju. Wszystko było w takim stanie, w jakim widzieliśmy za dnia. Wówczas Holmes, skradając się na palcach, zbliżył się do mnie i zwijając dłoń w trąbkę, wyszeptał mi wprost do ucha tak

cicho, że zaledwie z wielkim trudem rozróżniłem następujące słowa:

- Najmniejszy odgłos, jaki byśmy wydali, może mieć fatalne następstwa dla całego planu.

Kiwnąłem głową na znak, że zrozumiałem.

- Nie zaśnij tylko! Od tego może zależeć twoje życie! Trzymaj pistolet w pogotowiu na wypadek, gdyby był potrzebny. Siądź na tamtym krześle, a ja usiądę na brzegu łóżka.

Wyjąłem rewolwer i położyłem u narożnika stołu.

Holmes uniósł cienką laskę trzciniową i umieścił ją tuż przy sobie na łóżku. Obok położył pudełko zapalek i ogarek świecy. Wtedy przykręcił lampę naftową i otoczyły nas ciemności.

Nigdy zapewne nie zapomnę straszego i pełnego grozy oczekiwania, jakie wówczas nastąpiło. Nie słyszałem żadnego odgłosu ani nawet lekkiego tchnienia oddechu, a jednak wiedziałem dobrze, że mój przyjaciel siedzi, mając na wszystko oczy otwarte, że siedzi o kilka stóp ode mnie w takim samym stanie napięcia nerwów jak ja. Okiennice nie dopuszczały najmniejszego promienia światła. Czuwaliśmy w zupełnych ciemnościach. Z zewnątrz słychać było od czasu do czasu głos nocnego ptaka, a raz nawet, tuż przy oknie, długie, przeciągłe, podobne do kociego, płaczliwe zawodzenie, które przypominało nam, że gepard istotnie znajdował się na wolności.

Skądś z daleka dochodził głęboki ton dzwonu parafialnego, który wydzwaniał, godziny. Jakżeż dłużyły się wówczas te kwadransy! Wybiła już dwunasta, potem pierwsza, druga i trzecia. A my ciągle siedzieliśmy w pełnym milczeniu, oczekując na coś, co miało się zdarzyć...

Nagle w górze, w okolicy wentylatora, na chwilę błysnęło światło i wkrótce rozszedł się silny zapach przypalonej oliwy. W sąsiednim pokoju ktoś zapalił ślepą latarnię. Doszedł mnie odgłos jakiegoś poruszenia, a potem znów zapanowała

całkowita cisza. Zapach natomiast stał się silniejszy i wyraźniejszy. Siedziałem, przez pół godziny nastawiałem uszy, aby coś usłyszeć. Aż tu nagle rozległ się inny dźwięk - bardzo delikatny, łagodny odgłos, podobny do syku, jaki wydaje strumień pary, stale uchodzący z kotła. W tej samej chwili, gdyśmy to usłyszeli, Holmes zerwał się z łóżka, potarł zapałkę i z furją począł smagać swą trzcina przewód dzwonka.

- Widzisz to, Watsonie?! - syknął przeraźliwie. - Widzisz?!

Lecz nic nie spostrzegłem. Gdy Holmes zapalił światło, usłyszałem cichy, wyraźny gwizd. Ale nagły błysk zapalanej zapałki tak poraził moje zmęczone oczy, że nie mogłem określić, co to był za stwór, którego mój przyjaciel tak okrutnie zbił. Zauważyłem natomiast śmiertelnie bladą twarz Holmesa, wykrzywioną wstrętem i przerażeniem.

Przestał uderzać i wlepił wzrok w otwór wentylatora. Nagle ciszę nocną rozdarł straszny krzyk. Wzmagał się coraz bardziej ten chrapliwy ryk pełen tonów bólu, strachu i wściekłości, łączących się i przeradzających w jeden przeraźliwy wrzask. Słyszano go daleko w dole w wiosce. A nawet na odległej plebanii krzyk ten obudził wszystkich i wyrwał z łóżek. Nam także zmroził serca! Staliśmy nieruchomo. Wpatrywałem się jak urzeczonego w Holmesa, a on we mnie, dopóki ostatnie echo straszego ryku nie zamarło w tej samej ciszy, z której powstało.

— Cóż to znaczy? - wykrztusiłem z trudem.

— To oznacza, że wszystko już skończone! — odpowiedział Holmes. - I być może, przede wszystkim, skończone dla tej bestii. Bierz pistolet w garść i wejdziemy do pokoju dr. Roylotta.

Z zatroskaną miną zapalił lampą i skierował się w dół korytarza. Dwukrotnie zapukał do drzwi. Nie było stamtąd żadnej odpowiedzi. Nacisnął więc klamkę, i wszedł do wnętrza, a ja tuż za nim z gotowym do strzału pistoletem w dłoni.

Osobliwy widok roztoczył się przed naszymi oczyma.

Na stole stała zaciemniona latarnia z na poły zasuniętymi zasłonami, rzucająca jasny snop światła na żelazną szafę, której drzwi były uchylone. Przy stole siedział na drewnianym krześle dr. Grimesby Roylott odziany w długi, szary szlafrok, spod którego wystawały u, dołu nagie kostki nóg i stopy wsunięte w czerwone tureckie pantofle bez pięt. Na jego kolanach leżała krótka laska z długim harapem, którą widzieliśmy u niego za dnia. Miał zadarty w górę podbródek i nieruchome oczy zamarłe w przeraźliwym zapatrzeniu w róg sufitu. Czoło jego spowijała dokoła dziwaczna żółta nakrapiana brązowo przepaska, która zdawała się być ciasno związana wokół głowy. Gdyśmy wchodzili, nie powiedział ani słowa i nie poruszył się.

- Przepaska! Nakrapiana przepaska! - szepnął Holmes.

Uczyliem krok do przodu. W tej samej chwili dziwaczne przybranie głowy zaczęło się poruszać i spośród włosów uniosła się przyczajona, o romboidalnym kształcie, głowa oraz rozdęta szyja - obrzydliwego węża.

- To bagienna żmija! - krzyknął Holmes. - Najjadowitszy wąż w całych Indiach! Doktor zmarł w ciągu dziesięciu sekund po ukąszeniu. Otóż ostatecznie okrucieństwo obróciło się przeciw okrutnikowi i planujący zasadzkę sam wpadł przypadkiem w zastawioną przez siebie pułapkę. A teraz wsuńmy z powrotem tego gada do jego legowiska. Następnie przeniesiemy Miss Stoner do bezpiecznego miejsca i zawiadomimy o całym zajściu miejscową policję.

Mówiąc to ściągnął błyskawicznie z kolan zmarłego psią smycz z obrozą i zacisnął ją wokół szyi węża. Ściągnął gada z jego niesamowitego schroniska i uniósł w wyciągniętej do przodu ręce, by wrzucić do żelaznej szafy-schowka, który natychmiast zamknął.

Oto wierny opis śmierci dr. Grimesby Roylotta ze Stoke Moran. Nie uważam zresztą za konieczne przedłużania - i tak już bardzo długiego - opowiadania dalszymi szczegółami. Powiem krótko: po zawiadomieniu przerażonej dziewczyny o smutnym wypadku zawieźliśmy ją rano pociągiem do Harrow i

oddaliśmy pod opiekę dobrej ciotki. Warto jeszcze wspomnieć o wyniku wolno posuwającego się śledztwa. Władze doszły do wniosku, iż doktora dosięgnęło jego przeznaczenie podczas nieostrożnej zabawy z groźnym ulubieńcem. Nieco więcej dowiedziałem się o tym wypadku od Sherlocka Holmesa następnego dnia w czasie drogi powrotnej.

— W początkowej fazie doszedłem do zupełnie błędnej konkluzji - rzekł Holmes - która wykazała, mój drogi Watsonie, jak niebezpieczne jest rozumowanie oparte na niekompletnych przesłankach. Obecność Cyganów i słowo „przepaska”, jakiego użyła nieszczęsna dziewczyna, bez wątpienia celem wyjaśnienia zjawiska zauważonego podczas nagłego błysku zapalanej zapalki, wystarczyły, aby naprowadzić mnie na zupełnie fałszywy trop. Jedyłą moją zasługą było ponowne natychmiastowe rozważenie swego stanowiska w tej sprawie, skoro tylko stało się dla mnie jasne, iż jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, które zagrażałoby osobie zajmującej ów pokój-pułapkę, nie może nadejść ani przez okno, ani drzwi. Uwagę moją szybko przyciągnął, jak ci już wspominałem, wentylator i sznur dzwonka zwisający nad łóżkiem. Odkrycie, iż sznur jest nie podłączony do dzwonka oraz że łóżko było przyśrubowane do podłogi, dało impuls do podejrzenia, że sznur miał stanowić niejako pomost dla jakiejś istoty, przedostającej się przez otwór wentylatora i zmierzającej do łóżka. Nagle przyszedł mi na myśl wąż. I skoro skojarzyłem to z wiadomością o utrzymywaniu przez doktora wielu zwierząt z Indii, poczułem, iż prawdopodobnie wpadłem na właściwy ślad. Pomysł posłużenia się takim rodzajem trucizny, który był niemożliwy do wykrycia przez próbę chemiczną, oto właśnie pomysł, jaki mógł obmyślić jedynie sprytny i bezlitosny człowiek, obyty z obyczajami Wschodu i tresurą dzikich zwierząt.

Z jego punktu widzenia bardzo sprzyjającą okoliczność stanowiła również gwałtowność i szybkość działania tego rodzaju trucizny. Trzeba, by istotnie bardzo spostrzegawczego

funkcjonariusza, badającego zawsze urzędowo ciała zmarłych nienaturalną śmiercią, aby zauważył dwa małe nakłucia, które wskazałyby, którędy jadowite kły wsączyły truciznę. Wówczas właśnie pomyślałem o gwizdach. Oczywiście sprawca musiał odwołać węża przed świtem, zanimby w rannym świetle został odkryty przez domowników. Doktor prawdopodobnie tresował węża, aby powracał do niego na każde wezwanie, posługując się w tym celu mlekiem, które widzieliśmy. Wystarczyło umieścić węża w otworze wentylatora o godzinie, jaką się uznało za stosowną, by mieć pewność, że zsunie się on w dół po sznurze dzwonka i wyląduje na łóżku. Wówczas ukąsiłby lub też nie ukąsił śpiącą tam osobę. Mogłaby ona uciekać nawet co noc, powiedzmy przez tydzień, lecz wcześniej czy później musiałaby paść jego ofiarą.

Do tych wniosków doszedłem, zanim jeszcze przestąpiłem próg owego pokoju. Badanie krzesła doktora wskazało mi, iż miał zwyczaj często na nie wchodzić. Oczywiście było mu potrzebne w celu osiągnięcia wentylatora. Rzut okna na żelazną szafę-schówek, spodek mleka i pętlę, jaką zakończona była pleciana szpicruta, wystarczyło do ostatecznego rozproszenia resztek wątpliwości, jakie jeszcze mogły się wyłonić. Metaliczny dźwięk, słyszany przez Miss Stoner, spowodował oczywiście jej ojczym, gwałtownie zatrzaskując drzwi żelaznej szafy za jej strasznym mieszkańcem. Po zapoznaniu się wreszcie z całokształtem mojego rozumowania zrozumiesz teraz kroki, jakie podjąłem celem wykrycia zagadki. Gdy usłyszałem syk, który niewątpliwie nie uszedł także twojej uwagi, natychmiast zapaliłem światło i zaatakowałem go.

— Z takim skutkiem, że umknął przez wentylator!

— I nadto z takim skutkiem, że sprowokowało go to do wzięcia sobie odwetu po drugiej stronie na swym panu. Ciosy mej trzcinowej laski spłoszyły go, zdenerwowały i podnieciły do tego stopnia, że rzucił się na pierwszą spostrzeżoną osobę; W ten sposób jestem niewątpliwie pośrednio odpowiedzialny za

śmierć dr. Grimesby Roylotta i nie mogę powiedzieć, żeby ten fakt był w stanie poważniej zaciążyć mi na sumieniu.

*Przel. Witold Engel*

„KB”